ROK XXI.
Ogólnego zbioru Tom LXXXI.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I. — ZESZYT II.

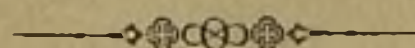
Luty.

WARSZAWA.

1896.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.



Zeszyt zawiera arkuszy 12.

Druk ukończono d. 6 lutego 1896 r.

DYTYRAMB.

O witaj, ludzkości, w zaraniu twych bojów
Surowa i dzika,
Z krwawiącym się potem wysiłków i znojów,
Co oczy zamyka!
Wspaniała w zapale,
Co, grom tłumiąc burz,
Ramiona zuchwale
Po blask skrawych zórz
Wytęża —
I noc
I tajń ziemskich żył
Przez moc
Przez hart twoich sił
Zwycięża!
O witaj, ludzkości,
Co wiedziesz z nicości
Przez trud
Twój ród!

W dumnym pochodzie tysiącznych pokoleń
Nagość twą kąpiesz w świetlanych pozłotach,

W orlich marzeniach i ducha polotach
Bierzesz purpurę od żądzy wyzwoleń.
Lecz gdy tak dążysz przez wieczności stepy,
Królewskie nogi krwawiąc o czerepy,
I kiedy dłonie wyciągasz w zapale
Po tajemniczych lśnień barwne opale,
Aby raz wreszcie pochwycić jaźń bytu,
Oczom bezsilnym dać słoneczność wzroku,
A mowie płynność wartkiego potoku,
I kiedy taka kroczysz wśród zachwytu,
Mając pod stopą fundament granitu —
Ze skargą, z bladym zawodem
Upada na drogach tłum,
Znękany długim pochodem,
Co twoich nie dzieli dum.
Dla niego wyblakło życie
I moce jaśniejszych dni
I tylko swoje rozbicie
Czarno śni.
Hart swych myśli, hart muskułów
Gnie i łamie z łzą rozpaczy,
Porażony rzuca tułów
W proch i kryje wzrok żebraczy.
I pyta siebie z szyderczą twarzą:
„Czém jestem?
„Czy tych promieni, które mię rażą,
„Protestem?
„Czy mię stworzyły wzgardzonym karłem
„Lazury?
„Czym wymarzoném tchnieniem zamarłem
„Natury?
„Czym na to niecił blask ideałów
„W méj głębi
„I lot wytężał moich zapałów
„Jastrzębi,
„Abym ze wstydu miał łamać dłonie
„Wśród zgliszczy,
„Lub w urojonych stawać obronie
„Bożyszczy?
„I moich dni znikomą nić
„Przez ciemnie,

„Przez łzy i krew wciąż miałbym wić
„Daremnie?
„To lepiéj w szał zmysłów uderzyć
„Potężnie
„I w piersiach bunt żądzy rozszerzyć
„Orężnie
„I paląc ciału stare pancerze
„W ofierze,
„Na wyuzdania falach popłynąć
„I zginąć!"

Tak rzesza
Szalona woła i w toń pośpiesza.
Ludzkości! jesteś przez nią przeklęta,
Ty święta!

Zapominasz o cierniach pochodu,
Zapominasz o skwarze i śniegach,
Zapominasz o łzach twego rodu,
Zapominasz o życia zabiegach.
Nadajesz snom kolory tęczy
I wyobraźni kontury
I rzucasz most zwodnéj przełęczy
Nad wiszar męki ponury.
W wspaniałą pieśń, w akordów przepych
Zaklinasz ciche uczucia,
Chociaż u stóp dzieci twych ślepych
Gotujesz chaos wyzucia.
W piersiach rozniecasz tajemny żar
I pożądania gwałtowny płomień
A męstwu dajesz uniesień czar
I obietnice pogromień,
Aby z pośpiechem
Piekielnym śmiéchem
Bryznąć w twarz snom
I łzom!

Daremnie tłumy wędrowne,
Dla swego lęku wymowne,
Mijają — postać Nioby
Z rozdartą szatą żałoby —

Nie dajesz szczęścia — ludzkości!
Daremnie wzrokiem szaleńca
Błysk zysku gonią i śledzą
I pragną zdobytą wiedzą
Wpleść nieśmiertelność do wieńca,
Tę nieśmiertelność, co czarę
Zna tylko ciągłéj rozkoszy
I w falach upojeń płoszy
Istnienia świadomą miarę —
Nie dajesz szczęścia — ludzkości!
Lecz każdą kroplę znikomą nektaru
Zatapiasz morzem bezbrzeżnéj rozpaczy,
Każdą nić złotą strącasz w dym pożaru
I łamiesz w drzazgi każdy kij żebraczy.
W strumieniach stoją pokolenia,
A pić nie mogą —
Nad głową mają owoców sklepienia,
A jeść nie mogą —
Na brzegach widzą zaciszne murawy,
A spać nie mogą —
W naturze słyszą hymn szczęścia jaskrawy,
A łkać nie mogą —
Jesteś więc przez nie przeklęta,
Ty święta!

Lecz kiedy jesteś przeklęta —
Przez mój trud, łzy,
Prometeuszowe pęta
Przykute do górskich płyt,
Przez zgrzyt
Miłości
I uczuć gry
Przebrzmiałéj na nic
Czczę cię i wielbię i kocham bez granic,
Ludzkości!

Bo gdyby życie było szczęścia rzeką,
Co płynie wolno wśród szumiących łanów
I wśród zieleni zasłanych dywanów
Pod dumnych borów cienistą opieką,
Gdyby przezemnie miała drgać jéj łuska

Od rosy rannéj bogatéj poklaskiem,
Co, z liści srebrnych płynąc, o toń pluska,
Do szeptów fali wieczornéj z przylaskiem,
I gdybym we dnie i w nocy pił szczęście,
Skroń uwieńczywszy w olimpijskie kwiaty,
I tylko w zbytku krwawił swoje pięście
O puhar błyskiem kryształów bogaty —
Nadmiarem żywych soków wybujały,
Egzotycznością zdziwiłbym topole
I płacąc dług za wyrost zbyt śmiały,
Straciłbym piór poloty sokole.
I mój duch mgłąby zawisnął nademną
I takby długo ważył się leniwie,
Ażbym się w nicość rozpłynął tajemną,
Nie widząc nigdy słońc w bytu ogniwie.
Lecz ty mój głód karmisz życia głodem,
Pragnienie moje gasisz ciał płomieniem,
Aby ma myśl grała nad pochodem
Jasnym płomieniem!
I abym moc
Orkanów, burz
Zaczerpnął
I brnąc przez noc
Wśród ryku mórz
Nie ścierpnął,
Lecz ducha wzrok
Uzbroił w blask
Skrawych błyskawic
I śledząc brzask
W nawalny mrok,
Stąpał odważnie wśród ławic!

A więc okrzykiem płomiennym
Wołam: cześć, cześć! cześć, cześć!
I w borze wysokopiennym
Rozbudzam echa: cześć, cześć!
Cześć, cześć!
Rosnący gwar wybiega
Na roztocz łąk, pól, rzek
I jako jeden oceaniczny ściek
Po widnokręgi zalega:
Cześć, cześć! cześć, cześć!

Lecz blada rzesza na hymn ten nie baczy
I tylko dziko bije w krzyk rozpaczy,
Co drze na szmaty chmury i obłoki
I tryumfalnych brzmień tłumi potoki —
Nie rozwiązujesz swych zadań — ludzkości!
Już słońce tysiąc razy słało ziemi wiosnę
I tysiąc razy ziemia okryła się lodem,
Odkąd myśl rozbudzona swe skrzydła radosne
Z wiecznym wznosi zawodem!
W pościgu za promieniem
Tajemnych ognisk bytu
Spłoniona nieraz wśród błękitu
Słońca spojrzeniem,
Nad krąg się wzbija świata
I zapalona żądzą
Wbrew tym, co pędem piór jéj rządzą,
W bezmiar ulata,
Aby w szalonym locie,
Napróżno wznosząc znaki,
Gnać na bezdenne nocy szlaki
Przy cisz zawrocie,
I runąć wreszcie w pył
Z nieskończoności sfer,
Druzgocząc z jękiem świetlany ster
O granit brył!
Nie rozwiązujesz swych zadań — ludzkości!
Tysiąc pokoleń zaległo grobowce
Zdrętwiałych trwogą
I tysiąc nowych bieży na manowce
Za zórz pożogą
I pada z pianą na ustach obłędów
Wśród ruin własnych,
Stargawszy próżno moc górnych popędów
I myśli jasnych!
Jesteś więc przez nie przeklęta,
Ty święta!

Lecz kiedy jesteś przeklęta —
Przez mój ból, szał,
Prometeuszowe pęta
Przykute do górskich płyt,

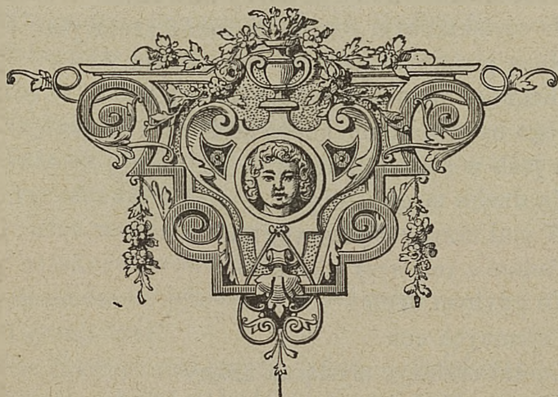
Przez zgrzyt
Śmiałości
I dumnych chwał
Przebrzmiałych na nic
Czczę cię i wielbię i kocham bez granic
Ludzkości!

Bo jestem dzieckiem twych walk wiekuistych,
Krwawych mozołów i krwawych poświęceń,
Bo mię z upodleń, z nocy zezwierzęceń
Na blask wywiodłaś twych słońc promienistych.
Bo w oceanie nieświadomych tworów
Jestem jednostką przez ciebie świadomą
I mogę śledzić źrenicą łakomą
Ruch nieskończony gwiazd i meteorów!
Bo roziskrzonym wzrokiem wśród zachwytu
Mogę podziwiać kontury wszechbytu,
Biegnące w nicość miliardem mil —
Jego ustroju płomiennego styl!
A jeśli w śmiałéj pogoni
Za ducha mego istotą
W muł czarny Styksowéj toni
Padam z rozpaczy ciemnotą,
To gdybym dech
Tajemnych ech
Zdołał rozłożyć myślą na atomy
I święty błysk
Jako walk zysk
Ukradł z Olimpu, owładnąwszy gromy —
Za mało jeszcze duchem rozwinięty,
O czaszkę lutnię strzaskawszy Safony,
Zszedłbym w ślepocie na dzikie odmęty
Olśniewającą prawdą porażony.
I klnąc mą moc i méj mocy żądze
W błazeńskie biłbym mosiądze
Lub wziąłbym w siebie szał pierwszych rozbestwień,
Krocząc zuchwale na głąb unicestwień!

A więc okrzykiem płomiennym
Wołam: cześć, cześć! cześć, cześć!
I w borze wysokopiennym

Rozbudzam echa: cześć, cześć!
Cześć, cześć!
Rosnący gwar wybiega
Na roztocz łąk, pól, rzek
I jako jeden oceaniczny ściek
Po widnokręgi zalega:
Cześć, cześć! cześć, cześć!

Tadeusz Konczyński.



SPRAWY EKONOMICZNE.

IX.

Książę Eugeniusz Wirtemberski, [1]) opisując w swoich pamiętnikach podróż do Rosyi w 1796 r. kreśli, nader charakterystyczny obraz gospodarki niemieckiéj w Warszawie, należącéj podówczas do Prus. Pisze on między innémi „... dalsza podróż do Warszawy nie zaznaczyła się niczém szczególném, lecz w ogólności przekonałem się, że ta część Polski, nosząca podówczas nazwę Prus południowych, wyglądała na krainę przez Boga zapomnianą. Warszawa przedstawiła się oczom naszym otoczona pustynią...

Jeżeli Niemiec wysokiego stanowiska, tak się wyraża o gospodarce niemieckiéj, to zaiste jakżeż smutnym był podówczas los Warszawy?

---

[1]) Ks. Eug. Wirtemberski (ur. 1783 † 1857 r.) w trzynastym roku życia został pułkownikiem, a w 16 generałem armii rosyjskiéj. Brał czynny udział w wojnach przeciwko Napoleonowi, w których dosłużył się stopnia generała piechoty. Po upadku Warny w 1829 r. (dowodził korpusem) wyjechał na zawsze zagranicę.

I rzeczywiście, Warszawa, która jeszcze w 1790 r. miała 120,000 ludności, w 1805 r. liczyła już tylko 65,000 mieszkańców i to zubożałych zupełnie. Dopiéro po dwudziestu latach ciągłych wojen, w roku 1815 zaświtała nowa jutrzenka dla Warszawy. Wzrastała ludność, dobrobyt, a z nim i rozwój ekonomiczny miasta. Wznoszą się liczne, okazałe i monumentalne budowle publiczne. Teatr, komisye rządowe, bank, pałace prywatne, pomniki, bulwar kamienny i t. p. wszystko to powstało w najświetniejszym okresie Warszawy bieżącego stulecia. Nakoniec ostatnie lat dziesięć powinny przekonać bezstronnego czytelnika, że gospodarka miejska w Warszawie wydała obfite owoce.

Wyrazem postępu ekonomicznego Warszawy jest budżet miejski, który w ostatnich piętnastu latach nader szybko z każdym rokiem się powiększał, i tak:

dochody zwyczajne Warszawy (oprócz kwaterunku) wynosiły:

w 1840 roku	753,000 rubli	
1880 „	1,849,000	
1884 „	2,162,000	
1890 „	2,847,663	
1893 „	3,431,045	
1895 „	3,874,527	
1896 „	4,132,927	(projekt budż. dochod.)

Z powyższego widzimy, że w ciągu ostatnich szesnastu lat dochody zwyczajne Warszawy wzrosły o 125%, a w okresie 1880—1890 roku o 54%, gdy w tymże czasie w Paryżu też dochody powiększyły się o 9%, w Wiedniu o 28% i tylko w Berlinie dochody zwyczajne wzrosły o 55%.

Nader ważnym aktem prawodawczym w zakresie gospodarstwa miejskiego było prawo „O reformie podatków miejskich w Warszawie" z d. 2 lipca 1870 r. znoszące: klasyczne, kanon od zarobków, kanałowe, kominowe, latarniowe, brukowe i t. p. w miejsce których ustanowiono: szacunkowe z nieruchomości, opłaty od dokumentów na prawo zajmowania się przemysłem lub handlem i od świadectw akcyzno-tabacznych.

Budżet Warszawy składa się z dwóch części a raczéj z dwóch oddzielnych budżetów, mianowicie: właściwego budżetu dochodów i wydatków miejskich, zatwierdzanego przez ministeryum spraw wewnętrznych i z oddzielnego budżetu kwaterunkowego, głównie na potrzeby wojskowe, stanowiącego odpowiednie pozycye budżetu ministeryum skarbu.

Przy rozpatrzeniu budżetu Warszawy na rok przeszły (1895), w celu jaśniejszego wykazania wysokości ogólnego obciążenia obywateli miasta, połączyliśmy oba budżety w jedną całość, gdyż w saméj rzeczy, budżet kwaterunkowy jest właściwie tylko specyalną ale organiczną częścią ogólnego budżetu miejskiego.

Ogólny budżet Warszawy na 1895 r. wykazuje:

		budżetu %
dochodów zwyczajnych (i kwaterunkowych)	4,626,491 r. 26 k.	90
„ zwrotnych	220,496 — 43	4,3
„ nadzwyczajnych	287,463 — 44	5,7
Ogółem	5,134,451 r. 13 k.	100

czyli po 958 kop. na jednego mieszkańca. Dochody zwyczajne (łącznie z kwaterunkiem) w 1890 r. wynosiły 744 kop. a w 1895 r. 863 kop., zatém w ciągu pięciu lat wzrosły o 119 kop. na jednego mieszkańca. Budżet Warszawy mimo szybkiego wzrostu, w porównaniu z innemi wielkiemi miastami, jest jednak nader słabo rozwinięty. I tak dochody zwyczajne miejskie w 1890 r. wynosiły:

w Paryżu	116	frank. na 1 mieszkańca
Wiedniu	63	„ „
Rydze	56	„ „
Berlinie	50	„ „
Odesie	39	„ „
Petersburgu	34	„ „
Warszawie	30	„ „

Dochody zwyczajne Warszawy składają się:

		ogółu doch. zw. %
z dochodów od własności miejskiéj i czynszów	1,118,159 r. 96 k.	24,1
z podatków od obywateli miejskich	1,964,825 — 78	42,4
„ przemysłowców	442,292 — 52	9,5
„ pośrednich	675,780	14,7
z zasiłków	319,255	7,
z dochodów rozmaitych	106,180	2,3
łącznie	4,626.491 r. 26 k.	100

Z powyższego widzimy, że budżet Warszawy opiéra się głównie na podatkach, które téż w zamierzeniu budżetowém wynosiły $^2/_3$ ogółu dochodów zwyczajnych. W tym względzie Warszawa nader znacznie różni się od Rygi i Odesy, w których w 1890 r. podatki stanowiły tylko 36,7 i 57% dochodów zwyczajnych, chociaż widzimy postęp i w War-

szawie, gdyż w tymże roku podatki wynosiły 73,3, a obecnie tylko 67% dochodów zwyczajnych.

Warszawa jest nader uboga w kapitały i nieruchomości własnością miasta będące, i myliłby się ten ktoby chciał sądzić o majątku miejskim z § 1 budżetu dochodów. Paragraf ten „Dochód od własności miejskiéj i czynszów" wykazuje wprawdzie 1,118,159 rub. 96 k. lecz obejmuje on różnorodne wpływy, nic wspólnego z sobą nie mające, mianowicie: kanon z jatek rzeźniczych, czynsze z gruntów należących do miasta, laudemia, dzierżawy z domów miejskich, ziemi, miejsc targowych, altan, chodników zajętych przy budowie domów, odsetki od zahypotekowanych kapitałów miejskich i lokacyi bankowych. Wszystkie powyższe dochody stanowią zaledwie 127,319 r. 96 kop. i mogą być odniesione na rachunek własności miejskiéj, gdy tymczasem reszta dochodów § 1 wynosząca około miliona rubli, ma niewątpliwą cechę przedsięwzięć miejskich nie zaś własności miejskiéj w zwykłéj klasyfikacyi dochodów. Tu należy dochód od wodociągów, kanalizacyi, rzeźni miejskiéj, targu na bydło, drukarni i litografii miejskiéj.

Tym więc sposobem § 1 „Dochody od własności miejskiéj i czynszów stanowią:

		ogółu doch. zwycz.
właściwy dochód od własności miejskiéj	139,309 r. 96 k.	3,
dochód z wodociągów	663,420	14.3
„ kanalizacyi	139,500	3,
„ rzeźni miejskich	154,350	3,3
„ targu na bydło	26,970	0,5
„ z drukarni i litografii miejskiéj	640	—
łącznie	1,118,159 r. 96 k.	24,1

Właściwy dochód od własności miejskiéj można podzielić na trzy kategorye: na dochód z budowli miejskich, dochód z rozmaitych gruntów należących do miasta i na odsetki od kapitałów miejskich.

Główny dochód z budowli przynosi Gościnny dwór za Żelazną Bramą i dom miejski przy Ogrodzie Krasińskich. Dochody z przestrzeni miejskich są nader rozmaite, względnie do wielkości położenia i miejsca, niemniéj jednak dwie pozycye muszą zwrócić uwagę każdego rozpatrującego budżet miejski, mianowicie, dochód ze ślizgawki urządzanéj na mikroskopijnym stawie w Saskim Ogrodzie przynosi 380 rub. gdy tymczasem dochód z podmiejskiego pastwiska Skaryszewskiego obejmującego przeszło 151 mórg daje kasie miejskiéj tylko 327 rubli.

Widzimy tedy, że właściwy dochód z własności miejskiéj wynosi w Warszawie zaledwie 3%, gdy tymczasem takiż dochód w 1890 r. dla kasy miejskiéj w Odesie równał się 16,2% a w Rydze 18,9% ogółu dochodów zwyczajnych. To nam potwierdza fakt ubóstwa Warszawy i bogactwa Odesy i Rygi we własność miejską. Własność miejska w Rydze wynosi aż 98,000 dziesięcin przeważnie obszarów leśnych.

Dochód z wodociągów w Warszawie jest bardzo ważną pozycyą budżetową, wynosi bowiem $^{1}/_{7}$ ogółu dochodów zwyczajnych łącznie z kwaterunkiem.

Opłata za wodę w Warszawie jest dwojaka: od izby i za wiadro. Za izbę uważa się nie tylko pokój w zwykłém pojęciu, ale téż pokój kąpielowy, kuchnia, pralnia, przedpokój i korytarz, o ile posiadają okna, przyczém izby mniejsze od 20 arsz. kwadr. uważają się za półizby, a większe od 100—150 arsz. kw. za $1^{1}/_{2}$ izby. Opłata z każdéj izby wynosi 60 kop. na kwartał, przy maksymalném użyciu 720 wiader wody w tymże przeciągu czasu, czyli równa się $8^{1}/_{3}$ kop. za 100 wiader. Przy większém użyciu wody za każde 100 wiader nad normę opłata wynosi 11 kop. Zakłady przemysłowe i handlowe płacą od 9—11 kop. za 100 wiader stosownie do ilości zużytéj wody. Szpitale i zakłady dobroczynne otrzymują od miasta 950,000 stóp sześciennych wody bezpłatnie, po nad tę zaś ilość płacą podług taryfy ogólnéj.

W Rydze, gdzie wodociągi są przedsiębiorstwem miejskiém zakończoném, ale oddzielnie administrowaném, gdyż w budżecie zamieszcza się tylko czysty zysk, opłata za wodę jest znacznie niższa aniżeli w Warszawie, wynosi bowiem około 5 kop. za 100 wiader. W Odesie wodociągi są przedsiębierstwem prywatném, które jednak w najbliższéj przyszłości ma przejść na własność miasta drogą wykupu.

Budżet Warszawy przewiduje, że z końcem 1895 r. będzie połączonych z wodociągami 3,400 domów, czyli 3,300 w ciągu całego roku. Każdy z domów opłaca za wodę średnio 192 ruble rocznie, zatém dochód z 3,300 domów po 192 r. wyniesie 633,600 rubli, za użytkowanie z 3,300 wodomiarów średnio po 9 r. 29,700 rub., rozmaite drobne dochody 120 r., zatém spodziewany dochód z wodociągów przyniesie 663,420 rubli.

Z początkiem 1895 r. sieć rur wodociągów warszawskich głównych i bocznych wynosiła 158 wiorst, zaopatrzonych w 913 szybrów i 1,440 hydrantów pożarnych. W 1894 r. wodociągi dostarczały dziennie przeciętnie po 811,000 stóp kubicznych wody. Podług kontroli zarządu wodociągowego przewyżka dochodów nad rozchodami z eksploatacyi wodociągów w 1894 r. wynosiła 443,664 r. 33 k. Naturalnie,

nie wchodzi tu wydatek na służbę długów zaciągniętych na budowę wodociągów.

Kanalizacya w Warszawie stanowi jedną całość z wodociągami i również jest przedsiębierstwem miejskiém. Opłata za korzystanie z kanałów zależna jest od ilości spotrzebowanéj wody i równa się 40% opłaty za wodę. W tym względzie Warszawa zasadniczo różni się od Odessy, w któréj kanalizacya nie jest jeszcze zakończona, choć już w 1862 r. była rozpoczęta. W Odessie kanalizacya prowadzi się na rachunek specyalnéj opłaty po 1/2 kop. i dlatego użytkowanie z kanałów miejskich jest bezpłatne, z warunkiem jedynie zbudowania własnym kosztem przykanaliku i naturalnie, całego urządzenia wewnątrz posesyi. W d. 1 stycznia 1893 r. kanały miejskie w Odessie miały około 76 wiorst długości.

Budżet Warszawy przewidywał, że w ciągu 1895 r. połączy się z kanałami przynajmniéj 300 domów, czyli z końcem r. z. wogóle 1,700 domów będzie skanalizowanych. Licząc średnio po 90 rubli z nieruchomości, dochód z kanalizacyi wyniesie 139,500 rubli, czyli 3% ogółu dochodów zwyczajnych Warszawy.

Do liczby przedsięwzięć miejskich należą rzeźnie w Warszawie.

Jak wiadomo opłata od rzezi bydła w Warszawie do 1867 r. stanowiła dochód skarbowy, nie zaś miejski. Jeszcze w budżecie Królestwa na 1866 r. znajduje się pozycya „Podatek konsumcyjny od trunków krajowych i od rzezi po miastach" w sumie 1,505,392 ruble. Lecz już w następnym, t. j. 1867 r. dochód od rzezi bydła przeszedł na rzecz miasta.

Opłaty od rzezi w Warszawie i Odessie [1]) są następujące:

	w Warszawie	w Odessie
od wołu	150 kop.	300 kop.
„ krowy lub byka	150 „	200 „
„ młodzieży	— „	150 „
„ świni	30 „	75—160 „
„ cieląt i baranów . . .	10 „	30— 75 „
„ jagniąt lub prosiąt . . .	10 „	10— 15 „

Jaką ilość zabito w rzeźniach warszawskich niewiadomo, wiem tylko, że w czterech rzeźniach podmiejskich: na Powązkach, w Ochocie, na Pelcowiźnie oraz w Grochowie, zabito w r. 1894 ogółem dla rzeźników warszawskich: bydła rogatego 16,955 sztuk, cieląt 38,615, baranów 38,955 oraz trzody chlewnéj 5,831 sztuk. W Odessie zaś

---

[1]) Rzeźnie w Rydze są przedsiębiorstwem prywatném.

w 1890 r. zabito zwierząt większych 93,583 i mniejszych 195,865 sztuk. W tymże roku dochód od rzezi bydła w Odessie był większy o przeszło sto tysięcy rubli niż w Warszawie.

Budżet Warszawy na 1895 r. przewidywał:

dochodu od rzezi zwierząt	154,350 r.
„ od targu na bydło, za wagę, korzystanie z budynków i nawóz	20.940 „
razem . .	175,290 rubli.

Nakoniec do liczby przedsięwzięć miejskich w Warszawie należą: Drukarnia i litografia z oczekiwanym dochodem 640 rubli i wydawnictwo „Gazety Policyjnéj" z dochodem 60,890 rubli, które jednak należy już nie do 1 ale do § 6 budżetu.

Tym sposobem przedsięwzięcia miejskie w Warszawie w zamierzeniu budżetowém na 1895 r. miały przynieść:

dochodu z wodociągów	663.420 r.
„ z kanalizacyi	139,500 „
„ od rzezi i targu na bydło	175,290 „
„ z drukarni miejskiéj	640 „
„ z wyd. „Gazety Policyjnéj" . . .	60.890 „
łącznie . . .	1,039,740 r.

czyli 23% ogółu dochodów zwyczajnych Warszawy.

W Odessie i Rydze są jeszcze inne przedsiębiorstwa miejskie. I tak teatr miejski w Odessie zasilił kasę miejską w 1890 roku 24 tys. rubli, w Rydze zaś dały: Gazownia miejska 273 tys. r., Kasa oszczędności 94 tys. r., miejskie statki parowe na Dźwinie 68 tys. r. i torfiarnia miejska przeszło 5 tys. rubli.

Paragraf drugi budżetu Warszawy obejmuje „Podatki od obywateli miejskich", mianowicie:

szacunkowe z nieruchomości	1,051,748 r.
dopłata $33^1/_3\%$ do skarbowego podatku podymnego .	240,902 „

my zaś tu doliczamy i

opłaty kwaterunkowe z nieruchomości	672,175 r. 78 k.
łącznie . . .	1,964,825 r. 78 k.

co się równa 42.4% ogółu dochodów zwyczajnych Warszawy.

Wyżéj powiedzieliśmy, że prawo z d. 2 lipca 1871 r. „O reformie podatków miejskich w Warszawie" w miejsce zniesionych rozmaitych podatków ustanowiło, między innemi „szacunkowe." Otóż szacunkowe istnieje w dwojakiéj formie, jako podatek z nieruchomości na rzecz kasy miejskiéj i jako opłata kwaterunkowa na zaspokojenie potrzeb garnizonu warszawskiego.

Szacunkowe opłacają wszelkie nieruchomości tak prywatne, jak rządowe i publiczne, za wyłączeniem klasztornych, kościelnych, należących do duchowieństwa lub stanowiących własność różnych zakładów dobroczynnych. Podatek ten pobiera się z dochodu *brutto* podług szacunku ustanowionego lustracyą miejską, co pięć lat wznawianą dla oznaczenia wysokości podymnego.

Nieruchomości niezabudowane (place, ogrody i t. p.), a więc nie podciągnięte do opłaty podymnego, przynoszące jednak dochód, podlegają szacunkowemu na zasadzie dochodu oznaczanego przez delegacyę magistratu, która ustanawia jednocześnie także wartość nieruchomości niedających żadnego dochodu.

Wysokość szacunkowego zależna jest od dochodu z nieruchomości i tak: nieruchomości przynoszące dochód do 500 rubli rocznie płacą 2% tegoż dochodu, od 500—1,000 r. 3%, od 1,000—2,000 r. 4% i przynoszące dochodu wyżéj 2,000 r. rocznie płacą 5%. Szacunkowe jest więc podatkiem progresyjnym, chociaż ta postępowość dla kasy miejskiéj małe ma znaczenie, gdyż np. w 1891 r. nieruchomości z dochodem wyżéj 2,000 r. chociaż było w Warszawie [1]) tylko 52%, to jednak dały one 90% ogólnéj sumy szacunkowego. Z nieruchomości nieprzynoszących dochodu, szacunkowe pobiera się w ilości 1/4% ich wartości. Dochód z nieruchomości rządowych lub instytutowych ustanawia się w stosunku 6% od sumy ubezpieczenia od ognia.

Budżet na 1895 r. przewidywał, że 228 domów wzniesionych w 1894 r., licząc po 120 r. z jednego domu, przyniosą szacunkowego 27,360 r., a ogółem wszystkie nieruchomości w Warszawie zasilą kasę miejską sumą 1,051,748 rubli, czyli 22.7% ogółu dochodów zwyczajnych.

W zamian naturalnéj powinności zaspakajania potrzeb wojskowych, w 1867 r. ustanowiono w Warszawie opłatę k w a t e r u n k o w ą, któréj wysokość zależna jest od ilości wojsk rozlokowanych w Warszawie [2]). Kwaterunek pobiera się także na zasadach ustanowionych dla poboru podymnego, przyczém nieruchomości z dochodem do 500 r. płacą 2%, a przynoszące wyższy dochód 3 1/2% tegoż dochodu. Lustracya z 1891 r. ustanowiła dochód z nieruchomości w Warszawie na 19,274,915 rubli, zatém budżet miejski na 1895 r. przewidywał:

---

1) Podług ostatniéj lustracyi miejskiéj, Warszawa liczyła ogółem 6,408 zabudowań, w tém 4,763 murowanych i 1,645 drewnianych.

2) Stały garnizon Warszawy na r. z. oznaczono w ilości 37,332 wojska, w tém 65 generałów, 249 sztaboficerów i 1,331 oberoficerów.

dochodu kwaterunkowego z nieruch. z dochodem do 500 r.		3,261 r. 66 k.
„ „ „ „	wyżéj 500 r.	668,914 „ 12 „
	łącznie . .	672,175 r. 78 k.

czyli 14.5% ogółu dochodów zwyczajnych.

Podymne z szarwarkiem, znane w dawnéj Polsce jeszcze w XV w. względnie do swéj wysokości było najważniejszym podatkiem. Obywatele ziemscy, duchowieństwo i mniejsze miasta płaciły od siedzib, większe miasta od dochodu z domów, a podymne włościańskie przybierało charakter podatku osobistego, gdyż płacone było tak przez kmieci-gospodarzy, jakoteż parobków i procederzystów.

Podymne było podatkiem wyłącznie skarbowym, pobieranym w ilości 7½% od połowy dochodu *brutto* z budowli. W 1867 r. ustanowiono podymne dodatkowe w ilości 33⅓% sumy podymnego głównego. Kiedy w 1868 r. zniesiono w miastach Królestwa opłaty konsensowe i propinacyjne stanowiące ich dochód, to jako wynagrodzenie postanowiono, aby podymne dodatkowe wpływało nie do skarbu, lecz do kas miejskich. Podymne skarbowe w Warszawie w 1894 r. obliczone było na 724,123 r. 65 k., więc budżet miejski na r. b. przewidywał, że 33⅓% dopłata do podymnego skarbowego na rzecz miasta wyniesie 240,902 r., czyli 5.2% ogółu dochodów zwyczajnych Warszawy.

Tak rozebrawszy trzy rodzaje podatków opłacanych z nieruchomości, mianowicie: szacunkowe, podymne i kwaterunek, zadajemy sobie pytanie, jakżeż jest więc wysokie obłożenie nieruchomości na rzecz kasy miejskiéj w Warszawie? Jeżeli ogólną sumę tych podatków podzielimy przez dochód *brutto* z nieruchomości, to przekonamy się, że opodatkowanie nieruchomości w Warszawie dosięga 10⅖% dochodu *brutto*, naturalnie, oprócz podatków skarbowych. Obłożenie to jest tak znaczne, że dalszy postęp w tym kierunku, naszém zdaniem, jest prawie niemożliwy.

Opodatkowanie nieruchomości w Odessie i Rydze opiéra się na innych zasadach, wypływając z art. 129 i 130 ustawy miejskiéj. Wysokość szacunkowego ustanawia rada miejska na podstawie czystego dochodu z nieruchomości, z tym jednak warunkiem, aby wysokość tego podatku nie przewyższała 10% czystego dochodu lub 1% wartości nieruchomości.

Opłaty kwaterunkowe w Cesarstwie zniesiono w r. 1884 przez włączenie do podatku skarbowego z nieruchomości.

Jak wielką gra rolę opodatkowanie nieruchomości, przekonać się możemy z tego, że np. w 1890 r. wpływy z tego tytułu na rzecz kasy miejskiéj stanowiły w Rydze 16.4%, Odessie 24%, a w Warszawie aż 46.7% ogółu dochodów tychże miast.

Paragraf trzeci budżetu dochodów Warszawy na r. b. „Podatki z przemysłowców" obejmuje:

	w sumie	ogółu doch. zw. %
Dopłaty do patentów i świadectw przemysłowo-handlowych	140,595 r.	3.1
Opłaty za świadectwa na prawo stawania w sądach	2,780 „	—
„ od przemysłu furmańskiego	43,410 „	0.9
„ przewoźnictwa na Wiśle	1,200 „	—
Dochód od kolei konnych w Warszawie	39,980 „	0.8
Dopłaty 50% do patentów trunkowych	135,090 „	3,
my zaś tu doliczamy:		
Opłaty kwaterunkowe od przemysłowców	72,237 r. 52 k.	1.5
Dopłaty 15% „ do patentów tytuniowych	6.000 „	0.2
łącznie	442,292 r. 52 k.	9.5

D o p ł a t y d o p a t e n t ó w i ś w i a d e c t w p r z e m y s ł o w o-h a n d l o w y c h. Prawo o reformie podatków miejskich w Warszawie z 1871 r. ustanowiło na rzecz kasy miejskiéj następujące opłaty od przemysłowców: od świadectw i biletów I gildyi 50% opłaty skarbowéj, II gildyi 25%, od innych dokumentów handlowych 10%, od świadectw subiektów handlowych I klasy 25% i II klasy 10%, od patentów tytuniowych 25% i t. p.

Podług kontrol miejskich w ciągu 1894 r. wykupiono w Warszawie na prawo prowadzenia handlu i zajmowania się przemysłem:

patentów kupieckich I gildyi	236 sztuk
„ „ II „	2,707 „
świadectw i biletów na drobny handel	13,412 „
patentów przemysłowych I gildyi	382 „
„ „ II „	727 „
świadectw przemysłowych	3,606 „
biletów subiektów handlowych I i II klasy	6,179 „
„ handlowych I gildyi	497 „
„ „ II „	3.140 „
Ogółem	30,916 sztuk

patentów i świadectw przemysłowo-handlowych. Dochód skarbowy z tego tytułu wyniósł 827,683 ruble, budżet zaś Warszawy na r. b. oblicza dopłaty do powyższych dokumentów na rzecz kasy miejskiéj na sumę 14,595 rubli.

Olbrzymia ilość dokumentów przemysłowo-handlowych wykupionych w Warszawie, mogłaby nieświadomego na myśl wprowadzić, że Warszawa jest arcybogatém miastem handlowém i przemysłowém. Tymczasem wpośród miast Europy z równą liczbą mieszkańców, War-

szawa jest jedyném miastem tak ubogiém i z tak do ostatecznych granic rozwiniętém kramarstwem. Tak wielkie miasto a liczące zaledwie 176 motorów parowych o sile 9,000 koni, nie jest też miastem przemysłowém. Wielka ilość dokumentów handlowych świadczy tylko o braku przedsiębierczości i inicyatywy w wynajdywaniu sobie nowych dróg zarobkowania. Kramarstwo nie jest pracą ekonomiczną, nie jest wytwórczością, lecz tylko plagą dla ogółu mieszkańców miasta i stosunków ekonomicznych.

Porównajmy w tym względzie Odessę, w któréj w 1890 r. wykupiono dokumentów handlowo-przemysłowych o przeszło połowę mniéj niż w Warszawie, a jednak Odessa dokonała wtedy, podług urzędowych obliczeń, obrotów handlowych na 97 milionów rubli.

Dopłaty 50% do patentów trunkowych. Podług wykazów urzędowych było w Warszawie w 1894 r.:

40 zakładów fabrycznych i głównych składów spirytusu, oraz 1,726 składów win, wódki, piwa. szynków piwa i wódek, restauracyi, traktyerni i bufetów.

Wszystkie te zakłady przyniosły skarbowi 2,484,146 rubli, budżet zaś miejski przewidywał dochodu z dopłat do patentów na rzecz miasta 135,000 rubli.

Opłaty za świadectwa na prawo stawania w sądach. Jak wiadomo Zjazd sędziów pokoju wydaje świadectwa (po rub. 40) na prawo stawania w sądach w charakterze upełnomocnionego obrońcy, otóż budżet miejski przewidywał dochód z tego tytułu w sumie 2,780 rubli.

Opłaty od zajęcia furmańskiego. Podług najnowszych wykazów Warszawa rozporządza następującemi publicznemi środkami lokomocyi osobowéj i towarowéj, mianowicie:

kolej konną z taborem 238 wagonów i 490 koni,

281 ekwipaży i karet do wynajmowania,

100 omnibusów kursujących w obrębie miasta,

2,010 dorożek jedno i dwukonnych,

4,149 wozów, platform i fur do przewożenia ciężarów.

Do obsługi publicznéj komunikacyi kołowéj znajduje się w Warszawie 9,464 koni, gdy tymczasem w 1890 r. liczono tylko 5,938 koni.

Dawniéj zajmujący się furmaństwem opłacali podatek z każdego ekwipażu lub wozu i prócz tego nieśli naturalną powinność szarwarkową. W 1888 r. porządek ten zmieniono w ten sposób, że zajmujący się furmaństwem obowiązani są opłacać na rzecz kasy miejskiéj po 10 rubli od konia używanego do przewozu osób i po pięć rubli od konia wo-

żącego ciężary. Dochód z tego tytułu zwiększa się z każdym rokiem i na r. z. budżetem oznaczony został w sumie 43,410 rubli.

Dochód od kolei konnych. Na zasadzie kontraktu zawartego z Towarzystwem belgijskiém, eksploatującém sieć kolei konnéj w Warszawie, kasa miejska otrzymuje od rzeczonego towarzystwa 5% od dochodu *brutto*. Budżet dochodów na r. z. przewidywał z tego tytułu dochodu 39,980 rubli.

Dochód od przewoźnictwa na Wiśle. Pobiera się od każdéj łódki zajmującéj się przewozem po 1 r. 50 kop. i po 50 kop. za każde miejsce pasażerskie na statkach parowych używanych do przewozu osób w granicach miasta, lub na podmiejskie wycieczki. Dochód dla kasy miejskiéj z tego tytułu budżet obliczał zaledwie na 1,200 rubli.

Ryga dla lokomocyi wodnéj po Dźwinie posiada własną żeglugę parową, z czego osiąga bardzo znaczny dochód dla kasy miejskiéj, np. w 1890 r. przeszło 68 tysięcy rubli.

Opłaty kwaterunkowe od przemysłowców. Opłaty przemysłowców na rzecz kwaterunku podobnież jak i z nieruchomości nie są stale oznaczone, lecz zależne od liczby garnizonu warszawskiego, z tém zastrzeżeniem, aby kwaterunek od przemysłowców wynosił w przybliżeniu 10% ogółu sumy potrzebnéj na zaspokojenie potrzeb wojskowych. W budżecie na r. z. wydatki kwaterunkowe obliczono w sumie 732,375 r. 23 kop., zatém od przemysłowców zamierzano osiągnąć z tego tytułu 73,237 r. 52 k.

Dopłaty 15% na rzecz kwaterunku od patentów tytuniowych. W celu zwiększenia funduszów kwaterunkowych postanowiono w 1886 r. podciągnąć do opłaty i patenty tytuniowe, za wyłączeniem patentów dla fabryk i hurtowych składów tabacznych. Oczekiwany z tego tytułu dochód miał przynieść 6,000 rubli.

W Odesie i Rydze nie ma podatku podymnego i kwaterunkowego, lecz istnieje znaczny podatek z zakładów gastronomicznych, który dał tym miastom w 1890 roku 187 i 146 tys. rubli. Podatek ten nie jest prawem unormowany. Rada miejska względnie do potrzeb budżetowych i okoliczności miejscowych, ustanawia wysokość opłaty dla każdego rodzaju zakładów gastronomicznych (restauracyi, traktyerni, domów zajezdnych w których sprzedają artykuły spożywcze i t. p.), mnoży te opłaty przez liczbę istniejących zakładów gastronomicznych i ustanawia ogólną sumę akcyzy miejskiéj. Ile zaś ma płacić każdy poszczególny zakład, o tém stanowi, mając na względzie roczny obrót, specyalna delegacya opodatkowanych. Wogóle opłaty od zakładów gastronomicznych i sklepów spożywczych są bardzo

znaczne, tak np. traktyernie płacą w Odesie z tego tytułu po 295 a w Rydze po 350 rubli rocznie.

W Rydze istnieje jeszcze specyalny podatek od literatów. Literatami w guberniach baltyckich zowią się osoby wolnych profesyi np. adwokaci, artyści i t. p. Na zasadzie ustawy miejskiéj 1870 r. mogli oni być członkami miejskiego zgromadzenia wyborczego, jeżeli opłacali jakikolwiek podatek na rzecz kasy miejskiéj, otóż aby literatom umożebnić wzięcie udziału w samorządzie miejskim ustanowiono podatek od literatów.

W Petersburgu i Moskwie są jeszcze inne specyalne podatki bezpośrednie bardzo doniosłego znaczenia, mianowicie: podatek z lokali zajmowanych przez zakłady przemysłowe lub handlowe obliczany w stosunku 2% ceny najmu. podatek szpitalny (w Petersburgu po 1 rub., Moskwie po 1 r. 25 k. i w Odesie po 60 kop.), który w budżecie warszawskim nie wiemy z jakiéj racyi w tytule dochodów zwrotnych został pomieszczony i podatek adresowy (tylko w Petersburgu) bardzo wysoki i uciążliwy, płacony przez wszystkich będących w służbie tak domowéj, jak również przez pracujących w zakładach i instytucyach prywatnych, w ilości od 29 do 715 kopiejek rocznie od osoby.

Powyższe podatki dały dochodu kasie miejskiéj w 1890 r.:

	w Petersburgu	w Moskwie
podatek z lokali przemysł. i handlow.	325 tys. r.	557 tys. r.
" szpitalny	490 "	447 "
" adresowy	890 "	— "
akcyza miejska z zakł. gastronom.	367 "	493 "

O powyższych podatkach, nieistniejących w Warszawie, wzmiankujemy tu z powodu zamierzonéj reformy podatków miejskich i przewidywanego zniesienia niektórych obecnych np. rogatkowego i dopłat do patentów trunkowych na rzecz miasta. Prawdopodobném jest więc wprowadzenie innych opłat, dotąd w Warszawie nieistniejących.

Leon Iwanicki.



Joanna Neapolitańska.

Tragedya w 5-ciu aktach.

(Dokończenie).

Akt IV.

Mała sala z III-go aktu.

Scena I.

CESARZOWA, LUDWIK.

(*Ludwik zabiera się do odejścia.*)

CESARZOWA. Zostań się jeszcze.
LUDWIK. Wypada mi może.
Chwilę się chociaż pokazać przy dworze.
CESARZOWA. Młodego dworu wszystko ściąga świetność;
Czuję to w izbach cichych zapomniana.
Chociaż mam syna, przyszła mi bezdzietność
Urągać matce. U dumnego pana
Mam że go szukać? A gdzie on?
LUDWIK. Kto? Andrzéj?
Tam, przez Toledo w stronę Wezuwiusza
W złotem kipiącym pojechał orszaku.

CESARZOWA. Wulkanicznego ma coś króla dusza,
Bo królem już on...
LUDWIK. Coś wulkanicznego?
CESARZOWA. Stare to widzą oczy, — choć wzrok stary
Myli się często, — lecz odziewa mary
Płód cienia, czasem w stroje rzeczywiste.
LUDWIK. Tajemnic pełne słowa twoje mgliste,
Gdy duch twój matko znany mi z jasności.
CESARZOWA. (*wskazując przez okno*).
Bez chmury dymów Wezuwiusza czoło.
Weselem, życiem gra wszystko wokoło,
Ale kto okiem głąb' krateru zmierzy,
Ujrzy law piekło — ciszy nie uwierzy.
Kraterów głębie wzrok ludzki dosięga,
Ale czyjego to wzroku potęga
W ludzkich się duszy kraterach zanurzy?
Ha! jedyny Bóg! choć bywają znaki...
A ja... ja w sidła madżiarki schwytana
Przysięgłam, — sama koronuję pana!
Lecz ty...
LUDWIK. Co?
CESARZOWA (*na str.*) Matka, — nie powiem mu: „zabij!"
(*głośno*) Strzeż się — bo król już ma jakieś poszlaki
Tych waszych schadzek. Strzeż się, żeby zdrada
W sieć cię nie wzięła. Zostań tu.
(*Odchodzi*).
LUDWIK. Jak ptaki
Czarne, jéj słowa kraczą w ucho: „biada!"
„Wulkanicznego coś ma króla dusza"...
Czy to przestroga? — Po co mam tu zostać?

Scena II.

LUDWIK, JOANNA.

(*Joanna wchodzi z głową w dół pochyloną, niby nie widzi Ludwika*).
LUDWIK (*na str.*) Królowa! jakże zmieniona jéj postać,
Jak ona blada!
JOANNA. I któż z mojéj duszy
Zdejmie te trwogi!
(*spostrzega Ludwika*)
Ha! Książe!...
LUDWIK. Joanno!

JOANNA. Liście wzrok mają i kamienie uszy;
Idź, idź! sam siebie się lękaj, bo zdrady
Tyś sam jest pełen. Nagły płomień oka,...
To znów tyś licem jako śniegi blady;
Oko me każdą twych lic zmianę chwyta,
W duszę twą wpada, duszę twoją czyta.
Drżę ja o ciebie, przez ciebie niewierna;
Strasznie mi cięży ta miłość niezmierna!
Żal mi dni moich złotego poranka,
Żal mi młodości mojego kochanka!
Ach życia, życia taka pyszna tkanka!
A lada ręka rozerwać ją może!
A on, on, mój mąż...

LUDWIK. Czy on ciebie trwoży?

JOANNA (*jakby nie słysząc*).
A on, to król już — pan śmierci i życia!
Co nas obroni biednych od rozbicia?
Listek mu szepnie, jeden listek mały
Że kocham ciebie.

LUDWIK (*chwytając rękę Joanny*). Niechaj król nie słyszy!
Zmarli nie słyszą.

JOANNA Stój, nieszczęsny stój!
Ta myśl już w mojéj raz zadrgała duszy;
Ona i ciebie jak mnie w proch pokruszy.
Tyś dla mnie wszystkiém! nie cierpię łańcucha
Co mnie do tego przykuwa dzieciucha!
Żeby go zerwać, małżonka bezwstydna
Chciałam przed tobą straszna i ohydna
Stanąć i szepnąć w ucho ci: „jam wdowa!"
Ale ten pierścień straszliwy na palcu
Jakby stu oczu błyskami go strzeże,
A zimno lodu jak w gadzie padalcu
W tych oczu iskrach. Gdy sen już zabierze
Czucie mężowi, zdejmę pierścień z ręki
Raz pomyśliłam. Usnął mi przy łonie,...
Schwyciłam rękę w obie moje dłonie,
I słuchaj — pierścień w jego palce wrastał!
I lód od dłoni szedł mi do ramienia.
I ręce obie miałam jak z kamienia,
Rąk od strasznego nie mogłam pierścienia
Drżąca oderwać! On oczy otworzył

Na ustach moich pocałunek złożył;
Ten pocałunek jak piekła mnie żarem
Oblał.

LUDWIK. Przeklęta madżiarka z swym darem!

JOANNA. Słuchaj — ma dusza wszystko tobie wyzna:
Mści się nademną—patrzaj, ta trucizna,
(*wyjmując z kieszeni papierek z trucizną*).
Którą zamieszać miałam mu w napoje —
Widział ją pierścień!.. O tylko mężczyzna
Zwyciężyć może te trwogi, te moje!
Prochu bezbronny! idź z wiatrem!
(*rozsypuje proszek w powietrze i uderza w szpadę Ludwika*).
Żelazo
Rzuć w przepaść morza, talizman je skruszy!
Idź, idź! nie kuś mnie twém smętném obliczem —
Byłam ci wszystkiém, dziś muszę być niczem!

LUDWIK. Joanno!

JOANNA. Idź, idź przez litość, przez Boga!
Idź do orszaku zamieszaj się męża,
Miejmy nadzieję...

LUDWIK (*ponuro*) Pewność — ta nie kłamie.
(*odchodzi*).

JOANNA (*patrząc za odchodzącym*).
Czy i mężczyznę opanuje trwoga,
I nawet trwogę o życie przełamie?
Ma przecież siłę, ma wolę, ma ramię
Gdy stal, truciznę talizman zwycięża.

Scena III.

JOANNA, CESARZOWA.

CESARZOWA (*wchodzi i idzie do okna*).
Chodź, chodź do okna. Pochód twego męża
Już tu w podwórcu.
(*stają przy oknie i patrzą*).
Jak pyszny na koniu!
To jakby postać ze śpiżu wykuta,
Jak mu do twarzy ta madżiarska buta!
Ho, ho! to będzie król!...
(*patrząc na Joannę*)
lecz... będzie mściwy,
Co? z nim i Ludwik?

JOANNA. Cały orszak krasi,
Butę, urodę i śpiżowość gasi.
CESARZOWA. Co za chorągiew przed królem powiewa?
JOANNA. Złotem kipiąca.
CESARZOWA. Co? na niéj pień drzewa?
Co to ma znaczyć?
(*patrząc na Joannę*).
Bladość ci zalewa
Twarz całą. Może... chorągwi... kolory.
JOANNA. Nie, nie! nic!
CESARZOWA (*na stronie, szatańsko*).
Nad pniem ujrzała topory.

Scena IV.

CESARZOWA, JOANNA, MISTRZ CEREMONII, ANDRZEJ, LUDWIK, ISTWAN, FERENCZ, dwóch paziów.

MISTZ CEREMONII. Pan najjaśniejszy!
CESARZOWA (*cicho do Joanny*). Jak się w króla bawi!
JOANNA (*cicho*). Bawi? króluje!...
(*Andrzéj wchodzi, za nim dwóch paziów niosą ogromne pęki kwiatów i długie gałęzie wijących się klematydów i bluszczów).*
JOANNA (*z radośném zadziwieniem*).
A cóż to za kwiaty!
CESARZOWA (*na str.*) Jak sobą włada!... ta pójdzie wysoko.
JOANNA. W zaczarowane czy król zaszedł światy,
Ograbił cały w nich ogród bogaty?
Czy to by moje tak zachwycić oko?
ANDRZÉJ (*sadza Joannę na krzesło; cesarzowa siada obok niéj, Ludwik stoi*).
Podajcie kwiaty!
(*bierze od paziów kwiaty*).
Tu mistrzowstwo całe
Przyroda zlała w swe dzieło wspaniałe,
Wonie poranku i świtu uśmiéchy,
W te cudnéj rzeźby zamknęła kielichy!
Zorzo i tęczo! wam się uczyć trzeba
Tu od tych kwiatów, jak na sklepy nieba
Macie wychodzić.
(*do zebranych*).
O cudne to kwiaty!

Ale jak nagle ich piękność się zmniejsza...
(*rozrzuca kwiaty u nóg królowéj*).
Wasza królowa — patrzajcie — piękniejsza!

ISTWAN i FERENCZ. *Eljen*! niech żyje!

LUDWIK. Niech żyje wieki!

ANDRZÉJ. Zwycięzca kwiatów niech żyje królowa!

JOANNA. Pochlebca!

ANDRZÉJ (*bierze od pazia klematydy*).
Pozwól, struga szmaragdowa
Do stopy z ramion niechaj ci popłynie!
(*przez ramiona Joanny zwiesza wijące się klematydy*).
O taka, taka, jedwabiami szyta,
Szmaragdem, perłą, rubinem nabita
Po twojéj sukni królewskiéj kaskada
Wijąc się, do stóp przepychem niech spada!
Z kwiatów się wezmą do wyszywań wzory
W skarbcu mym dla nich znajdą się kolory;
I będę patrzył w twoich ust szkarłaty
W śniegi twych ramion, te twoje źrenice,
Patrzył jak z niemi korale i perły
I djamentowe walczą błyskawice.

JOANNA (*uśmiechając się*),
Usta twe, skarbiec — a jaki bogaty!
Petrarce z niego wykradać ci kwiaty.

CESARZOWA. Pokaż nam królu twą pyszną chorągiew.

ANDRZÉJ. Rozkaz twojego majestatu święty.
(*daje znak paziowi, paź odchodzi*).

LUDWIK (*cicho do cesarzowéj*).
Co za powaga w słowach lapidarna!

Scena V.

CIŻ SAMI.

(*Chorąży wnosi rozwiniętą chorągiew czerwoną; na środku jéj w złotem polu pień u nad nim na krzyż dwa topory. Cesarzowa zbliża się do chorągwi — ma po jednéj stronie Joannę, po drugiéj Ludwika; przed nimi krok naprzód z boku Andrzéj*).

ANDRZÉJ. Przed konsulami Romy w rózeg pęku
Topór nosili liktorowie w ręku;
Pień, topór władzy mojéj jest symbolem.

LUDWIK (*do siebie*). W krater kto zajrzy, law obaczy piekło...
O widzę co w téj duszy leży.

Cesarzowa. Może
Krwi rozbryśnięta kropla na toporze
Dałaby więcéj grozy symbolowi...
Andrzéj. Topór królewski powinien być czysty
Jak sprawiedliwość. Zardzewiałe prawo
Długo się musi kąpać — i to krwawo,
Nie jedną głowę podeptać upadłą,
Zanim się jasne stanie jak zwierciadło.
Istwan (*cicho do Ferencza).*
Na dobrą rolę padło nasze ziarno;
Widzisz jak praca nie poszła nam marna.
Cesarzowa (*cicho do Ludwika*).
Jaki lód straszny przekonania wieje
Z tych słów stanowczych.
Ludwik (*na str.*) Czas myślić o sobie.
(*idzie do okna i opiera się w niém*).
Andrzéj (*do chorążego*).
Zwinąć chorągiew, — weźcie ją z przed oka!
Na chwilę z duszy precz boleść głęboka!
Dość będzie czasu (oby jak najpóźniéj!)
Przypomnić, że się bezkarnie nie bluźni
Bogu i prawom.
Joanna. Królu mój i panie!
Pójdzie nam lekko; rozdzielimy władzę:
Przeciw twéj prawa lodowéj powadze,
Postaw małżonki twojéj zmiłowanie.
Andrzej. Jakżeś mi piękna! Władzy zawsze wzięli
Część najwdzięczniejszą litości anieli.
(*ściska jéj rękę*).
Jakżeś mi piękna! Więc chorągiew druga
Pójdzie przed tobą jak pocieszycielka;
Barwy błękitnéj jak nieba sukienka,
Na niéj na tronie Najświętsza Panienka
Miłości Bożéj łzawemi oczyma
Topór przykuty na powietrzu trzyma.
I lżejszą będzie głowie méj korona,
Między nas władza gdy tak rozdzielona.
Istwan. Niech żyje król nasz i królowa!
Cesarzowa (*cicho, patrząc na Ludwika*).
Czy wypracuje coś przecie ta głowa?
A widział znaki.

Scena VI.

CI SAMI.

ANDRZÉJ (*do Ludwika*). Czy aby czas skrócić,
Książe nie zechce towarzyszyć jutro
Z nami za portem kilka sieci rzucić?
Pierwsza na wschodzie gdy zaświta zorza?
LUDWIK (*na str.*). Czy wié gdzie bywam kiedy świta zorza?
ANDRZÉJ. Wrócimy, kiedy skwar spędzi nas z morza.
LUDWIK. Morze jest zawsze. Inna mi zabawa
W téj właśnie chwili przed oczami stawa.
Jeśli majestat twój posłuchać raczy...
ANDRZÉJ. Cóż więc mój książe?
LUDWIK. Żniwiarze sprzątnęli
Z pól plony wszystkie; w stronie Urticzelli
Głośnéj wokoło liczną kuropatwą,
A i z czaplami tam spotkać się łatwo,
Jest gdzie polskiego użyć białozora.
Na cały świat to podobno ptak sławny,
Nieużywany przestaje być wprawny; —
Na ptastwo właśnie jest najlepsza pora.
Nocleg nam pierwszy w Awersie wypadnie,
Święty Piotr z miastem dwór pomieści snadnie;
Stamtąd harcując przez Kapui pola,
Kołem napowrót do bram Neapola.
CESARZOWA (*na str.*). A przecie! niby do czynu przychodzi.
ANDRZÉJ. Myśl ta mnie kusi
CESARZOWA. Tu uroczystości
Przygotowania pójdą swoją drogą.
Czy Istwan, wielki mistrz młodego dworu,
Szlachetny Ferencz zastąpić nie mogą
Źrenicy króla? czy ja nawet sama.
LUDWIK. A więc cóż na to najjaśniejszy panie?
ANDRZÉJ. Tak, mielibyśmy pyszne, świetne łowy!
Radbym... Majestat czy zechce królowéj
Nam towarzyszyć?
JOANNA. A te suknie moje
Z jedwabiów szytą, powojów zwieszanką,
Z pereł szmaragdów i rubinów tkanką?...
ANDRZÉJ. Mego pomysłu. Zostanę.

CESARZOWA. O stroje
Gdy tylko chodzi,—(*wskazując kwiaty*) oto są me wzory;
ANDRZÉJ. A w skarbcu moim blaski i kolory.
CESARZOWA. Przyjdą mi w pomoc najlepsi hafciarze
Naszéj stolicy i Isoldy ręka,
(*na str.*). Już tę ja dobrze pod me wezmę straże!
(*gł.*) Na uroczystość skończy się sukienka.
ANDRZÉJ. Co na to powié nasza nam królowa?
LUDWIK (*na str.*) Wszystko obali; odmówić gotowa.
JOANNA (*uśmiechając się*).
A będzie dla mnie cacko Saklawii
Koń o gazelej i nodze i szyi?...
ANDRZÉJ. Prócz ciebie nikt go nie dosiędzie więcéj.
JOANNA (*wstaje klaszcząc w dłonie*).
A więc sprobujmy polskich białozorów!
ANDRZÉJ (*do Ludwika*).
Książe jest wielkim łowczym i obożnym.
Ty Istwan! Ferencz! katedrę ubierzcie,
I o ludowych ucztach pomyślicie.
JOANNA (*ściska rękę cesarzowéj*). Wy o sukience.
CESARZOWA (*wskazując kwiaty*). Podług króla wzorów.
LUDWIK (*na str.*). Ja—byś nie wrócił do twoich toporów.
Za rękawicę dasz mi tron i życie!

(Zasłona spada).

Akt V.

ODSŁONA I.

Ustronne miejsce nad morzem przy Neapolu. Poprzerywane skały, krzaki, wysokie chwasty. Noc miesięczna.

Scena I.

ISOLDA--LUDWIK.

ISOLDA (*zakrywając się skałami*).
Idzie tu. Ludzie jego mnie ścigali,

Zmyliłam pogoń,—ku miastu pognali. —
Tu zbójców schadzki. O czyje tu życie
Chodzi? ach serca powiada mi bicie!
On! (*kryje się za skałą*).

LUDWIK (*dochodzi do skały, za którą Isolda, i staje*).
Szelest jakiś był tu najwyraźniéj.
(*słucha i machnąwszy ręką*).
W drodze mi stają mary wyobraźni.
W skał tych pustkowiu gwarno mi i ludno.
Może z sumienia mego gwar wychodzi.
Ja nie wiedziałem, że tak strasznie trudno
W rzeczy jak moja mieć spokój z odwagą. —
Nie myśl co w tobie — a myśl co przed tobą.
(*idzie daléj zamyslony i ogląda się.*)
Hańba się wrócić. — Ja tylko się bronię —
Tyś memu życiu zagroził.

(*Isolda postępująca za nim z drugiéj strony skały strąca kamyk w wodę*).

Nie zwodzi
Teraz mnie ucho! (*Isolda rzuca kamyk daléj w morze*)
Plusk rybek swywolnych!
Nie raz widziałem nad modre wód tonie
Rybki skaczące. I czemu zadrżałem?
Głupie pytanie! Dziś koników polnych
Może się zląkłbym; bo téż w głowie mojéj
Takiéj roboty jak dzisiaj nie miałem.
Dwóch ludzi na raz w duszy mojéj gada;
Czy tchórz zwycięży,—syn, sumienia — tchórz?
Milcz we mnie—tchórzu! No! przyszedłem już.
(*rozgląda się*).
To zda się tutaj. Tak od brzega piasku
Głaz drugi wielki.
(*patrzy w niebo*).
W tym księżyca blasku
Kat mój! W twarz księcia blaskiem oświeconą,
W twarz moją, zbójcy patrzyć będą.
Milcz we mnie głupi człowieku!...

(*klaska dwa razy, trzy klaśnięcia mu odpowiadają; Isolda tymczasem przysuwa się i kryje się za kamieniem i chwastami.*)

Scena II.

CIŻ SAMI I SZEŚCIU ZBÓJÓW.

(*z za skał wychodzi sześciu zbójów, dwóch na przodzie, czterech nieco z tyłu*).

LUDWIK. To oni.
ZBÓJ 1. Jesteśmy słowni, piękny kawalerze.
Sześciu jak chciałeś i mistrzów do broni.
LUDWIK. Ja z jednym tobą tylko mówić miałem.
ZBÓJ 1. Ci, jak stu innych, jedném tylko ciałem
A ciałem mojém. Zbladłeś kawalerze?
Czy niepokoją ciebie nasze noże?
Wszystkie ci do stóp piękny panie złożę.
LUDWIK. Nie trzeba! wierzę.
(*rzuca sakiewkę, chwyta ją Zbój 1*). To za trudy wasze
Jeżeli zgodą targ się nie zawiąże.
ZBÓJ 1 do 2. Znać książąt rękę — czuję wagę złota.
ZBÓJ 2. Targ pójdzie gładko i lekko robota.
ZBÓJ 1. Wiele ci osób, powiédz piękny panie
W świecie zawadza?
LUDWIK. Jedna.
ZBÓJ 1. Na tę jednę
Sześciu? (*śmiejąc się*) Co winne nasze noże biedne,
Że sześć w pierś nędzną każesz wbijać razem
Gdy jeden starczy?
LUDWIK. Ramion nie z żelazem
Przyszedłem szukać. Rzecz jasno i szczerze
Stawiam przed wami. Żelazo nie bierze
Ani trucizna tego, co mi w drodze.
ZBÓJ 1. To więc król?
(*Jeden z czterech zbójów*): Walczyć nam z relikwią świętą?
Z strasznym pierścieniem? Toż Neapol cały
Wié jaki cud w nim.
ZBÓJ 1 (*rozkazująco*): Milczéć! (*do Księcia*):
To rzecz zmienia.
Tylko pracować my przywykli stalą,
Cóż pomocnego będzie w naszéj dłoni
Bez stali?
LUDWIK. Ja go wam wydam bez broni.
Waszą odwagą ja będę, a powalą

Razem go przecie wszystkie te ramiona.
ZBÓJ JEDEN Z CZTERECH: Walczyć z pierścieniem!!
ZBÓJ 1 (*stanowczo*): Będziemy—skończona!
(*do Ludwika*) A co w nagrodzie?
LUDWIK. Zobaczmy żądanie.
ZBÓJ 1. Gdybym cię związał mój ty piękny panie,
Król Andrzéj czy nas obsypałby złotem?
Zadrżałeś? — Twarz twa oblała się potem?
Pot ten mój książę wcale mię nie dziwi,
Boś w rękach naszych. Ale bądź spokojny!
Wiédz o tém panie — my ludzie uczciwi,
Wszyscy uczciwi! Lecz pamiętaj, hojny
Nigdy nie traci, otwierając dłonie
Robotnikowi przy twardéj robocie.
Dasz madon dwieście madżiarskich — a w złocie,
Każdéj rąk parze.
LUDWIK. Zgoda.
ZBÓJ 1. Słowu wierzę.
Wydasz bez broni? gdzie?
LUDWIK. Ze mną będziecie.
Podciąć te brody — bo was się przebierze
Jako przypada dla mego orszaku.
Na koniu dobrze czy siedziéć umiecie?
ZBÓJ 1. I na królewskim chociażby rumaku.
LUDWIK. To dobrze. Ze dwóch trzeba mi łuczników,
Innych się zmiesza między sokolników,
Pomiędzy służbę.
ZBÓJ 1. Znamy się na ptaku,
Uczyłem kiedyś dla panów sokoły.
LUDWIK. Wybornie! — Ubiór u mnie wasz gotowy.
Jutro o świcie ruszymy na łowy.
W Awersie nocleg. Sokoła bez szponów
Oddam w twe ręce.
ZBÓJ 1 (*śmiejąc się*). W sokolnikach służę,
I nie zawiodę — ja go okapturzę
Ze szatni pańskiéj wziętą rękawicą.
LUDWIK (*na str.*). Ta rękawica! — (*gł.*) Pełną rękawicę
Złota za kaptur w dodatku przyrzekam!
Więc brody przystrzydz — czas na to godzina.
Z ubraniem na was w małym domku czekam,
Jak świt na łowy wyruszy drużyna.

Sokół na łowach skrzydła rozweseli.
Naprzód ruszymy w pola Urticzelli.
Nocleg w Awersie. Tam sokół bez szponów
Pójdzie w twe ręce. Noc krótka — ruszajcie!
I słuchać! odtąd jestem waszym panem.

ZBÓJ 1. Co? panem naszym? Tylkoś nam hetmanem
Na tę wyprawę.

LUDWIK. Więc wodzem — ruszajcie!
A za godzinę...

ZBÓJ 1. Staniemy! *(Zbóje odchodzą).*

Scena III.

LUDWIK, później jego DWORZANIN.

LUDWIK *(patrząc za odchodzącymi).* Ich wodzem!!
I zbójców wodzem? Kto mi teraz powie
Jaki jest odwrót takiemu wodzowi?
Więc naprzód! *(robi parę kroków)*
Oto wraca mój dworzanin.

(od strony miasta wchodzi dworzanin).

I cóż Isolda? Na ulicy ciała
Oględni przecie nie porzuciliście.

DWORZANIN. W zaułkach z rąk się wyśliznąć zdołała.

LUDWIK *(z obawą).* Jakto?... Wy sprawę całą zgubiliście!
Przecież kazałem to ucho, to oko
Na sążeń w ziemię zakopać głęboko
A i na ziemi grubo zasłać liście —
By słuch, wzrok ziemi jeszcze nie przewiercił!

DWORZANIN. Jeśli towarzysz mój jéj nie uśmiercił,
Bo pobiegł za jéj odszukanym śladem,
Wkoło pałacu obstawiłem sieci;
Z tych się nie wymknie ani ich przeleci,
Ni się dostanie do madziarskich uszu
By szepnąć jakie słowo podejrzenia;
Żywa nie wyjdzie nam z tego pierścienia
Co już ją ścisnął.

LUDWIK. Ten pierścień podwoję.

(Odchodzą).

Scena IV.

ISOLDA sama.

Isolda (*wychodzi z ukrycia*). I ja na ziemi cichéj, śpiącéj stoję!
Nosi na sobie taki potwór straszny,
I nie rozpękła do piekieł aż serca!
Książę wódz zbójców! on, króla morderca!
W Awersie nocleg. — Biedne moje dziecko
Jako baranek wydane zdradziecko!
Jak strasznie wiodą robotę podziemną!
Przez was Bóg całą odkrył ją przede mną.
W misterne sieci rozciągnięte zdradnie
Wy królobójce! Isolda nie wpadnie!
W Awersie nocleg — droga Urticzelli...
Ujdę z pół mili nim się świt zabieli;
Przed nocą będę w Awersie; dziecinę
Wydrę z rąk zbójców. Nie! to być nie może
Żeby tak ginął! Bóg nie zbójców Bóg!

(Zasłona spada).

ODSŁONA II.

Sala w klasztorze św. Piotra w Awersie.

Naprzeciw widzów sklepiona alkowa z wielkim krucyfiksem. W ścianie bocznéj alkowy drzwi. Alkowę można zasłonić firanką, która jest odciągniętą. Po lewéj i prawéj stronie sali drzwi.

Scena I.

LUDWIK, PRZEOR, KLUCZNIK klasztorny, ZBÓJ 1-szy przebrany za sokolnika.

(odsłoniona scena znajduje ich na środku).

Ludwik. Co więcéj trzeba — tu króla komnata;
(wskazując alkowę)
Tu się królewskie poskładają sprzęty.
Pokoju tego drugie drzwi wychodzą?
Przeor. Na korytarze.
Ludwik. Czy pokój zamknięty
Być może?
Przeor. Tak jest. Okien strzeże krata.

Ludwik. To dobrze. A klucz na korytarz.
Klucznik. Oto jest — a ten od drzwi do alkowy.
Ludwik (*bierze klucz pierwszy*)
Ten niepotrzebny (*daje klucz zbójowi*).
Zobacz czy zamyka
Łatwo. (*Zbój wychodzi drzwiami w alkowie*).
Przeor. O pościel książę nie zapytasz?
Koronowane odwiedzały głowy
Nieraz nasz klasztor. Jest wszystko.
Ludwik. Na łowy
Król się nasz wybrał, — noc prześpi jak łowiec.
Na siano skóry rzuci się niedźwiedzie,
To go zabawi.
Przeor. Ale dla królowéj?...
Ludwik. Ta z większą jeszcze roskoszą przewiedzie
Dwóch, trzech dni trudy — potém przez lat wiele
Jest czém się chwalić. Mój ojcze przeorze
Ludzie są ludźmi na wsi, czy na dworze;
Ci, którym łabędź dał puch na posłanie
Z dumą się chlubią, że znają rogoże.
(*Zbój wraca*)
Cóż klucz?
Zbój 1. Szedł twardo; — napił się oliwy
I raźny teraz.
Ludwik (*śmiejąc się do Przeora*). Zawsze jedne dziwy
Sprawia napitek! Będą tu madżiary,
A piją dobrze, zwłaszcza napój stary;
Piwnicy biada, mój ojcze przeorze!
Przeor (*z uśmiechem*). Niż głowa moja starszą im otworzę;
Na gości takich lat czekała tyle.
Ludwik. Stół ten wyborny i dębowe ławy;
Jak się królewska ucieszy z nich para!
Może się tylko nasz ojciec postara
O jakie wyższe dwa krzesła.
(*Przeor i klucznik wychodzą*).

Scena II.

LUDWIK, ZBÓJ 1-szy.

Zbój 1. Buławy
Godzien nam jesteś wodzu! Do rozprawy

Miejsce wybrane jakby mojém okiem;
Przed twą biegłością, wodzu, ugiąć czoło!
Orszak węgierski w mieście na kwaterze,
Ci co zostają, w celach rozrzuceni.
Stara marsala ożywi wieczerzę, —
Spać będą twardo trudem uznojeni.

LUDWIK. Przypatrz się dobrze miejscu. Sprawa
Tu się zakończy.

ZBÓJ 1. I będzie bez broni!

LUDWIK. Bez broni. *(Zbój próbuje podnieść ławę).*
W oko wpada ci ta ława?
Deski pół dębu tu żelazem zbito;
Nie będzie bronią dla dorostka dłoni.
Odejdź do swoich — a nie pić mi wiele!
(Zbój odchodzi drzwiami bocznemi alkowy).

Scena III.

LUDWIK, DWORZANIN królewski, MNICHY, SŁUŻBA.

(Wchodzi dworzanin króla z nakryciem i służbą).

LUDWIK. Słońce zachodzi — król się nam pojawi
Za chwilę — śpieszcie. Idę na spotkanie. *(wychodzi).*

DWORZANIN. Spieszcie! bo wiecie znój i głód nie czeka.
(Służba stół zastawia).
Wielkim obożnym takiego człowieka
Chciałbym mieć zawsze, jak Tarentu książę.
Jaki to nocleg wygodny, wspaniały
Nam przygotował w kwaterach po mieście —
A wina, choćby ludzi spoić dwieście!
(mnichy wnoszą dwa wysokie krzesła i dwa dzbany wina)
Tu je postawić; — tu król — tu królowa.
(mnichy odchodzą)
Na stół z puzderka trzy złote puhary
Inne dać srebrne. Przysunąć do ściany
Te od przeora marsali dwa dzbany.
I mieć pod ręką króla tokaj stary!
(rozgląda się)
Wszystko w porządku.

MNICH *(we drzwiach)*. Król już jest w klasztorze.

DWORZANIN. Dać zaraz światła.
(służba stawia trzy świeczniki na stół, odchodzą wszyscy).

Scena IV.

ANDRZÉJ, JOANNA, LUDWIK, PRZEOR, DWORZANIE, SŁUŻBA.

(*Król i królowa wchodzą razem, za nimi Ludwik z Przeorem—o parę kroków za nimi dworzanie i służba*).

ANDRZÉJ (*zwracając się do Przeora*).
Pokój domowi temu!
PRZEOR. A i sława!
Gdy gość tak wielki pod dach jego stawa.
LUDWIK (*otwiera drzwi komnaty*).
Oto na nocleg dzisiejszy komnata.
(*Joanna zbliża się do otwartych drzwi*)
Cóż to? w téj izbie widzę, wiejska chata.
(*z uśmiechem do Andrzeja*)
Zapewne król mój wymyślił posłanie.
Jak miło musi być usnąć na sianie.
ANDRZÉJ. Łowów bogini w Olimpijskich górach
Na kwiatach i lwich zasypiała skórach.
(*do Przeora*)
Ojcze! przeżegnaj łowiecką wieczerzę.
(*Przeor odmawia cicho krótką modlitwę, Andrzéj prowadzi Joannę do stołu*).
JOANNA. Czy to dla głodnych skrócone pacierze?
(*z uśmiechem*)
Jak czytasz w oku mém ojcze przeorze!
Siadajmy! (*zabierają miejsca i jedzą*).
ANDRZÉJ (*do Ludwika*). Wielki mój łowcze! czy łowy
Jak dziś przyrzekasz na tryumf królowéj?
(*do Joanny*) To cuda prawić o twym białozorze.
LUDWIK. Jutro znajdziemy trzciny i rogoże;
Nie chybił dzisiaj żadnéj kuropatwy,
Zobaczym jutro — z czaplą bój nie łatwy.
JOANNA. I pobił wszystkie królewskie sokoły.
Ja o zwycięstwo jego się założę
I w trzcinach księcia. (*Król pije i za nim królowa*).
ANDRZÉJ. I nikt nie pochwali
Téj jako złoto szlachetnéj marsali?
Napełnić próżne puhary, panowie,
Królowéj łowów wychylimy zdrowie.

I niech się kwiatem odziewa, weseli
Pole Awersy, pole Urticzelli
Co bój królowéj widziało zwycięski,
Ale niestety! widziało i klęski,
Tak, moje klęski. Klęskom twarz pogodna!
Panowie! w górę kielichy — i do dna!

LUDWIK. Sto lat królowéj!

MADŻIARY. *Elien!*

PRZEOR. I na chwałę!

JOANNA (*z uśmiechem spoglądając na Ludwika*)
Na zdrowie tego co sam się rozbroił,
By własną bronią w łowach zwyciężony
Wieńcem zwycięstwa me czoło ustroił.
Koń i białozór wczoraj były czyje?
Dawcy zwycięstwa ja więc zdrowie piję
Ale tokajem! (*trąca się z królem i pije trochę*).

LUDWIK (*spoglądając na Joannę*). Da większe!

WSZYSCY. Niech żyje!

(*Służba nalewa znów puhary*).

LUDWIK (*wstając*). A dzień jutrzejszy na Kapui błoniach
Niechaj nam będzie połowem bogaty!

ANDRZÉJ. I tak wesoło spędzony na koniach!

(*pije, za nim wszyscy — Joanna się zamyśla*)

Co to? Dyana tak nam zamyślona?

JOANNA (*jakby się budząc*).
To... o... sukience. (*śmiejąc się*) Nic! jestem znużona.

(*Andrzéj wstaje od stołu — z nim wszyscy, służba szybko zbiéra nakrycie*).

MADŻIAR DWORZANIN. A czy pozwolisz, najjaśniejszy panie,
Że się twa wierna służba tu zostanie.

ANDRZÉJ (*rozglądając się po izbie*).
Gdzie? tu na deskach?

MADŻIAR. Powiadają starzy:
Czujność najlepszą pościelą na straży.

ANDRZEJ. Zostać!

LUDWIK (*na str.*) Przekleństwo! Tegom nie przewidział!

(*Przeor kłania się i chce odejść*)

ANDRZÉJ. Nie ojcze! zostańcie na chwilę.

(*dobywa z kieszeni małą książeczkę, otwiera ją i daje przeorowi*).

Scena V.

CIŻ SAMI.

ANDRZÉJ. Tę nam modlitwę przeczytaj przeorze;
To przed spoczynkiem modlitwa królewska.
(*klęka, za nim wszyscy—ma z jednéj strony Joannę z drugiéj Ludwika, z tyłu dworzanie—przeor klęczy naprzeciwko Andrzeja*).
PRZEOR. W imię Ojca i Syna i Świętego Ducha.
Miéj Ty nas w swéj opiece Wszechmogący Boże,
I Ty Boga Rodzico, Panienko Niebieska!
Pod cieniem nocy zbrodni nie daj rosnąć Panie!
WSZYSCY. Amen!
PRZEOR. Płodzących grzech zatrzymaj nad przepaścią Panie!
JOANNA (*na str.*) Krew mi w żyłach zastyga.
LUDWIK (*na str.*) Ach! zdradzonym!
PRZEOR. Zbrodnie porzucającym miéj Ty zmiłowanie!
Mieczom sprawiedliwości złych niech wydrze skrucha.
WSZYSCY. Amen!
PRZEOR. W imię Ojca i Syna i Świętego Ducha.
(*wstaje oddaje królowi książkę — król, królowa i Ludwik całują rękę przeora—potem Andrzéj podaje rękę Ludwikowi i ten ją bierze w swoją i całuje.*)
ANDRZÉJ. Jak drży twa ręka.
LUDWIK. Ja... jestem zwyciężony...
Nocą bezsenną... łowami i skwarem...
Dobity panie... twych... krajów nektarem.
Lecz świt powitam wywczasem skrzepiony.
ANDRZÉJ. A więc do jutra!
(*do Madżiarów*).
Ten marsali dzban
Bierzcie i idźcie! strażą moją Pan.
LUDWIK (*na str.*) Ha! odetchnąłem.
(*wszyscy odchodzą*).
(*Andrzéj zamyka drzwi główne na klucz, zostawia go w zamku, gasi dwa świeczniki, bierze trzeci*).
ANDRZÉJ. Wiész, śpiący na sianie
Sług nie miewają (*bierze Joanny rękę*).
Jak lody twe dłonie!
Co tobie jest?
JOANNA. Mnie? co? mnie? nic! chłód wionie
Z tych murów. Ciepło znajdę przy twém łonie.
(*Wchodzą do sypialni*).

Scena VI.

LUDWIK i sześciu ZBÓJÓW, przebranych za sokolników.

(*scena chwilę zostaje pusta*).

(*Ludwik ma zarzucony na ramiona płaszcz, wchodzi przez alkowę z latarnią w ręku; za nim zbóje*).

LUDWIK (*stawia latarkę na stole, wyjmuje z głównych drzwi klucz, chowa do kieszeni i do zbója I-go*).
Uprzątnij krzesła, przedmiot twéj obawy.
I te świeczniki.
(*zbóje wynoszą je za alkowę i wracają*)
Wziąść się do téj ławy.
Tam ją pod ścianę.
(*wskazuje miejsce z boku drzwi sypialni, zbóje przenoszą ławę*).

ZBÓJ 1-szy (*do siebie postawiwszy ławę*).
Chwieje mi się noga...
Skąd przyszła na mnie nagle taka trwoga?

ZBÓJ 2-gi (*do siebie*). Z relikwią walczyć...
(*patrząc na krucyfiks*)
i w obliczu Boga!

LUDWIK. A teraz po trzech przy drzwiach z każdéj strony.
(*zbóje ustawiają się*).
I w mur się wcisnąć i wziąć oddech w siebie;
Gdy wejdzie, szybko ławą drzwi zawalić.
(*puka do drzwi—cisza*).
Śpi twardo—czy on śni o bliskiém niebie?

ZBÓJ 1-y (*na str.*) Po co to słowo?

LUDWIK (*puka silniéj*). Panie najjaśniejszy!

JOANNA (*z sypialni*). Mężu! mój królu! zbudź się!

ANDRZÉJ (*z sypialni*). Ha! co? co?

JOANNA. Pukają.

ANDRZÉJ. Kto tam?

LUDWIK. Szczęśliwy jest nam dzień dzisiejszy:
Z Węgier posłaniec.

ANDRZÉJ. Od méj matki listy!
Śpieszę — czekajcie!

LUDWIK (*idzie do stołu*). Uwaga!

Scena VII.

Ciż sami, ANDRZÉJ (*lekko ubrany*),

ANDRZÉJ (*wybiega z sypialni*). Gdzie listy?

Gdzie posłaniec?
(*odwraca się na łoskot tarasujących drzwi*).
Co to jest? Ha! zdrada!!
Na pomoc!! Zdrada! Ty? książe Ludwiku!

LUDWIK. Twą rękawicę odnoszę młodziku!
(*do zbójów.*)
Naprzód!
(*zbóje zbliżają się*)

ANDRZÉJ (*wyciągnąwszy rękę*).
Przeklęci!!

ZBÓJ 1-y (*z przerażeniem*).
Z pierścienia wypada
Śmierć błyskawicą! (*zbóje stają*).

ANDRZÉJ (*uderza w drzwi sypialni*) Joanno! Joanno!
Na pomoc!!

LUDWIK. Naprzód! ha nędzni! hej! za mną!
(*popycha zbójów*).

ZBÓJ 1-y. Nogę od ziemi odrywam daremno!

(*zbóje zbliżają się—Andrzéj trzyma ich w grozie wyciągniętą ręką, biegnie do głównych drzwi*).

ANDRZÉJ. Zamknięte! zdrada! na pomoc! na pomoc!!

LUDWIK. Rozbudzi klasztor! jesteście zgubieni!
Zgubieni tchórze!

(*rzuca się sam, za nim zbóje — Andrzéj cofa się do alkowy i staje pod krucyfiksem.*

ANDRZÉJ (*z wyciągnięta naprzód ręką*). Bądźcie potępieni!
Broń Ty mnie Panie!

ZBÓJ 1-y. Z krzyża i pierścienia,
Śmierć bije!! (*pada na kolana z nim wszyscy zbóje*).
Królu! przebaczenia!!

LUDWIK (*z rozpaczą*). I tak mi ginąć!!

ANDRZÉJ (*wskazując krucyfiks*). Niech wam Ten przebaczy!
Król wasz dla zbójcy nie ma przebaczenia!

LUDWIK. Ha! nędzni tchórze!
(*zdziera z siebie płaszcz i zarzuca na głowę króla*)
Oto i po cudzie!
Brońcie od śmierci wy sami się ludzie!

(*zbóje rzucają się na króla nim płaszcz zdołał zedrzéć z głowy, Ludwik cofa się i zaciąga zasłonę*).

ANDRZÉJ (*słabym głosem*).
Ach miłosierdzia! Boże—Święta Panno!

LUDWIK (*słucha z natężeniem trwogi*).
Ucichło wszystko! stało się! skończona!
Stało się! strasznie zdobyta korona!
(*idzie do głównych drzwi, dobywa z kieszeni klucz, otwiera drzwi i wskazując alkowę*).
Tędy nie wyjdę.
(*odciąga ławę i puka do sypialni*).
Joanno! Joanno!

Scena VIII.

LUDWIK, ISOLDA, PRZEOR, JOANNA.

LUDWIK (*oglądając się na drzwi główne*).
Stąd kroki słyszę.
(*postępuje ku stołowi*).
ISOLDA (*do przeora wchodząc z nim*),
Mówię, w piekieł kuźni
Zbrodnia ukuta!
LUDWIK (*na str.*) Isolda!
ISOLDA. Gdzie? gdzie król,
LUDWIK (*jak nieprzytomny*).
Co? kto? król?
ISOLDA. Gdzie król!?
PRZEOR (*odsuwa zasłonę, Andrzej leży pod krucyfiksem*).
Wielki, wielki Boże!
(*stoi jak spiorunowany*).
ISOLDA. Zapóźno!! Biedne moje dziecko święte!
(*pada z płaczem na ciało Andrzeja*).
JOANNA (*wybiega z sypialni, chwyta rękę Ludwika*).
Do Neapolu!
(*Ludwik, Joanna wychodzą*)
ISOLDA (*zrywa się, wstrząsa ręką przeora*).
W Boga uczysz wiary,
Mów mi teraz: jest Bóg! — mów!!
PRZEOR. Nie bluźnij!
(*chwilę stoi przygnębiony, nagle mówi proroczo*):
Jest! oto widzę w prochu rozbójnica
Tarza się. Patrzaj — jak śmiertelnie blada

Żebrze litości — nie masz miłosierdzia!!
Madżiarskiéj stali straszna błyskawica
W przeklęte łono niezbłagana spada!
Patrz w tę krew czarną! o widzisz — jest Bóg!
Jest Bóg, niewiasto! Ach! i stokroć biada,
Komu grom kary na późniéj odkłada!

(*Spada zasłona*).

Karol Brzozowski.



Tomasz Henryk Huxley

jako biolog, pedagog i filozof.

W ostatnich kilku latach nauki przyrodnicze ciężkie poniosły straty przez śmierć kilku najznakomitszych badaczy—mężów, którzy należeli do przywódców wielkiego ruchu umysłowego na polu przyrodoznawstwa. Niemcy straciły Helmholtza, Anglia Huxley'a, Francya—Pasteura, Szwajcarya Karola Vogta.

Tomasz Henryk Huxley był typem przyrodnika-myśliciela. Umysł jego, nawskróś syntetyczny i filozoficzny, nie umiał poprzestawać na empiryczném gromadzeniu faktów naukowych, lecz wybiegał zawsze na szerokie horyzonty, ogarniając nietylko dziedzinę jego specyalności, lecz i inne gałęzie wiedzy.

Przyrodnik-filozof. W zestawieniu tych dwóch wyrazów upatrują pewną sprzeczność liczni naturaliści-empirycy, a jeszcze liczniejsi — t. zw. filozofowie. Zanim przeto przystąpię do skreślenia duchowéj sylwetki Huxleya, pozwolę sobie zboczyć na chwilę od właściwego tematu i w krótkich słowach scharakteryzować dzisiejszy stosunek badań naukowych do dociekań filozoficznych, stosunek przez wielu przyrodników i filozofów niewłaściwie pojmowany.

W starożytności nie oddzielano pojęcia nauki od pojęcia filozofii; wiedza matematyczno-przyrodnicza zostawała wówczas w jaknajściślejszym związku z filozofią, jako matką umiejętności. Tę spójnię

widzimy w atomistyce Demokryta, w systemacie filozoficznym Empedoklesa i Arystotelesa i t. d.

Dopiéro w czasie, gdy starożytna kultura grecka zaczęła się chylić ku upadkowi, daje się spostrzedz stopniowy rozwój samodzielnych, poszczególnych umiejętności, których siedliskiem stała się Aleksandrya. Tutaj to, gdzie filozofia grecka zbratała się naprzód, jak mówi Wundt [1]), z mistyką wschodnią, by następnie zupełnie zaniknąć, była ojczyzną wielu dziś jeszcze kwitnących dziedzin badania samodzielnego. Tutaj powstała geometrya Euklidesa, tutaj Hiparch i Ptolemeusz dali naukowe podstawy astronomii matematycznéj, tutaj zaczęła się rozwijać anatomia, zoologia i botanika.

W epoce aleksandryjskiéj badania empiryczne wzięły rozbrat z filozofią; ta weszła na jałowe bezdroża, umiejętności zaś upatrywały cel swój jedynie w gromadzeniu nowych faktów naukowych. Odtąd aż do czasów Odrodznte nauk i sztuk rozbrab ten trwał prawie nieprzerwanie, jakkolwiek w wiekach średnich dążono tu i owdzie do pewnego zjednoczenia dociekań filozoficznych i przyrodniczych, co zresztą nie nastręczało trudności wobec zupełnego prawie braku empirycznéj metody i wyłącznie prawie scholastycznego kierunku w poglądzie na przyrodę.

Z odrodzeniem się nauk wiedza empiryczna poczęła olbrzymiemi kroki naprzód postępować; po wielkich odkryciach geograficznych nastąpiły wspaniałe zdobycze astronomiczne, fizyczne a i na innych także polach przyrodoznawstwa rozwój badań empirycznych potężnie się zarysował; słowem, nastały znów czasy, przypominające epokę aleksandryjską, lecz o wiele szerzéj i głębiéj obejmujące wszystkie niemal dziedziny nauk przyrodniczych. Mimo to filozofia zajmowała i nadal odrębne stanowisko wobec nauki; a jakkolwiek z konieczności z jednéj strony nowe prądy naukowe i nowootwierające się horyzonty badań bezwarunkowo wpływać musiały na filozofię, a z drugiéj — systemata filozoficzne musiały oddziaływać na umysły przyrodników i kierować do pewnego stopnia biegiem nauki, to jednak te wpływy wzajemne i współdziałania były niejako bezwiedne, nie odczuwane ani przez filozofów, ani przez badaczy przyrody. Tak, Descartes uległ wpływowi potężnie rozwijających się badań przyrodniczych i matematycznych, które oddziałały tak na metodę jak i na treść jego systematu filozoficznego, a nawet i etyka Spinozy powstała w znacznéj mierze pod wpływem idei nieskończoności, wyrosłéj na gruncie wielkich odkryć astronomicznych. Z drugiéj znów strony, pod wpływem syste-

---

[1]) „Essays“, 1885.

matu filozoficznego Kanta i jego następców, rozwinęła się w Niemczech szkoła t. zw. filozofów przyrody, jak Schellinga i Okena, którzy empirycznie zdobywane fakta starali się grupować według pewnych poglądów apriorystycznych.

Idee Kanta, a głównie jego następców: Fichtego, Hegla i t. d., pogłębiły przepaść pomiędzy umiejętnością z jednéj, a filozofią z drugiéj strony. Ta usunęła na ostatni plan dociekania empiryczne, na wszystko miała odpowiedź, nie troszcząc się o wyniki badania i nie pytając wcale o nie, a dyalektyka Heglowska stała się zręczném narzędziem, które mogło najzupełniéj negować wyniki badań umiejętnych. Od tego to czasu datuje się wrogi niemal stosunek przyrodników-empiryków do filozofii, którą ci bardzo często pogardliwie traktują i uważają za największego swego nieprzyjaciela, a antagonizm ten był zupełnie usprawiedliwiony, dopóki filozofia znajdowała się na stanowisku metafizyczném. Przedział ten powiększał się coraz bardziéj również i wskutek tego, że każda poszczególna gałąź wiedzy ludzkiéj, dążąc do syntezy zdobywanych empirycznie faktów, tworzyła sobie własną swoją filozofię. W biologii np. teorya descendencyi oraz związane z nią bezpośrednio inne teorye, dotyczące najogólniejszych zagadnień życia i rozwoju organizmów, stanowią treść jéj filozofii. Takież dążenia widzimy i w umiejętnościach fizyko-matematycznych, w socyologii, historyi i t. d. i t. d., słowem, obok umiejętności, których pierwszém zadaniem jest zdobywanie nowych prawd — mamy filozofie nauk poszczególnych, których cel stanowi: synteza faktów, wysnuwanie z nich wniosków ogólnych oraz teoryi, opartych na gruncie empirycznym.

Czy wobec tego „filozofia" jako odrębna, zamknięta w sobie całość ma racyę bytu? Odpowiedź na to pytanie jest twierdząca. Nie jako metafizyka, która lekceważy badania empiryczne, lecz jako synteza filozofii poszczególnych nauk, filozofii, opartych na materyale doświadczalnym, ma ona wielkie i wzniosłe przed sobą zadanie.

Gdy u starożytnych filozofia była matką umiejętności, to dziś stała się ich córką, a obecne jéj zadania sprowadzić się dają do dwóch następujących punktów najważniejszych: po pierwsze bada ona związek i stosunek wzajemny pomiędzy ogólnemi zasadami poszczególnych umiejętności, po drugie — docieka głównych norm i metod poznawania wogóle. Filozofia tak pojmowana znajduje się dopiéro w zaraniu swego rozwoju, albowiem postępy jéj opierać się muszą na filozoficznych zdobyczach w obrębie poszczególnych umiejętności, a zdobycze te gromadzą się bardzo powoli, opierają się bowiem na całości materyalu empirycznego.

Pośród pracowników na niwie nauk przyrodniczych jednym wystarcza samo zdobywanie faktów, bez względu na konsekwencye z tychże wynikające. Inni porównywają fakta w ciasnych granicach z faktami pokrewnych kategoryi i wysnuwają już w tym zakresie pewne wnioski naukowe. Jeszcze inni oceniają każdy, najdrobniejszy choćby fakt przyrodniczy w szerokiém świetle, padającém z całości danéj gałęzi nauki, starają się nietylko poznać każdy szczegół, ale go téż zrozumiéć ze stanowiska ogólniejszego. Wyjątkowi badacze zdolni są do tak głębokiego i szerokiego obejmowania faktów w danéj dziedzinie umiejętności, że stają się twórcami teoryi, płodnych w skutki i jak ferment działających na rozwój danéj nauki. Wreszcie, umysły wysoce filozoficzne obejmują szerokie horyzonty nietylko danéj specyalności, ale i innych pokrewnych gałęzi wiedzy, szukają związku pomiędzy syntezami nauk oddzielnych i dociekają norm i metod poznawania. Do takich nielicznych przyrodników-filozofów, górujących ponad całemi zastępami mniéj lub więcéj przeciętnych, aczkolwiek bardzo nawet zasłużonych badaczy, należał Tomasz Henryk Huxley.

Jako przyrodnik, pracował Huxley z niezwykłym dla nauki pożytkiem nad budową anatomiczną i rozwojem licznych grup zwierzęcych, od najniższych do najwyższych, ogłosiwszy przeszło 150 monografii i rozpraw ściśle naukowych!

Słynne były badania jego nad pierwotniakami (korzenionogami i radyolaryami), jamochłonami, skorupiakami, osłonicami, nad morfologią mięczaków, anatomią ryb i ssaków, nad morfologią czaszki u zwierząt kręgowych i t. d. Nie możemy wchodzić w tém miejscu w rozpatrywanie wszystkich zdobyczy faktycznych, jakie przysporzył nauce znakomity zoolog, natomiast zwrócić musimy uwagę na niektóre wyniki teoretyczne, do jakich doszedł, wyniki ogólniejszego znaczenia biologicznego.

Huxley pierwszy wypowiedział myśl, że u dorosłych jamochłonów dwie warstwy ciała, przedstawiające skórę i ścianę jamy trawiącéj, a nazwane przez Allmana ektodermą i entodermą, odpowiadają dwu pierwotnym warstwom ciała u zarodków kręgowców, czyli t. zw. zewnętrznemu i wewnętrznemu listkowi zarodkowemu. Warstwy te i u zarodków zaczęto późniéj nazywać ekto- i entodermą. To porównanie warstw ciała zwierząt jamochłonnych z dwoma pierwotnemi listkami zarodkowemi było genialną ideą; miała ona doniosłe znaczenie dla postępu morfologii porównawczéj, a wszystkie późniejsze badania tak w dziedzinie anatomii, jak i embryologii porównawczéj, najzupełniéj ją potwierdziły, rozszerzyły i ugruntowały.

„Od czasów Kaspra Fryderyka Wolffa — mówi prof. Chun [1]) — porównawcza historya rozwoju osiągnęła dwie świetne zdobycze. Wykazała przedewszystkiém, iż każde zwierzę wielokomórkowe rozpoczyna swój rozwój w postaci jednéj komórki, jak pierwotniak, przyczém zjawisko zapłodnienia u ustrojów wielokomórkowych ściśle odpowiada procesowi sprzęgania się (konjugacyi), u pierwotniaków. Po drugie zaś Huxley'owi przypadła w udziale zasługa wykazania, iż zwierzęta wyższe przechodzą w biegu swego rozwoju stadyum jamochłonów. Przez wykazanie homologii pomiędzy dwu warstwami ciała jamochłonów a ektodermą i entodermą kręgowców, została tedy jeszcze przed Darwinem wypowiedziana myśl co do wspólnego planu budowy, a tém samém i pochodzenia wszystkich zwierząt wielokomórkowych."

Wielkiéj donioslości naukowéj były dociekania zoologa angielskiego w kwestyi stanowiska człowieka w przyrodzie, wyłożone w znanéj pracy jego p. t. „*Mans place in Nature.*"

Przedewszystkiém Huxley zwraca uwagę na ważny fakt, iż jajeczko ludzkie oraz jajeczka zwierząt ssących, np. psa, małpy, mają zupełnie podobną budowę i podlegają we wczesnych stadyach rozwoju zupełnie podobnym przemianom. Dopiéro w późniejszych fazach rozwojowych występują znamiona, wyróżniające zarodek ludzki od małpiego, przyczém okazuje się, że ten ostatni w takim samym stopniu różni się od zarodka psa (w odpowiedniém stadyum), jak i embryon ludzki. „Okoliczność ta — powiada Huxley — wykazuje jedność w budowie człowieka oraz reszty świata zwierzęcego, a zwłaszcza dowodzi bliskiego pokrewieństwa człowieka z czwororękiemi."

W dalszym ciągu stawia sobie Huxley za zadanie — możliwie najdokładniejsze określenie, do jakiego rzędu ssaków zaliczyć należy rodzaj człowieka *(homo)*, a względnie, czy utworzyć dlań wypada rząd osobny? Gdyby najzupełniéj bezstronny badacz, np. przypuszczalnie wykształcony mieszkaniec Saturna, przybył na naszą ziemię i bez wszelkiego uprzedzenia zechciał określić, z jakiego rzędu przedstawicielami najbliżéj jest spokrewniony rodzaj *homo*, to bez najmniejszego wahania doszedłby do wniosku, że ani z drapieżnemi, ani z owadożernemi, ani z bezzębnemi lub gryzoniami, ani téż z parzysto- lub nieparzystokopytnemi i t. d., i t. d., lecz że największe podobieństwo przedstawia on do przedstawicieli czwororęckich czyli małp. Chodzi więc o pytanie, ażali budowa człowieka o tyle się różni od organizacyi

[1]) Bronn's, Klassen u. Ordnungen des Thierreichs, 1889—92, Coelenterata. (Tom 2, oddział 2).

tychże, że należy utworzyć dla rodzaju *homo* rząd oddzielny, lub też, czy mniejsza jest różnica pomiędzy ustrojem człowieka a organizmem najwyższych czwororękich, aniżeli pomiędzy organizmem najwyższych a najniższych przedstawicieli tychże. Ażeby bezstronnie odpowiedzićć na to pytanie, Huxley porównywa z wielką ścisłością liczne znamiona organizacyi człowieka i czwororękich, zestawiając fakta, dotyczące z jednéj strony człowieka i wyższych małp: goryla i szympansa, z drugiéj: wyższych małp z niższemi.

W ogólnych stosunkach ciała i kończyn, istnieje pomiędzy gorylem a człowiekiem wielka różnica, odrazu w oczy bijąca. Torebka czaszkowa goryla jest mniejsza, tułów większy, kończyny tylne krótsze, przednie dłuższe w stosunku do tychże u człowieka. Jeśli atoli weźmiemy pod uwagę wymiary pojedyńczych części ciała u mandryla, czepca i u małpozwierzy, to dojdziemy do wniosku, że pod temi wszystkiemi względami człowiek mniéj się różni od goryla, aniżeli ten od niższych przedstawicieli rzędu naczelnych (*Primates*). Skoro zaś, pomimo tak znacznych różnic, zaliczamy goryla, szympansa, mandryla, czepca, lemury i t. d. do rzędu naczelnych, to nie mamy prawa wyłączać z niego rodzaju *homo* i ustanawiać dlań rzędu oddzielnego. To samo zupełnie da się powiedzićć i ze względu na budowę kręgosłupa, ilość żeber i postać miednicy; wszędzie znajdujemy większe różnice pomiędzy gorylem a niższemi przedstawicielami naczelnych, aniżeli pomiędzy człowiekiem a gorylem.

Co się tyczy czaszki, to jakkolwiek najmniejsza jéj objętość u człowieka przewyższa prawie jeszcze dwukrotnie objętość najobszerniejszéj czaszki goryléj, to jednak jeśli porównamy maksymalną objętość ludzkiéj z minimalną, oraz objętość czaszek u małp wyższych i niższych, dojdziemy do rezultatu, iż ludzie różnią się pod tym względem daleko bardziéj pomiędzy sobą, aniżeli od małp, najniższe zaś małpy różnią się w tym względzie od wyższych w takim samym stosunku, w jakim te różnią się od człowieka. To samo tyczy się także stosunkowéj wielkości oraz stopnia rozwoju poszczególnych kości czaszki i wogóle głowy całéj. Porównywając w ten sam sposób w dalszym ciągu mózg ludzki z mózgiem innych przedstawicieli rzędu naczelnych, Huxley wykazuje, że różnica pomiędzy mózgami szympansa i człowieka jest prawie nic nieznacząca, jeśli porównamy ją z różnicą pomiędzy mózgiem szympansa i lemura.

To samo, co o kościach, mózgu, daje się też powiedzićć o uzębieniu ludzkiém. „Jakąkolwiek więc część organizmu — powiada Huxley — jakikolwiek szereg mięśni lub trzewi i t. d. będziemy porównawczo rozpatrywali, wszędzie taki sam otrzymamy wynik; niższe

małpy i goryl będą się bardziéj różniły pomiędzy sobą, aniżeli goryl i człowiek."

Huxley rozpatruje wreszcie rzekome różnice pomiędzy ręką i nogą ludzką z jednéj strony, a przednią i tylną kończyną u małp z drugiéj. Dawniejsi systematycy nazywali rodzaj ludzki — dwurękim (*Bimana*), małpy zaś — czwororękiemi (*Quadrumana*); ta druga nazwa bywa i obecnie bardzo często stosowana. Ale szczegółowa analiza anatomiczna pokazuje, że ręka ludzka różni się temi samemi zasadniczemi znamionami od nogi, co i przednia kończyna małp od tylnéj.

Anatomia porównawcza zniewala nas tedy, twierdzi Huxley, do wniosku, iż człowiek stanowi wprawdzie samodzielną, od antropomorficznych małp odosobnioną rodzinę, ale ponieważ mniéj się od nich różni, aniżeli małpy te od innych rodzin tegoż rzędu, nie mamy przeto prawa zaliczać go do osobnego rzędu. Tak więc najzupełniéj jest usprawiedliwiona idea wypowiedziana już przez Lineusza, według któréj należy uważać człowieka za ogniwo tego samego rzędu, do którego zaliczane są także małpy i lemury, a mianowicie do t. zw. rzędu naczelnych. Huxley dzieli ten rząd na siedm rodzin; do pierwszéj z nich: Anthropini, należy człowiek, dalsze są: Catarrhini, Platyrhini, Arctopitheci, Lemurini, Cheiromyini i Galeopitheci.

Na zarzuty uczynione Huxley'owi, iż konsekwencye badań biologicznych co do pochodzenia człowieka, obniżają godność rodu ludzkiego, odpowiada on w sposób następujący:

„Starałem się wykazać, że pomiędzy nami a światem zwierzęcym nie można przeprowadzić absolutnego pasu granicznego, który byłby szerszym aniżeli pas graniczny pomiędzy zwierzętami, bezpośrednio po nas następującemi. A muszę jeszcze oznajmić moje wyznanie wiary, iż byłoby również daremném kuszenie się o przeprowadzenie psychicznéj granicy i że u najniższych już zwierząt zaczynają kiełkować zdolności uczucia i rozumu. Jednocześnie atoli nikt może nie jest tak mocno jak ja przekonany o tém, iż odległość pomiędzy ludźmi ucywilizowanemi a zwierzętami jest olbrzymio wielka..." A daléj powiada: „Czy wiara w jedność genezy rodu zwierzęcego i ludzkiego obniża godność tegoż? Czyż poeta, filozof lub artysta, będący chwałą epoki, obniżony zostaje w swém stanowisku przez historyczne prawdopodobieństwo, jeśli nie pewność, że jest on bezpośrednim potomkiem jakiegoś nagiego i napół zwierzęcego, dzikiego, którego inteligencya wystarcza na to, by był przebieglejszym niż lis, lecz przez to niebezpieczniejszym od tygrysa? Lub też, czy ma on obowiązek szczekania i łażenia na czworakach wskutek niewątpliwego faktu, że był niegdyś jajem, które trudno odróżnić od jaja psiego? Czy miłość macierzyńska

obniża się dlatego, iż kura okazuje ją także, lub też uczucie przywiązania traci na wartości dlatego, że i pies je posiada?..."

„Cześć nasza dla godności rodu ludzkiego nie maleje bynajmniéj przez to, że poznaliśmy, iż człowiek ze względu na swą substancyę i budowę ma tyle wspólnego ze zwierzęciem. Albowiem on jeden posiada przedziwną zdolność rozumnéj mowy, wskutek czego w ciągu wiekowego okresu swojéj egzystencyi nabrał doświadczenia, które u zwierząt z końcem każdego życia indywidualnego zupełnie prawie ginie. Doświadczenie to powoli nagromadził i organicznie przerobił, tak, że obecnie stoi jakby na szczycie góry, wysoko po nad niższemi swemi wspólistotami, uduchowiony w swéj grubéj naturze przez to, iż tu i owdzie mógł czerpać z nieskończonego źródła wiecznéj prawdy."

* * *

Rzucające się w oczy wnioski co do pochodzenia człowieka zniewalają Huxley'a do wypowiedzenia swego zdania o teoryi Darwina, któréj był jednym z najgorętszych obrońców. Huxley zabierał głos w téj kwestyi nie tylko w dziele o stanowisku człowieka w przyrodzie, ale i w bardzo wielu innych pismach, osobliwie zaś w szeregu drukiem ogłoszonych wykładów p. t. „O przyczynach zjawisk w naturze organicznéj" oraz w „Wykładach o teoryi rozwoju" (odczyty wygłoszone w r. 1867 w Nowym Yorku).

„Nie ma, sądzę, wątpliwości — mówi Huxley — iż Darwin dostatecznie dowiódł, że to, co nazywa on doborem lub modyfikacyą wskutek doboru, musi zachodzić w przyrodzie i rzeczywiście zachodzi. Dowiódł on daléj aż nadto, iż dobór taki może wytwarzać postaci, które mogą się różnić pomiędzy sobą budową nawet w takim stopniu, w jakim różnią się rodzaje."

„O ile mi wiadomo — mówi na inném miejscu — z hipotezą Darwina nie stoi w sprzeczności żaden ze znanych faktów biologicznych; natomiast w jéj oświetleniu fakta embryologiczne, anatomo-porównawcze, geograficzne i paleontologiczne wzajemnie się wiążą i otrzymują znaczenie, jakiego przedtém nie posiadały. Co się mnie tyczy, to jestem najzupełniéj przekonany, że hipoteza ta jest przynajmniéj w takim stopniu zbliżona do prawdy, jak Kopernikowska teorya ruchu planet."

Najważniejszy szkopuł dla teoryi doboru naturalnego, upatrywał Huxley w fakcie płodności zwierząt i roślin (oraz ich potomków), pochodzących od wspólnego szczepu i wyodrębnionych drogą doboru. Dopóki bowiem, twierdzi on, szkopuł ten nie zostanie usunięty, dopóty nie będzie można dowieść, że dobór dokonywa tego wszystkiego, co

konieczném jest do wytwarzania gatunków naturalnych. Dodaje wszelako słusznie, że stany płodności i niepłodności bywają bardzo błędnie pojmowane i że wobec szybkiego postępu téj kwestyi, należy nadawać coraz mniejsze znaczenie temu dowodowi, zwłaszcza jeśli zważymy, że ogromna większość faktów harmonizuje z nauką Darwina.

Następujący pogląd dobrze charakteryzuje stanowisko Huxleya wobec teoryi doboru naturalnego. Objaśnienie, podane przez Darwina, nie czyni wprawdzie zadosyć wszystkim wymogom, ale nie ma wątpliwości, że przewyższa wszystkie dawniejsze i dzisiejsze hipotezy pod względem szerokości podstaw empirycznych, na których się opiéra, pod względem metody naukowéj oraz możności objaśnienia zjawisk biologicznych; przewyższa je w stopniu równie wysokim, jak hipoteza Kopernika przewyższała spekulacye Ptolemeusza. Ale drogi planet okazały się pomimo to wszystko nie kolistemi, a jakkolwiek wielką była zasługa Kopernika dla nauki, to jednak musieli jeszcze po nim nadejść Kepler i Newton. A być może powiada Huxley, że i droga nauki o doborze okaże się nieco zanadto kolistą? Okaże się może, że tu i owdzie stosunki w przyrodzie nie dają się objaśnić przez dobór naturalny? Po latach dwudziestu przyrodnicy będą w stanie powiedzieć, czy tak jest rzeczywiście czy nie; w każdym razie jednak dla autora dzieła „O powstawaniu gatunków" będą oni żywili największą wdzięczność. Błędném by było, powiada daléj Huxley, gdybyśmy wartość dzieła Darwina oceniali jedynie ze względu na to, o ile zawarte w niém ogólne wyniki teoretyczne zostaną stwierdzone w przyszłości. Przeciwnie, gdyby nawet jutro okazały się błędnemi, nie mniéj przeto dzieło jego nie przestało by być najlepszém w swoim rodzaju. Rozdziały o zmienności, walce o byt, instynkcie, produkowaniu mieszańców, niedostateczności zabytków geologicznych, rozmieszczeniu geograficznéni nie tylko nie mają równych sobie, lecz także, o ile nam wiadomo, nie posiadają wogóle wcale współzawodników w literaturze biologicznéj. A rozpatrując dzieło to, jako całość, dochodzimy do wniosku, że od czasu ogłoszenia przez Baera badań embryologicznych nie zjawiła się żadna inna praca, któraby równie jak książka Darwina, wywarła wpływ tak olbrzymi nie tylko na przyszłość biologii, ale też na opanowanie przez naukę takich dziedzin myśli, jakiemi ta dotąd się nie zajmowała" („Westminster Review", 1860).

Nie zapominajmy, że poglądy powyższe wypowiedział Huxley w r. 1860, a więc w rok po ogłoszeniu dzieła Darwina o powstawaniu gatunków (1859), w czasie, kiedy teorya wielkiego biologa była jeszcze bardzo mało znana i niedostatecznie oceniona. Huxley bystrym i głębokim swym umysłem zrozumiał odrazu doniosłość idei darwinistycz-

nych, odgadnął wpływ ich na przyszły rozwój biologii i doskonale pojął ich wartość dla postępu nauki wogóle. A jeśli zważymy, ile rzeczywiście zawdzięczają teoryi Darwina umiejętności biologiczne, jak niezwykłe postępy uczyniła anatomia porównawcza, embryologia i systematyka zoologiczna pod wpływem téj teoryi i jak ogromnie zaważyła na szali wielu innych umiejętności, bezpośrednio lub pośrednio związanych z biologią, dojdziemy do wniosku, że słowa Huxleya prawdziwie proroczo zostały wypowiedziane.

Nie ulega też wątpliwości, że same pisma Huxleya [1]) ze swéj strony przyczyniły się w bardzo wysokim stopniu do upowszechnienia poglądów Darwina, zwłaszcza zaś znakomicie na to wpłynęły jego świetne krytyki, skierowane przeciwko krytykom teoryi doboru naturalnego. Do takich należy np. cięty i z niezwykłym talentem napisany traktat p. t. „Krytyki dzieła, „O powstawaniu gatunków", ogłoszony w r. 1864 w „Natural. History Review." W traktacie tym Huxley występuje przeciwko Köllikerowi i Flourensowi, dowodząc bardzo jasno, że autorowie ci, jak i liczni inni, nie zrozumieli zasadniczéj idei Darwina i przypisywali myślicielowi angielskiemu twierdzenia, jakich tenże nigdy nie wygłaszał.

* * *

Co się tyczy pedagogicznéj działalności Huxleya, to przedewszystkiém w szeregu pism starał się dowieść ogromnego znaczenia wychowawczego nauk przyrodniczych, wykazać ich doniosłość dla rozwoju ducha ludzkiego oraz zreformować praktykowany dotąd sposób nauczania przyrodoznawstwa, wskazując nowe drogi i metody. A znakomite wskazówki wielkiego biologa tém większą miały doniosłość, iż w szeregu niedoścignionéj wartości podręczników, jakie napisał, wcielił praktyczne idee i poglądy pedagogiczne, które gdzieindziéj teoretycznie starał się uzasadnić.

Przejęty szlachetną miłością ludzkości, Huxley nie uważał czystéj nauki za abstrakcyę, nie troszczącą się o utylitarne cele, ale krytykował przytém surowo tych, którzy upatrują w naukach przyrodniczych tylko środki do czynienia zadosyć potrzebom materyalnym lub wygodom ludzi. Doniosłość utylitarna fizyki, chemii, biologii i t. d., nie polega głównie na tém, że dostarczyły ludziom telegrafów, kolei żelaznych i t. p., ale bez porównania większe znaczenie cywilizacyjne tych umiejętności polega na tém, że zdobyły idee, jedynie czyniące zadość duchowym potrzebom człowieka.

---

[1]) Podobnie jak w Niemczech w znacznéj mierze pisma E. Haeckla.

Nauki przyrodnicze — mówi Huxley — są w oczach wielu ludzi pewnego rodzaju boginiami, które gotowe są zawsze do obdarowywania swych ulubieńców „siedmiomilowém obuwiem”, „cienkiemi jak włos mieczami”, lub „wszechpotężnemi lampkami Aladyna”, umożliwiającemi zaprowadzenie telegrafu na Saturn lub obejrzenie drugiéj strony księżyca.” Gdyby tak było istotnie, powiada Huxley [1]), to ja przynajmniéj nie trudziłbym się dłużéj, by służyć naukom przyrodniczym.” Nie zaprzeczając ani na chwilę, mówi zoolog angielski, praktycznych korzyści nauk przyrodniczych i dobroczynnego ich wpływu na kulturę materyalną, musimy jednak przyznać, że wielkie idee przyrodnicze wykazujące nieskończoność światów, wieczność materyi, niezniszczalność energii, stanowisko człowieka we wszechświecie, stopniowy rozwój świata organicznego i t. d. i t. d. oraz wpajana w nas przez nauki przyrodnicze niewiara w autorytety i dążność do empirycznego sprawdzania narzucanych nam prawd rzekomych—oto rzeczywiste i wszystko przewyższające korzyści, płynące z nauk przyrodniczych. „Twierdzę—powiada Huxley—że nauki przyrodnicze, dążąc do wyszukania praw dobrobytu, zaczęły wynajdywać prawa właściwego postępowania i zasady nowéj moralności.”

Jak już zaznaczyliśmy wyżéj, Huxley występował w wielu odczytach i rozprawach jako gorący obrońca realnego wychowania i starał się nauczanie przyrodnicze oprzéć na racyonalnych podstawach, walcząc przedewszystkiém przeciwko książkowemu uczeniu przyrodoznawstwa [2]).

Dla osiągnięcia wielkich korzyści z nauczania przyrodoznawstwa —mówi Huxley—koniecznem jest, aby wykłady były realne, t. j. aby umysł ucznia bezpośrednio się stykał z faktami, ażeby tenże nie tylko słyszał o pewnym przedmiocie, lecz nadto ażeby za pośrednictwem

---

[1]) Patrz rozprawę H. o konieczności udoskonalenia nauczania przyrodniczego, odczyt wygłoszony w St. Martin Hall w r. 1866, a wydrukowany następnie w „Fortnightly Review“ (w niemieckim: „Reden und Aufsätze“, przekład Fr. Schultzego 1877).

[2]) „O wartości pedagogicznéi nauki przyrodniczéj“ odczyt wygłoszony w St. Martin Hall w r. 1854 i w tymże roku jako osobna broszura ogłoszony („Reden und Aufsätze“ l. c.)

„O studyowaniu zoologii“, odczyt wypowiedziany w Sout Kensington Museum, późniéj drukiem ogłoszony („Reden und Aufsätze l. c.).

„Odczyt o nauczaniu biologii“ ogłoszony w South Kenigston-Museum w roku 1876 (w zbiorze odczytów przełożonych na język niem. przez prof. J. Spengela p. t. „Thomas H. Hnxley's in Amerika gehaltene wissenschaftliche Vorträge nebst i t. d.“ 1879).

własnego rozumu i własnych zdolności przekonał się, że dany przedmiot jest takim, a nie innym. Wielką doniosłość pedagogiczną nauk przyrodniczych, doniosłość, dla któréj przewyższają one inne umiejętności, stanowi właśnie to, że przy nich umysł ucznia bezpośrednio zetknąć się może z faktami i w najdoskonalszy sposób może się ćwiczyć w indukcyi. Inne nauki nie mają téj właściwości, nawet i matematyka, postępująca prawie zupełnie dedukcyjnie. Nie można—powiada Huxley—pokazać własnym oczom ucznia bitwy pod Termopilami, ani téż nie można go przekonać w sposób niezbity, że Cromwell opanował niegdyś Anglię. Na téj drodze uczeń nie styka się bezpośrednio z faktami; tutaj uczeń nie może być wolnym od wiary w autorytety, musi raczéj tylko na nich polegać, a to szkodliwy wpływ wywiera na umysł młodzieńca, bo paraliżuje samodzielność myśli. Nauki przyrodnicze z powyższych względów przygotowują też ucznia w najodpowiedniejszy sposób do życia praktycznego. Albowiem, pyta Huxley — co czynimy w życiu codziennćm? Większa część naszéj działalności, wymagająca uwagi naszéj, stosuje się do faktów, a te należy przedewszystkiém właściwie obserwować i pojmować, po drugie zaś—drogą myślenia indukcyjnego i dedukcyjnego objaśniać — a metoda ta jest zupełnie podobna do téj, jaką stosujemy w spostrzeżeniach przyrodniczych. Co przyjmujemy za pewnik, przyjmujemy to w jednym i drugim wypadku na własną naszą odpowiedzialność; rzeczywistość i rozumowanie to ostateczni sędziowie, a cierpliwość i sumienność tu i tam największe przezwyciężają trudności.

Ale naturalnie nauki przyrodnicze spełniać mogą wielkie swe zadanie pedagogiczne, tylko wtedy, jeśli wykład ich należycie jest prowadzony. Huxley walczył też przeciwko książkowemu nauczaniu historyi naturalnéj, fizyki, chemii i t. d., a nauczanie takie było jeszcze niedawno nadzwyczajnie rozpowszechnione; cały prawie ogół pedagogów uczył nauk przyrodniczych tak, jak się uczy gramatyki greckiéj lub łacińskiéj. Huxley przyczynił się bardzo do reakcyi w tym względzie; jego słynne odczyty przeciwko takiéj metodzie wykładu nauk przyrodniczych, wygłaszane w Anglii i w Ameryce, odczyty, które następnie były umieszczane w najpoczytniejszych organach i na wszystkie niemal języki europejskie zostały przełożone, skuteczną staczały walkę z zastarzałemi poglądami.

Nie tylko atoli w wykładach przeznaczonych dla młodzieży szkolnéj za mało się częstokroć uwzględnia ważną zasadę, aby uczeń sam, osobiście stykał się z przedmiotami przyrody. To samo tyczy się także w wielu wypadkach wykładów uniwersyteckich, a Huxley walczył przeciwko temu, dosadnie wykazując szkodliwe skutki takiego

postępowania. W wykładach uniwersyteckich można podawać mniéj faktów naukowych, byleby tylko każdy fakt przyrodniczy słuchacz sam osobiście mógł sprawdzić. Zajęcia praktyczne w laboratoryach to najważniejsze zadania studyów uniwersyteckich, przerobienie anatomii jednego chociażby przedstawiciela każdéj większéj grupy zwierząt bez porównania więcéj nauczy słuchacza uniwersyteckiego, aniżeli najobszerniejszy czysto teoretyczny wykład o budowie całéj grupy. Wykłady teoretyczne powinny być tylko niejako komentarzem do prac laboratoryjnych, a wszelkie uogólnienia i wnioski nauczyciel powinien opiérać na tém, o czém słuchacz sam się mógł przekonać podczas swych zajęć praktycznych. W tych poglądach Huxleya kryje się głęboka znajomość psychologii młodzieży studyującéj. Wierny swym zasadom Huxley, napisał kilka znakomitych podręczników, w których systematycznie przeprowadził swój program. W swojéj „Fizyografii", przeznaczonéj dla początkujących, prowadzi on ucznia od przedmiotów, które najbliżéj go otaczają, tłumaczy mu naprzód zjawiska, z któremi tenże bezpośrednio i przedewszystkiém się styka w otaczającéj przyrodzie i stopniowo przechodzi do przedmiotów odleglejszych. Niedoścignionéj wartości pracą była „Biologia praktyczna" Huxleya (przełożona na język polski przez prof. A. Wrześniowskiego). Po téj książce zjawiły się w literaturze i inne podobne, ale dzieło Huxleya było pierwszém w swoim rodzaju. Autor wybiera pewną ilość przedstawicieli ze świata roślinnego i zwierzęcego i prowadząc niejako ucznia za rękę, rozpatruje razem z nim wszystkie znamiona zewnętrzne oraz daje mu dokładne wskazówki, jak ma dany przedmiot badać pod względem anatomicznym lub histologicznym, używając przytém sposobów najprostszych, metod najmniéj złożonych i najmniéj kłopotliwych. W słynnych swoich podręcznikach „Anatomii zwierząt bezkręgowych" oraz „Anatomii kręgowców" trzyma się takiéj metody, iż szczegółowo opisuje budowę jednego tylko przedstawiciela pewnéj grupy zwierząt, przedstawiciela, którego anatomią uczący się mógłby sam przerobić, a do tego opisu nawiązuje dopiéro inne pokrewne fakta i wyciąga wnioski teoretyczne. Tak samo postępuje w monografii, traktującéj o raku rzecznym. Słowem, Huxley stworzył nową metodę pedagogiczną w nauce biologii, metodę, któréj skutki okazały się niesłychanie dodatniemi.

* *
*

Znamiennêm dla myśliciela angielskiego było dążenie do tego, aby wszelką dziedzinę zjawisk traktować naukowo, i stosować do niéj ściśle naukowe metody. Myśli, w tym kierunku wypowiadane, rozrzucone są we wszystkich niemal jego pismach. Przedewszystkiém zaś stosował je Huxley do najulubieńszych swych przedmiotów, nad któremi sam pracował, a mianowicie: do zoologii i anatomii, historyi rozwoju, fizyologii, geologii i paleontologii. Był on daléj wielkim przeciwnikiem zasklepiania się w ciasnych granicach specyalności naukowéj. Jego zdaniem, przyrodnik nie powinien nigdy tracić z oczu związku, istniejącego pomiędzy różnemi gałęziami nauk przyrodniczych, powinien zawsze być świadomym wielkich idei przewodnich, kierujących badaczami na wszystkich polach umiejętności ludzkich i zdawać sobie sprawę z wzajemnego związku tych idei. Godzenie nauk przyrodniczych z filozofią jest ważnym warunkiem rozwoju dla jednych i dla drugiéj, pozwala bowiem tu i tam poznać i ocenić błędy. Wynik téj ugody określa Huxley w następującém zdaniu [1]: „Nauki przyrodnicze przyznają, iż wszystkie zjawiska przyrody, jeśli je rozłożymy na ostateczne składniki, znane są nam tylko jako stany naszéj świadomości—filozofia zaś przyznaje, że stany świadomości praktycznie można objaśnić tylko metodami i formułami nauk przyrodniczych, a tak filozofowie jak i naturaliści uwzględniają następującą maksymę Descartes'a: nie uznawaj żadnéj zasady, któréj by treść nie była tak jasna i wyraźna, że wyłączałaby wszelką wątpliwość." Swoje *credo* filozoficzne streszcza Huxley w rozprawie o dziele Descartes'a „Discours de la Metode" następującemi słowami:

„Sądzę, że ciało ludzkie, jak wszystkie wogóle ciała żyjące, jest machiną, któréj procesy prędzéj lub późniéj objaśnione zostaną według zasad mechanicznych. Sądzę, że prędzéj lub późniéj dojdziemy także do mechanicznego równoważnika świadomości, zupełnie tak samo, jak doszliśmy do takiegoż równoważnika ciepła. Jeżeli ciężar funtowy, spadający z wysokości jednéj stopy, wytwarza określoną ilość ciepła, które słusznie nazywamy jego równoważnikiem, to ten sam funt spadając na rękę ludzką, wywołuje określoną ilość poczucia, które z takiém samém prawem możemy nazwać jego równoważnikiem świadomości. A ponieważ wiemy, że istnieje pewien stosunek pomiędzy intensywnością bólu a wielkością pragnienia pozbycia się tego bólu,

---

[1]) P. T. H. Huxleya „O dziele Descartes'a: Discours de la Methode pour bien conduire sa Raison et chercher la Vérité dans les Sciences", rozprawa ogłoszona w „Macmillan's Magazine" („Reden u. Aufsätze" l. c.)

i ponieważ zachodzi pewien stosunek pomiędzy intensywnością ciepła lub mechanicznéj siły, jaka wywołała ból, a samym bólem, jasném jest przeto, że istnieje możność wykrycia związku pomiędzy siłą mechaniczną a wolą. Do tego samego wyniku prowadzi nas także fakt, iż w pewnych granicach intensywność pracy mechanicznéj, którą wykonywamy, proporcyonalna jest do intensywności woli naszéj." „Jestem przekonany — powiada myśliciel angielski — że dalsze rozwijanie tych poglądów przez materyalistyczną szkołę filozofów, wywrze ogromny a nadzwyczajnie dobroczynny wpływ na fizyologię i psychologię."

„Jeśli jednak zwolennicy téj szkoły wybiegają po za szranki swéj drogi i zaczynają gadać, że we wszechświecie nic ma niczego innego po nad siłę i materyę, oraz prawa niewzruszone — w takim razie nie mogę już tam pójść z niemi." „Przypominam bowiem, jak to już Descartes był udowodnił, że cała nasza wiedza, to tylko znajomość stanów świadomości. „Materya" i „siła", są to, o ile je znamy, tylko nazwy dla pewnych stanów świadomości. „Niewzruszoném" jest to, czego przeciwieństwa nie możemy pojąć. „Prawem" nazywamy regułę, która zawsze się sprawdza i o któréj przypuszczamy, że zawsze sprawdzać się będzie. Jest to tedy prawdą niezaprzeczalną, że to, co nazywamy światem materyalnym, znamy tylko pod postaciami świata idealnego. Jeśli powiadam, że nieprzenikliwość jest własnością materyi, to wszystko, co mogę w tym razie rzeczywiście pomyśléć, sprowadza się do tego, iż pojęcie, które nazywam rozciągłością i pojęcie, które nazywam oporem, występują zawsze pospołu."

* * *

W jednéj ze swoich prac treści filozoficznéj, Huxley powiada, że istnieją ludzie uważani za wielkich, ponieważ dają wyraz charakterowi swego wieku, odzwierciedlając go wiernie w swych pismach; do takich należał np. Voltaire. Istnieją atoli inni, którym dlatego przypisywana bywa wielkość, iż wcielają to, co dopiéro w przyszłości stanie się cechą wieku, wyprzedzają niejako swym umysłem stulecia. Do takich należą wielcy geniusze w rodzaju Descartesa, Darwina i t. p.

Huxleya nie można zaliczyć do téj drugiéj kategoryi myślicieli, ale bez chwili wahania nazwać go można wielkim, zaliczając go do pierwszéj kategoryi potentatów ducha. W historyi nauki dobiegającego ku schyłkowi stulecia, Huxley zajmie jedno z najwybitniejszych stanowisk, bo odzwierciedlał z przedziwną dokładnością wielki ruch

umysłowy na polu postępu nauk przyrodniczych, a zwłaszcza postępu przewodnich idei biologii, które tak wyraźne wycisnęły piętno na całym ruchu umysłowym naszego wieku [1]).

Dr. Józef Nusbaum.

---

[1]) T. H. Huxley urodził się w r. 1825, zmarł 29 czerwca 1895 r. Po ukończeniu studyów uniwersyteckich odbył podróż po oceanie Południowym na okręcie „Rattlesnake.“ W r. 1853 został profesorem w Szkole górniczéj w Londynie, a następnie był profesorem biologii w Royal College of Science w Londynie aż do ostatnich dni życia.



PO ZDROWIE.

POWIEŚĆ.

(Dokończenie).

Od ostatnich wypadków upłynęło dni dziesięć, a ja jeszcze siedziałem w Meranie i czekałem na list od Ruszczyca. Dobre czy złe przyniósłby wieści, chciałem ich sam udzielić Zosi. Nareszcie list przyszedł, a ja otworzyłem go drżącemi rękami.

— Jurek mój umarł, — pisał Ruszczyc, — wielka sprawiedliwość rządząca ludzkością zabrała mi i jego. Wczoraj patrzyłem jak wrzucili go w dół, przysypali ziemią, a dziś jestem już w Zdruczu sam z moim bólem. Za list dziękuję ci. Co z sobą zrobię, nie wiem jeszcze. Nie umiem myśléć ani zastanawiać się i wiem to tylko, że mi jest źle. Pokaż ten mój list pannie Zofii i co każe mi powiedzićć, napisz. Przyrzekłeś mi to, pamiętaj. *Ruszczyc.*

Siedziałem bez ruchu i myśli, a raczéj z myślą, ale jedną tylko.

— Co tych dwoje zrobi teraz z sobą?—co zrobi Zosia, gdy dowie się, że jéj ukochany cierpi takie katusze, a lekarstwo na nie spoczywa w jéj ręku?

Ha! trudno, co będzie to będzie, a im prędzéj tém lepiéj. Była dwunasta, schwyciłem kapelusz i skierowałem się do Parvy. Zastałem wszystkie panie, Leona, Włastowicza i Dolskiego. Jania siedziała na dywanie, ubierała lalkę i śpiewała wesoło.

— Dobrze żeś pan przyszedł, — odezwała się pani Adela, podając mi rękę,—właśnie wychodzimy.

A Zosia spojrzała na mnie badawczo, poczém zwróciła się do pani Przygodzkiéj.

— Adelciu, ja dziś nie pójdę z wami, jestem osłabiona, nie dojdę daleko i zepsuję wam spacer. Pan mecenas przyszedł, to pozostanie ze mną, czy dobrze?

Skłoniłem się w milczeniu, pani Adela spojrzała na nią z niepokojem.

— To może i ja zostanę; wiész, że mi na spacerze nie zależy, bo jestem zdrowa, a o ciebie byłabym niespokojna.

— Nie, nie, możesz iść śmiało, mnie się tu nic nie stanie. Będę sobie grała a pan mecenas będzie słuchał.

Pani Adela wyszła i wróciła po chwili, niosąc jakąś flaszkę, szklankę wody i łyżkę.

— W razie czego, weź zaraz Zochno piętnaście kropel, ale, może, da Bóg, nie będzie potrzeba.

Po chwili zostaliśmy sami, Zosia—i ja z listem w kieszeni. Chodziłem po pokoju niespojnie i nie mogłem odważyć się na pierwsze słowa. Zosia siedziała ze splecionemi rękami, przeprowadzała mię wzrokiem i milczała, także widać obawiając się, przerwać źle wróżącą ciszę.

— Panno Zofio,—odezwałem się wreszcie, czując, że mi głos drży i że w żaden sposób nie będę w stanie nadać mu spokojniejszego brzmienia.—Panno Zofio, przynoszę pani złe wieści.

W jednéj chwili była przy mnie.

— Chory, prawda że chory? —ale może nie bardzo, o! powiédz pan, że nie bardzo!

Patrzyła na mnie z trwogą śmiertelną, usta jéj zbielały, zęby dzwoniły.

— Cóż znowu! — zawołałem przerażony nagłą zmianą jéj twarzy,—zdrów jest, przysięgam pani, że zdrów.

Podałem jéj szklankę wody, a gdy napiła się, dzwoniąc o szkło ząbkami, poprowadziłem ją do kanapki.

— Janusz jest zdrów, inaczéj nie mógłby pisać do mnie, a oto jego list.

Wyciągnęła obie rączki, ale ja wstrzymałem się jeszcze.

— Dam go pani, bo i on żąda tego ode mnie, ale przyznaję się, że wolałbym nie dać, wolałbym żebyś pani odmówiła przeczytania go.

Potrząsnęła głową.

— Nie, o nie! — nie żądaj pan tego odemnie.

Popatrzyłem na nią z żalem.

— Więc dobrze, oddaję go pani w ręce, ale proszę jeszcze nie czytać, jeszcze chwilkę—proszę uspokoić się wpierw choć trochę.

Trzymała list w rękach i czekała.

— Jurek umarł, prawda? — szepnęła cicho.

— Umarł.

— A on jest sam, zupełnie sam, cierpi i mnie przy nim nie ma!?

Szybko wyjęła list i poczęła przebiegać go oczami; — skończyła i znów czytała od początku, wreszcie ręce i list opuściła na kolana, ściągnęła brwi i siedziała z wzrokiem utkwionym przed siebie. Obserwowałem ją uważnie i widziałem jak na jéj gładkiém czole zarysowała się głęboka bruzda, jak na twarzy i w nieruchomych oczach zajaśniała jakaś myśl, znikła, znów powróciła i wreszcie pozostała, odciskając na delikatnych rysach wyraz nieugiętéj stanowczości. Teraz dziewczyna podniosła się, położyła list na stole i stając przedemną z rękami założonemi na piersiach, rzekła wolno i dobitnie.

— Napisz pan proszę panu Ruszczycowi, żeby przyjechał tu, jeśli to ma mu być ulgą w jego bólu.

Podniosłem się także — wejrzenia nasze skrzyżowały się z sobą, ale Zosia nie spuściła oczu.

— Czy to pani ostatnie słowo?—zapytałem poważnie.

— Ostatnie. — Jeżeli pan nie napiszesz, to napiszę ja. Nikt, nawet Bóg, nie ma prawa wymagać od nas poświęcenia, które przechodzi siły człowieka.

— Czy pani wiész, co to postanowienie pociągnie za sobą? Jeżeli dziś nie możecie żyć bez siebie, cóż będzie gdy panią na wiosnę powołają do domu?

— Nie pojadę, — odparła krótko,—pójdę za nim wszędzie gdzie mi każe i zrobię co zechce, byle nie cierpiał.

— On nie będzie cierpiał, masz pani racyą,—tylko będą cierpieli inni, ale ci kochają panią inaczéj niż on... i tych pani kochasz także inaczéj niż jego...

Zachwiała się i ręką schwyciła za poręcz krzesła, ale po chwili wyprostowała się znowu i rzekła z mocą, jakby o prawdzie swych słów chcąc przekonać samą siebie raczéj, niż mnie.

— Wolę, żeby cierpieli inni i wolę, żebym cierpiała ja sama, niż on. Zastukano do drzwi i wszedł listonosz. Podszedłem, wziąłem od niego list, a spojrzawszy na adres, podałem Zosi. Po markach poznałem, że jest z kraju, po jéj spojrzeniu, że od rodziców.

— Proszę, niech pani przeczyta, — odezwałem się siadając i biorąc do ręki jakąś książkę.

Rzuciła list na stół.

— Nie, przeczytam późniéj.

Podniosłem się, wziąłem list i zbliżyłem się do niéj.

— Panno Zofio, — w téj chwili decydujesz sama o całym losie twoim, Janusza i twoich najbliższych. To jest chwila bardzo ważna, a ważna dlatego, że raz postanowiwszy, cofnąć się już nie będziesz mogła. Ja jestem stary, znam życie, a przytém kocham Janusza i przez niego, oraz przez krzywdę, jaką wyrządził ci bezwiednie, kocham i ciebie także, i dlatego proszę cię, przeczytaj list od rodziców, a co postanowisz potém, zrobię święcie bez jednego słowa protestu.

Posłuszna, wzięła list i rozerwała kopertę, a ja stanąłem przy oknie, by jéj nie przeszkadzać. Po chwili zawołała na mnie słabym głosem. Odwróciłem się szybko. Siedziała oparta o poręcz krzesła, blada bardzo, drżącemi rękami podała mi list rodziców i rzekła cichym głosem:

— Proszę, przeczytaj pan.

Zawahałem się patrząc na nią z trwogą, ale ona poruszyła się niecierpliwie i zawołała głośniéj:

— Przeczytaj pan, bo to jest konieczne.

Nie sprzeciwiałem jéj się i rozwinąłem papiér. Stary Dolski pisał drżącą ręką:

„Dziecko moje! Twój list przeraził nas, nie przez wzgląd na tego waryata, ale przez wzgląd na ciebie i twoje zdrowie. Na wszystko zaklinamy cię, nie martw się i przez pamięć na nas starych i stęsknionych do ciebie, staraj się być zdrową i silną. Wiédz, że jesteś światłem i dumą moich starych oczu, że mogę wyprzéć się syna i jeszcze będę szczęśliwy, jeżeli ty moje dziecko wrócisz do mnie zdrowa i wesoła. Nie bierz do serca szaleństw Julka, niech gra, niech traci, niech straci wszystko co przeznaczyłem dla niego. Gdy zobaczy się bez chleba, może wtedy opamięta się i weźmie do pracy. Praca to najpewniejszy środek i najlepsze lekarstwo na wszystko. Piéniądze musicie już miéć, bo wysłałem je natychmiast. Listu nie pisałem, bo chciałem wpiérw uspokoić się i przyjść do równowagi. Czemuś ty taka smutna moje dziecko? Czy tylko z przyczyny Julka, czy z innych powodów? Nie taj nic przed twymi rodzicami, bo oni umieją czytać między wierszami, kreślonemi twoją ręką. Powiédz czego ci brak, czego sobie życzysz, co ci dolega? Wszystko zrobimy dla ciebie, wszystko co tylko w mocy serc rodzicielskich, — ty chyba wiész o tém. I pisuj do nas jak najczęściéj, a zawsze prawdę. Tacy przyjaciele, jak rodzice, zasługują na to, by dziecko nic nie taiło przed nimi. O twojém zdrowiu myśl w dzień i w nocy i pamiętaj, że to nasz skarb największy

i nasze wszystko. Jeżeli Julek nie upamięta się, i—po nim wszystkiego można się spodziewać, —jeżeli dojdzie nawet do tego, że splami nasze czyste nazwisko, pamiętaj Zochno, że wtedy tylko ty nam pozostaniesz i że ja nawet w takiéj chwili nie będę się skarżył Bogu, bo będę miał przy sobie moją czystą, białą dziecinę, ciebie Zochno."

Skończyłem, złożyłem list i podałem go nieruchoméj dziewczynie.

— Weź go pan, — poczęła z wysiłkiem — poślij do Zdrucza i... i napisz jeszcze, że... że nie zobaczymy się już nigdy, że nie możemy się widziéć... on zrozumié... przebaczy...

Chciała się podnieść, poruszyła rękami i wyprostowana, sztywna, upadła napowrót. Poskoczyłem do niéj, — była bez zmysłów, a ja bezradny ułożyłem jéj główkę i patrząc z żalem na trupią twarzyczkę, powtarzałem bezmyślnie:

— Biédne dziecko! biédne dziecko!

Przez otwarte drzwi, doleciały wesołe głosy. W jednéj chwili byłem na tarasie.

— Pani Adelo! panna Zofia zemdlała, a ja nie umiem z tém sobie poradzić!

Kilkoma skokami Dolski był przy mnie, wpadł do pokoju, ukląkł przy siostrze i począł całować jéj ręce. Pani Adela odsunęła go.

— Zostaw ją pan i puść pana Leona — jak to dobrze żeśmy wrócili wcześniéj — noża? — zaraz przyniosę.

Leon wziął zemdloną na ręce jak dziecko i przeniósł na kanapkę. Siłą otworzył zaciśnięte zęby i wlał w usta kilka kropel koniaku. Napróżno. Spuszczono jéj główkę, by krew nabiegła do mózgu, ale i to nie pomogło. Marynia łkała, pani Adela była zaniepokojona.

— Panie Leonie, co to jest? — szepnęła.

— Zaraz, zaraz, pomóż mi pani rozpiąć stanik i zrzucić gorset — o tak. — Przyłożył do boku dziewczyny rękę, potém ucho. — Zwykłe zemdlenie, tylko bardzo silne, wpadnę do siebie po eter.

Dolski stał przy oknie blady bardzo, Julka go uspakajała cała drżąca, Marynia zanosiła się od płaczu, pani Adela rozcierała blade dłonie zemdlonéj. Może lepiéj byłoby dla niéj, gdyby jéj nie docucono, — myślałem — przywołają ją do życia i co ono jéj da, to życie? I myślałem jeszcze, że gdyby Ruszczyc tu był, serce pękłoby mu, od samego widoku téj zmartwiałéj, dziewczęcéj twarzy.

Po półgodzinnych wysiłkach Leona, Zosia otworzyła wreszcie oczy i spojrzała przed siebie bezmyślnie. Porwałem kapelusz i listy i uciekłem.

A teraz trzeba mi było uciekać naprawdę, nie z Parvy, lecz z Meranu. Zrobiłem co mi dyktowało sumienie, na resztę nie poradzę. Dziś poniedziałek, zatém wyjadę jutro — nie, pojutrze. Jutro jeszcze ją zobaczę, może wyjadę spokojniejszy. Począłem zbierać drobiazgi i układać książki, chociaż mi nie szło. Ruszczyc! Co on tam robi teraz? co myśli? Widziałem go ciągle, albo nad grobem dziecka, albo na owym balkonie w Zdruczu, z którego coś go ciągnęło w przepaści Dniestrowe i myślałem o nowym bólu, który miałem mu zadać moim listem. Prawda, list! — trzeba napisać. Usiadłem, ale nie byłem w stanie ani pocieszać go, ani dodawać mu otuchy do życia. Opisałem jak było, wiernie i szczerze. Niech wié, że nie sam cierpi, nie sam kocha, nie sam się poświęca. Ona taka wątła, biédna, i umiała być mężną. To może mu doda siły i odwagi do życia. Skończyłem, włożyłem w kopertę list starego Dolskiego i mój własny, poszedłem na pocztę, a potém na obiad. Ale nie mogłem jeść, coś mię podnosiło, wyleciałem z sali i poszedłem w góry. Fizyczne zmęczenie uspokoiło mi nerwy. Była dziewiąta, gdy wróciłem zgrzany, zmordowany i głodny, a dobiegała dziesiąta, gdy zastukałem do drzwi Leona. Nie otworzono mi, więc poszedłem na górę, pełen nowych niepokojów. W saloniku było cicho i pusto, sypialny pokój Zosi był oświetlony, we drzwiach ukazała się Julka.

— Czy chora? — zapytałem szeptem.

— Bardzo osłabiona, trochę gorączki i silny ból głowy. Pan Leon mówi, że to czysto nerwowe i że jutro będzie dobrze.

— Czy płacze?

— Nie.

Pomyślałem, że lepiéj byłoby dla niéj gdyby płakała, ale nie odezwałem się z tém; a Julka, siadając i mnie obok siebie miejsce wskazując, mówiła znowu:

— Chciałam siedzieć przy niéj w nocy, bo Dolski téż się rozchorował na migrenę i leży u siebie bez duszy, ale Adelka nie chce. Powiada, że ona i pan Leon wystarczą i ma racyę, tylko że ja, choć położę się, nie usnę. Będę ciągle myślą tu.

— A panna Marya téż tam? — zapytałem, ręką na drzwi wskazując.

— Nie, uprosiłam ją, żeby się położyła, zwłaszcza że i Jania nie chciała iść spać bez niéj, ale obiecałyśmy jéj, że obudzimy ją o drugiéj w nocy i że wtedy zastąpi Adelkę. Naturalnie ani nam to w głowie. Spłakała się i zmartwiła, niech się przynajmniéj wyśpi.

— Ja myślę, — odezwałem się — że jak tylko będzie możliwe,

niech panie wyjadą z Meranu. Nowe okolice, nowi ludzie, morze, jednem słowem zmiana, wszystkim paniom zrobi dobrze.

— Tak też zrobimy, bo i pan Leon radzi tam samo. Jak to dobrze, że on z nami pojedzie, sama myśl o nim uspakaja mię.

Pożegnaliśmy się. Odszedłem spokojniejszy, a nazajutrz wstałem rano i zacząłem się pakować na dobre. Była może godzina jedenasta, gdy wszedł Leon.

— Cóż Zosia?

— Lepiéj, wstała nawet, ale jabym ją stąd wywiózł jak najprędzéj. Nie zdarzyło mi się spotkać w mojéj praktyce, podobnego zdenerwowania. Nawet głośniéj mówić przy niéj nie można — drży na najlżejszy szelest.

Umilkł i przyglądał się moim pootwieranym kuferkom.

— Już się pan mecenas pakuje?

— Tak, zdecydowałem się jechać jutro, a że chciałem przedtém pomówić z tobą, więc dobrze żeś przyszedł.

— Ja właśnie przyszedłem pożegnać pana, bo... wyjeżdżam dziś.

Odwróciłem się szybko.

— Co? już na Rivierę? Czy i panie zdecydowały się jechać?

— Nie, ja wracam do Warszawy.

— Jakto? — skądże? — Czy matka zachorowała?

— Nie, ja jestem już zdrów i wracam.

Patrzyłem na niego wytrzeszczonemi oczami, słowa z siebie wydobyć nie mogłem, wreszcie wybuchnąłem:

— Oszalałeś!? Ty jesteś zdrów i ty wracasz na najgorszy czas do kraju? ty?

Leon odwrócił głowę.

— Czuję się już na siłach po temu.

— Więc dowiédz że się ode mnie, że chcesz popełnić waryactwo. Wczoraj rozmawiałem z twoim Fell'em, możesz być zdrów, jeśli co najmniéj do maja posiedzisz tu, inaczéj...

Urwałem i odwróciłem się, by mi nie wyczytał z twarzy za wiele, ale on odparł spokojnie:

— Może i waryactwo, jeśli pan tak chcesz koniecznie, ale ja muszę jechać i muszę wziąć się do pracy i to ciężkiéj.

Przypatrzyłem mu się uważnie.

— Słuchaj mój chłopcze, przecież jestem twoim starym przyjacielem, jeśli ci idzie o piéniądze, toż przecie na miłość Boską możesz przyjąć pomoc ode mnie. Przyjąłeś ją gdy byłeś dzieckiem, dług spłaciłeś, dlaczegóżby teraz...

— Nie panie, mam piéniądze, a gdybym potrzebował, udałbym się tylko do pana. Proszę wierzyć, że ja jechać muszę.

Nie rozumiałem nic i naraz strzeliła mi do głowy myśl, że jeden z nas nie jest przy zdrowych zmysłach, ale który?

— Więc dlaczego? — wybuchnąłem znowu — powiédz że mi dla czego musisz? Czyż nawet na tyle zaufania nie zasłużyłem sobie u ciebie? — Leonie?

Milczał chwilę, jakby walczył z sobą, wreszcie zaczął, a słowa wychodziły mu z ust z trudnością:

— Muszę jechać... potrzebna mi równowaga moralna, a tę może mi dać tylko praca. Nie pytaj mię pan więcéj.

Równowaga moralna... równowaga... w głowie poczęło mi coś świtać, ale jeszcze niewyraźnie. Czyżby? ale nie, niepodobna. Więc może? ale i to nie. Chodziłem po pokoju szerokiemi krokami, stawałem, znów zaczynałem chodzić, wreszcie nagły błysk rozjaśnił mi zmieszane i poplątane z sobą przypuszczenia i domysły. Pani Adela!

Tak, że ja téż wpierw nie wpadłem na to, że nie wpadłem! Taki młody chłopak! nie znał świata, nie znał kobiet, toż to było do przewidzenia, a ja osioł myślałem, roiłem... Tak, anioł i do tego taki piękny anioł!... Począłem chodzić coraz prędzéj, w duszy coś mi się gotowało. — Cóż u dyabła? — myślałem ze złością, — czyż już młodzi w żaden sposób nie mogą żyć obok siebie bez miłości? a miłość na to tylko istnieje by łamała życie ludziom?

— Słuchaj Leonie, — zacząłem głośno, stając przed nim — domyślam się, że się zająłeś panią Przygodzką, ależ na litość Boską, czyż dlatego masz koniecznie marnować życie i osieracać matkę? Pamiętaj, żeś dla niéj wszystkiém i że ona warta pewnéj ofiary z twéj strony.

Leon pobladł i cofnął się.

— Jakąż ja tu mogę zrobić dla niéj ofiarę?

— Jaką? — I ty się jeszcze pytasz? Chcesz ratować twoją równowagę moralną i tu masz zupełną słuszność, a więc ratuj ją w inny sposób. Nie jedź na Rivierę, zostań tu, albo jeszcze lepiéj, wybierz sobie jakąkolwiek inną miejscowość i lecz i ciało i duszę.

— To niepodobna!

— Dlaczego?

— Dlatego, że ja znam siebie, że nie wytrzymałbym ani tu, ani nigdzie, że przyszłoby mi zwaryować chyba, albo — pojechałbym na Rivierę. Ja muszę się liczyć z moją naturą.

Wobec takiéj stanowczości czułem się bezradnym, więc zacząłem tylko chodzić, powtarzając bezwiednie:

— Co wy wyrabiacie! co wy wyrabiacie!

A Leon wziął obie moje ręce i uścisnął je silnie:

— Wybacz mi pan przykrość, jaką ci robię i nie sądź o mnie źle. Tak być musi, jak postanowiłem. Nie jestem już dzieckiem, pragnę żyć dla matki i dla nauki, będę się starał o zachowanie zdrowia, choćby przez samo poczucie obowiązku, ale właśnie dlatego nie mogę tu zostać. Muszę się ratować póki czas — powinienem był to zrobić wcześniéj — ale nie wiedziałem, nie zdawałem sobie sprawy, muszę uciekać przed samym sobą. Tam mnie czeka praca, dotąd była mi wszystkiém, teraz może mi będzie lekarstwem, w kraju może trafię na suchą zimę...

— Na suchą zimę! — Toż ty nie potrzebujesz waryować, boś już postradał zmysły. Leonie! w imieniu twojéj matki i tego społeczeństwa, któremu pragnąłeś być użytecznym...

Ale on puścił moją rękę i spojrzał na mnie z żalem.

— Czemu utrudniasz mi pan walkę z samym sobą? Czy pan nie rozumiész, że uciekam właśnie dlatego, że się chcę ratować — że prócz pana i we mnie wszystko woła zostań, i że ja ostatnich sił dobywam, by tego głosu nie posłuchać? Ja muszę... muszę... to byłoby nikczemném... potém byłoby może zapóźno... a może i teraz już zapóźno...

Chwycił kapelusz, chciał wybiedz bez pożegnania, przytrzymałem go.

— Czekaj, ja pomówię z panią Adelą, tyś pewno nie mówił z nią o tém, może to się da inaczéj zrobić — dlaczego nie miałbyś jéj się podobać...

Wyrazy cisnęły mi się na usta bezładnie, Leon zbladł jak papiér, chwilę stał milcząc, wreszcie rzekł z mocą:

— To byłaby podłość! Nie należę do siebie i nigdy nie będę filistrem ciułającym grosze i poza własną rodziną nie widzącym nic. Nie mogę sprzeniewierzać się moim zasadom, nie licząc nawet tego, że ona nie będzie miała nic, że ja nie mam nic i że ona za mąż nie wyjdzie. Żegnam pana!

Byłem przybity.

— A pisz przynajmniéj do mnie — do Paryża i donoś mi prawdę o twojém zdrowiu. Czekaj, masz mój adres i to. Przyrzeknij mi, że jeśli ci zbraknie pieniędzy, pójdziesz z tém do wskazanego bankiera i weźmiesz tyle, ile ci będzie potrzeba, tak jak gdyby to było twoje. Dziękuję ci. Pamiętaj zawsze, że ja nie jestem dla was zupełnie obcy, że nietylko węzły krwi łączą ludzi.

Byłem wzruszony, uścisnęliśmy się. Mnie oczy zaszły łzami, ale jego były suche.

O piątéj poszedłem na pociąg, by pożegnać go jeszcze raz, ale zegarek mój stanął widocznie i spóźniłem się. Było mi w pierwszéj chwili tak przykro, że zakląłem głośno i zrobiłem tém pewną sensacyę wśród szczupłéj garstki pasażerów, czekających na nadejście nowego pociągu. Potém nacisnąłem kapelusz na uszy, a że potrzebowałem ruchu, poszedłem pieszo.

Przy willi Parvie zatrzymałem się. Iść czy nie iść? Coś mię ciągnęło do bladéj twarzyczki Zosi, ale powstrzymała mię myśl o pani Adeli. Minąłem Parvę i szedłem daléj, rozmyślając z gniewem. — Jeżeli ona z całą świadomością próbowała na nim siły swoich oczu, to niech jéj Bóg tego nie pamięta! I co jéj po takim Leonie? — Przecie ma tylu na świecie, a on jeden u takiéj biednéj matki! Przypomniał mi się zapał, z jakim wzięła się do leczenia go. — „Zobaczycie, że on będzie zdrów, niechaj tylko ja wezmę go w swoje ręce!” I wyleczyła go — i byłby zdrów, tylko honoraryum miał zapłacić własną duszą! Zrobiło mi się smutno. Ruszczyc miał racyę, kobiéta to dziwne stworzenie, naprawdę dziwne! Minąłem willę Helwecyę i poszedłem na pocztę. W pokoju przeznaczonym dla interesantów, było prawie ciemno, nad stołem przeznaczonym do pisania listów, paliła się jedna tylko lampa. Pod ową lampą, tyłem do drzwi zwrócona, siedziała kobiéta i pisała. Pani Adela! Już miałem się do niéj zbliżyć, gdy coś mię powstrzymało. Machnąłem ręką i nie chcąc jéj przeszkadzać, począłem półgłosem rozmawiać z urzędnikiem. Zostawiłem mu mój adres i polecenie, aby listy nadeszłe do Meranu po moim wyjeździe, odsyłano według pozostawionego adresu do Paryża, a gdy skończyłem i odwróciłem się, pani Adeli już nie było. Wyszła tak cicho, że nie słyszałem nawet szelestu otwieranych i zamykanych drzwi. Tém lepiéj, — mruknąłem — nie byłem dziś usposobiony do ludzi, a do niéj, może niesłusznie, miałem żal głęboki. Zwolna schodziłem ze schodów, gdy nagle potrąciłem nogą coś, co się zesunęło, zabieliło i upadło na chodnik. List. — Podniosłem go i podszedłem do najbliższéj latarni. Koperta była rozerwana, adres na niéj następujący: — Meran, *poste-restante*, № 12,456. Czyżby Adela zgubiła? Ale nie, niepodobna, nikt przecie nie kontrolował odbieranych przez nią listów — pocóż uciekałaby się aż do *poste-restante*? Wsunąłem list w kieszeń i rozejrzałem się dokoła. Na ulicy było pusto zupełnie, pani Adela musiała skręcić w boczną uliczkę i zaraz będzie wracała. Gdy przyjdzie tu, pokażę jéj list i zwrócę, jeśli naturalnie przyzna się do niego. Począłem przechadzać się przed gmachem pocztowym, chodziłem kwadrans, półgodziny,

wreszcie zniecierpliwiony i zziębnięty wróciłem do domu. Wypadki ostatnich dni przygnębiły mię. Byłem zdenerwowany, zły na siebie, na ludzi, na świat i na wszelkie jego mądrości, wprost chory i fizycznie i moralnie. Postępek Leona wydał mi się arcy-rozsądny. Po co żyć, męczyć się, walczyć z wiatrakami, kiedy za lat sto, pięćdziesiąt nawet, nie pozostanie po nas i śladu? Trochę wcześniéj, trochę później, jeden dyabeł. Cała ludzkość, to wielki dom waryatów, którzy cierpią, szamoczą się i do ideału, do szczęścia dojść nie mogą i nie dojdą nigdy. *Das Dort ist nimmer Hier!* Gdyby Schiller to jedno tylko powiedział, już byłby wielkim, a Zosia, twierdząc, że świat jest piękny, tylko ludzie na nim smutni, także miałaby racyę, gdyby ludzie nie byli po największéj części źli i głupi. Świat jest ładny, zapewne, ale najidealniejszy krajobraz można zepsuć, jeśli na jego tło, rzucimy tłum brzydkich, szarych plam — stado ludzkie. Leon to prawdziwy filozof! Zapaliłem lampę i wyjąłem znaleziony list. Oglądałem go na wszystkie strony, kładłem, znów brałem do ręki, szary papiér dziwnie mię ku sobie pociągał. Skądżeby pani Adeli?... — zadecydowałem wreszcie. — Szybkim ruchem list z koperty wyjąłem i zacząłem czytać.

„Ado moja, nie gniewaj się! Cóżem ja winien, że cię kocham jak potępieniec, jak waryat! Nie mogę żyć bez ciebie, a te słowa w moich ustach, to nie frazes, to prawda i ty wiész o tém. Od chwil spędzonych w Mori nie jestem sobą. Jeszcze dziś czuję twoje pocałunki, a samo wspomnienie, że cię miałem w objęciach taką piękną i upojoną... żeś ty moja... o Ado! tracę zmysły, i nie wiem co się dzieje ze mną! Są chwile, w których mi się zdaje, że już dłużéj nie wytrwam, że polecę za tobą na koniec świata, że popełnię szaleństwo. Czemu Ty tego nie możesz, czy nie chcesz zrozumiéć? Czyś Ty wtedy nie była także szczęśliwa? I czemu nie chcesz, by te chwile wróciły? Być może, że straciłem rozum, ale nie mogę cię zrozumiéć, — bo sam, za jeden twój pocałunek, zaprzedałbym duszę. Zatém do Nizy nie wolno mi przyjechać. Obiecujesz wymyśléć jaki inny sposób — dobrze, ty jesteś panią, jam twój niewolnik, niech i tak będzie, tylko, niech będzie prędzéj, bo oszaleję.

Jak to dobrze, że Ruszczyc wyjechał. Jabym ich wszystkich powypędzał — chciałbym wiedzieć, żeś sama, że tęsknisz do moich pocałunków i wtedy byłbym może spokojniejszy. Znienawidziłem ludzi, odkąd wiem, że tak bardzo dbasz o ich opinię. Co ona ci da, ta baba stujęzyczna? — Czy miłość, czy rozkosz? Na świecie są tylko te dwie rzeczy, dla których warto żyć.

Nie umiem jeszcze myśléć co zrobię, gdy wrócisz do kraju; ale wmawiam w siebie, że nie będziesz w stanie odtrącić mię, że pozwolisz

mi przyjeżdżać i tam. Umiész przecie postępować tak, by nawet cień nie padł na ciebie. O, moja Ado! kocham cię wszystkiemi myślami, garnę cię do siebie, całuję twoje oczy i całą ciebie.

Twój *Aleksander*."

Skończyłem, ale ciągle jeszcze wpatrywałem się w list, a litery brały się za ręce, tworzyły wielkie koła, tańczyły przede mną i śmiały się szyderczo. Zagadka została rozwiązana, ale ja nie byłem jeszcze w stanie zgodzić się na takie rozwiązanie. Pani Adela! ta cicha, ta serdeczna, ta poświęcająca się, ten anioł, naprawdę anioł! Przecież patrzyłem, widziałem, przecież mam oczy. Nie prawda, nie! Broniłem się przed samym sobą, ale pomimo to coś we mnie pękało, topniały jakieś resztki złudzeń, ulatywały jakieś dawne wiary, a litery tańczyły i śmiały się szyderczo. Więc to prawda, więc jak kobiéta się uda, nie dorówna jéj nikt — w fałszu, nawet szatan.

Począłem się śmiać sam do siebie i sam z siebie, poczém wstałem i pakowałem się gorączkowo.

Nazajutrz udałem się do Parvy z pożegnaniem. I tu się pakowano. Przyjęła mię pani Adela, a po chwili ukazała się Zosia i zeszły z góry Julka i Marynia. Pani Adela nie spała już drugą noc, bo czuwała przy Zosi, była blada, zmęczona, uśmiechała się z dobrocią i co chwila zwracała niespokojne oczy na zmienioną twarz Zosi.

Julka i Marynia powiedziały mi, że po prostu uciekają z Meranu, tak im tu teraz smutno. Zosia ledwie się trzyma na nogach i nic nie mówi, pan Dolski jest przerażony jéj stanem, pan Leon wyjechał, nie wiedzą po co, dlaczego? — żeby nie poczciwa Adelcia, dostałyby melancholii. Prosiły mię, żebym się zatrzymał do jutra, to pojedziemy razem chociaż parę stacyi, ale odmówiłem stanowczo. I mnie wypychało coś z Meranu— czułem, że nie wytrzymałbym tu i godziny dłużéj nad to, co musiałem. Zacząłem się żegnać, przyszedł i Dolski, smutny i zgryziony, Marynia się rozpłakała, Jania nie chciała mię puścić, Zosia podała mi rękę, ale nie odezwała się, nie pytała o nic i o nic nie prosiła.

O piątéj siedziałem już w wagonie. Na peron wpadł Włastowicz.

— Żegnam pana!— zawołał podając mi rękę przez okno— szczęśliwéj podróży, pomyślnego ukończenia interesów i do zobaczyska w kraju!

Poczciwe Litwinisko także stracił na humorze, zmizerniał i kaszlał.

— Pan jedziesz z paniami do Nizy? — zapytałem.

— Jadę. Pani Keszmarowa sama mię o to zapytała i ucieszyła się, gdy powiedziałem, że jadę.

W oczach zaświeciło mu coś nakształt promyka nadziei. Uśmiechnąłem się.

— Życzę panu zdrowia najpierw, potém szczęścia.

Uścisnęliśmy się za ręce, pociąg ruszył. Jeszcze raz wychyliłem głowę.

— Nie wiesz pan jak na imię doktorowi Męckiemu? Muszę do niego napisać w interesie Leona.

— Aleksander! — krzyknął Włastowicz za oddalającym się pociągiem.

Pędziliśmy coraz szybciéj, minęliśmy łąki, na skłonie góry szarzał Winkelweg, wśród nagich drzew ciemniały dachy willi, daléj, wyraźnie odcinał się Zenoburg, a nad nim dumał sędziwy, w śniegi spowity szczyt Küchelbergu.

Wpadliśmy w wąwóz — Meran zniknął mi z oczu.

* * *

W Paryżu zatrzymałem się dłużéj niż myślałem, bo do pierwszych dni stycznia. Interesa nie pozostawiały mi wiele wolnego czasu do rozmyślań o ludziach, z którymi przeżyłem trochę dobrych, wiele złych chwil w Meranie, a jednak moje myśli nieraz mimowoli do nich uciekały. Z Nizy otrzymałem tylko jeden list od Maryni, z Warszawy jeden od Leona. Marynia była zachwycona Nizą, pisała, że wszyscy są zdrowi, prócz Zosi, która jeszcze bardziéj pomizerniała, nic nie mówi i po całych dniach gra, albo czyta, że Adelcia jest zawsze ich najukochańszą i najlepszą, że przyjechał z Meranu pan Jałbrzykiewicz i został im przedstawiony przez Dolskiego. Pan Dolski jeździ często do Monte-Carlo, ale nie bardzo przegrywa, pan Jałbrzykiewicz zaś rozstał się z Wiedenkami, wszedł na drogę wielkiéj skruchy i poprawy i kocha się w Adeli, która się z tego śmieje i od czasu do czasu, chcąc jak twierdzi, odetchnąć od jego westchnień, wyjeżdża do Florencyi, gdzie bawi jéj kuzynka.

Leon pisał krótko, że jest zdrów, że stara się dużo pracować i że nie żałuje swego powrotu, bo zima w kraju jest mroźna i sucha.

Potém nie odebrałem już od nikogo ani słowa i nic téż nie wiedziałem.

Wracałem koleją Wiedeńską w połowie stycznia. Czas był straszny. Dészcz spływał po oknach wagonu, wicher jęczał, zimno przejmowało do szpiku kości, po niebie, jak stada potwornych ptaków, sunęły szare, ciężkie chmury. Pierwsza moja myśl pobiegła do Leona.

— Ot mroźna i sucha zima! — pomyślałem z dreszczem, patrząc przez okna wagonu w ciemną przestrzeń.

Warszawa witała mię łzami. Szeregi zamglonych latarni, mokre chodniki, zabłoceni przechodnie dążący śpiesznie pod błyszczącemi wodą parasolami, brudne dorożki, błoto i wicher zacinający nawpół zmarzłym deszczem, robiły takie wrażenie, jakby cały smutek świata zawisł nad nadwiślańską stolicą, wygnał z niéj wszystką radość, pogasił wszystkie nadzieje i przez swą zwartą mgłę, nigdy już nie miał przepuścić słonecznego promienia.

Z rozkoszą położyłem się do łóżka, a sen, dzięki zapewne myślom o Leonie, przeniósł mię do kraju słońca, róż i bluszczów, Nad brzegiem Passery chodziliśmy razem. Leon był zdrów i wesół, opowiadał mi z zapałem o swych nowych odkryciach i wielkich nadziejach, a rzeka szumiała jak akompaniament do pieśni szczęśliwéj. Zbudziłem się. Zamiast szumu Passery, usłyszałem świst wiatru i szmer deszczu monotonnie uderzającego o szyby mego mieszkania i serce ścisnęło mi się smutkiem.

O trzeciéj po południu, wsiadłem do dorożki i kazałem się wieźć na Ogrodową ulicę. Przed niewielkim, jednopiętrowym domem zatrzymałem się, a po chwili stałem przy drzwiach, na których widniała tabliczka z napisem: „Doktór Leon Krzycki — przyjmuje od 5-éj do 7-éj wieczorem.” Z pewnego rodzaju niepokojem pociągnąłem za dzwonek i wszedłem do przedpokoju. Przede mną stała Krzycka, tak się przynajmniéj domyślałem.

— Doktora nie ma — odezwała się głosem dobrze mi znanym — ale przyjdzie zaraz — może pan zaczeka.

Wprowadziła mię do niewielkiego, bardzo skromnie umeblowanego pokoju, który wyglądał na poczekalnię. Spojrzałem na nią uważniéj. Pochyliła się jeszcze więcéj, koło oczu przybyło zmarszczek, ale jasnych włosów siwizna jeszcze nie tknęła i usta pozostały te same.

— Czy pani mię nie poznaje? — zacząłem, widząc, że nie patrzy na mnie, cofa się ku drzwiom i ma zamiar wyjść.

Na dźwięk mojego głosu lekko drgnęła, — szybko podniosła głowę i po chwili wyciągnęła do mnie rękę.

— Pan mecenas!

Więcéj wymówić nie mogła, głos wypowiedział jéj posłuszeństwo, za to łzy zaświeciły w oczach i stała tak przede mną bez ruchu i słowa, nie puszczając mojéj ręki.

— Jakżeż Leon? — zacząłem — wyszedł? na taki czas?... więc chyba jest zdrów zupełnie?

Patrzyła na mnie wzrokiem, w którym był i smutek i radość, i nie ocierała łez — może ich nie czuła?

— Tak, zdrów, nie kaszle i utrzymuje, że się wyleczył. Od dwóch tygodni, czyli od czasu odwilży ma chrypkę, musiał się trochę zaziębić, ale to podobno kataralne. Czy ja wiem zresztą? oni ode mnie mądrzejsi.

— I z chrypką wyszedł? na taką pogodę? — Ależ to nierozsądek?

Zwróciła się ku drzwiom sąsiedniego pokoju.

— Zaraz to wytłómaczę, tylko pójdź pan daléj, do jego pracowni, tam pomówimy swobodniéj.

Weszliśmy. Pokój był obszerny i widny; pod jedném oknem stało biurko zarzucone papiérami i książkami, pod drugiém duży stół, na nim palnik gazowy, jakieś pękate flaszki, słoiki, maszynki, szklane miseczki i tafelki i różne nieznane mi narzędzia i naczynia. Czysto zasłane łóżko w kącie nawprost okna, szafka pełna preparatów i druga z książkami, oraz kilka wiedeńskich krzeseł, dopełniały umeblowania pracowni Leona.

Krzycka przysunęła mi krzesło i sama usiadła także.

— Czekałam pana jak zbawienia, — zaczęła — wiedziałam, że przyjdziesz do nas jak tylko powrócisz i tego powrotu nie mogłam się doczekać...

Umilkła i chwilę milczała, jakby namyślając się.

— Panie! — zaczęła wreszcie, a usta jéj drżały — mój Leon wrócił zdrów, ale — powiédz pan mnie, jego matce, powiédz prawdę, co on zrobił z duszą? Błogosławiłam was wszystkich, którzyście mu tam okazali serce i zastąpili matkę — błogosławiłam i modliłam się za was, a wy wróciliście mu zdrowie, a zabrali to, co było jego największą wartością i co było moją dumą.

Przycisnęła ręce do piersi i patrzyła na mnie badawczo, a z takim smutkiem, że tego wzroku nie mogłem wytrzymać.

— Co pani przez to rozumiesz? — zacząłem i urwałem, nie wiedząc co mówić daléj.

— Co rozumiem? — wybuchnęła z żalem — oto to, że to był człowiek umiejący kochać, pragnąć, dążyć, chcieć, a teraz on jest jak ptak, któremu podcięto skrzydła. Praca go nie pociąga, ani nauka, dla któréj dawniéj był gotów poświęcić wszystko, nawet mnie — matkę. Ja wiedziałam o tém, ale nie byłam zazdrosną o taką rywalkę — właśnie dlatego kochałam go więcéj, niż może kochają inne matki, dlatego byłam dumna i szczęśliwa... A teraz?... toż to automat — żyjący trup!

Łzy popłynęły jéj gradem, a ja doznałem wrażenia, że jestem

wspólnikiem jakiejś wielkiéj winy, którą popełniono względem téj nieszczęśliwéj matki.

— Patrz pan! — mówiła daléj — to jego laboratoryum, jego królestwo! Jak on oszczędzał, jak zbierał, z jakim trudem je urządzał, z jakim zapałem wziął się do pracy! Dawniéj nie mogłam go od niéj oderwać, a teraz zastaję bezczynnym, z twarzą ukrytą w dłoniach. Wstydzi się mnie, walczy z sobą, przezwycięża się i znów wpada w apatyę, czy może w rozpacz — nie wiem. Dotąd mówił mi wszystko, nic nie taił, wiedziałam o jego każdém nowém spostrzeżeniu, znałam każdą myśl, wytężałam cały mój umysł, by go rozumiéć, by podążać za nim, by mu być nietylko matką, ale przyjacielem i powiernikiem, a teraz on milczy, a ja nie śmiem zadawać pytań. Panie! on teraz nie mój i nie społeczeństwa, dla którego dawniéj chciał żyć. Ktoś ukradł mnie — syna, światu — użytecznego człowieka.

Ujęła mię za ręce i szeptała:

— Gdybym wiedziała przyczynę choroby, może znalazłabym lekarstwo, serce matki dużo może, bardzo dużo...

Zrobiło mi się smutno.

— Ja nie wiem, — zacząłem nie patrząc na nią — nie wiem, to pewno wpływ przebytéj choroby, nerwy, to minie gdy zdrowie wróci zupełnie, zobaczy pani, że minie.

Puściła moje ręce, myślała chwilę i znów zaczęła:

— On nie jest jeszcze zupełnie zdrów, wiem o tém; nie powinnam mu była pozwolić wychodzić teraz, gdy ma tę chrypkę i on nawet nie wychodził, u Barskiego zastępuje go Radek; ale oni mówią, że to tylko katar, a on tu ma pacyentkę — w tym domu, blizko. Dziewczyna ma suchoty, a że zdeklarowane, więc chciał zrobić próbę i zaszczepił jéj różę. Jeżeli osiągnie taki rezultat, jakiego się spodziewa, to będzie olbrzymi krok naprzód—da mu sławę. Myślę, że to może wyrwie go z apatyi i dlatego nie sprzeciwiam się, gdy chodzi do swojéj choréj.

— Ma pani racyę — zacząłem — tylko tę chrypkę należałoby zgubić, bo zawsze to niedobry znak.

Zaniepokoiła się.

— Przecież on ma płuca zupełnie zdrowe, nie kaszle i nie miéwa gorączki. Taka chrypka zdarza się każdemu...

— Ależ naturalnie, — przerwałem jéj z pośpiechem — powiedziałem to tylko dlatego, że zawsze jest lepiéj wystrzegać się. Razem z zupełném zdrowiem wróci mu i dawny zapał do pracy, tylko o to zdrowie powinien się starać. Taki czas, jak dzisiaj, może najzdrowszego przyprawić o chorobę, a u niego wycieńczenie wynikłe z nad-

miaru pracy, pewno jeszcze nie zostało usunięte całkowicie, kiedy go nie opuściła apatya.

Krzycka słuchała uważnie.

— Alboż on i w Meranie był taki apatyczny.

Skinąłem głową.

— Także. Na jakiś czas ożywiła go ta cała awantura z tuberkuliną Kocha, ale potém znowu zobojętniał na wszystko.

Kłamałem bez skrupułu, Krzycka stawała się spokojniejszą, a gdy dodałem jeszcze:

— Niech pani będzie pewna, że wraz ze zdrowiem, wróci mu i energia — z weselszą twarzą wyciągnęła do mnie rękę.

— Dziękuję panu, wlałeś mi trochę nadziei do duszy — nie darmo tak bardzo wyczekiwałam twego powrotu.

Umilkła na chwilę, ja rozglądałem się po pokoju, a ona znowu zaczęła być jakby niespokojna. Od czasu do czasu spoglądała na mnie badawczo, chcąc mi widocznie z oczu wyczytać coś, o co pytać nie śmiała. Wreszcie przemogła się.

— Powiédz mi pan proszę, — zaczęła nieśmiało — kto jest panna Dolska? Ja jestem matka, a matki miewają jasnowidzenia. Nie powinnam lekceważyć moich przeczuć, mnie coś w duszy mówi, że on tam, w Meranie, pozostawił serce, że to jest powód zaszłéj w nim zmiany... Mówił mi o niéj bardzo wiele i, może niesłusznie, ale cały mój żal za zmarnowane życie chłopaka, zawsze do niéj się zwracał.

— Panna Dolska!— zawołałem żywo — Zosia Dolska! to biedne, chore, serdeczne dziecko? Ależ pani się mylisz, masz żal najzupełniéj niesluszny, to biedactwo jest może więcéj godne politowania, niż Leon!

Spuściła głowę i westchnęła.

— Więc nie ona... omyliłam się — szepnęła i znowu wpadła w zamyślenie, a ja uczułem coś nakształt strachu, żeby nie wymówiła imienia pani Adeli. Zdawało mi się, że sam jego dźwięk jest w stanie skalać nietylko usta téj kobiety, ale i czyste powietrze jéj domu.

W przedpokoju zadźwięczał dzwonek, Krzycka się podniosła.

— To Leon, zostawię panów samych, pomów z nim, on cię poważa i kocha i może będzie szczerszy z panem, niż ze mną. Są rzeczy, których mężczyzna nie powié matce, a powié przyjacielowi. On wierzy w pańską przyjaźń.

Wyszła, a po chwili w progu stanął Leon. Nie zdążył nawet zrzucić palta i ciepłego szala, którym miał owiązane gardło i usta, jak stał, wpadł do pokoju i witał mię ze szczerą radością. Krzycka patrzyła na niego i także promieniała.

— No cóż twoja chora? — pytała z zajęciem.

Chłopak zrzucił palto i szal i usiadł, ja przyglądałem mu się uważnie. Nie zeszczuplał, ale bardzo pobladł, a ta bladość miała jakiś niezwykły odcień ziemisty.

— Moja chora spisuje się dobrze — zaczął z ożywieniem. — Pewno mama już panu powiedziała, że mam tu pod obserwacyą suchotnicę, któréj odważyłem się zaszczepić różę. Chora kaszle już od bardzo wielu lat, ale pogorszenie, tak w kaszlu, jak w ogólnym stanie, datuje się dopiéro od paru miesięcy. Gdy przyszła do mnie pierwszy raz, skonstatowałem zwykłą gruźlicę, o przebiegu przewlekłym. Wierzchołki płuc były zajęte, tylna ściana gardzieli owrzodziała, szmery oddechowe nieprawidłowe, a w plwocinie znalazłem dość liczne laseczniki Kocha. Chora nie mogła marzyć o żadnéj kuracyi klimatycznéj, bo to jest córka ubogiego stolarza, prędzéj czy późniéj czekała ją śmierć, więc odważyłem się na próbę. Dziś upływa siódmy dzień od pokazania się róży. Jeszcze wczoraj było zaczerwienienie, ale dziś nie ma po niéj prawie śladu, gorączka się zmniejszyła, kaszel również, gardło przestało boléć, a w plwocinie jest jeszcze krew, ale laseczników Kocha, nie znajduję już od trzech dni. Jeśli tak pójdzie daléj, chora wstanie za jakie trzy tygodnie.

Mówił z ożywieniem, a gdy skończył, wstał i począł się przechadzać zacierając ręce. Krzycka przeprowadziła go rozjaśnionym wzrokiem.

— Zatém, w razie wyleczenia téj suchotnicy — zacząłem — postawisz hypotezę szczepienie róży, jako środka anti-gruźliczego?

— To nie hypoteza, to prawie pewnik, jeśli naturalnie wszystko pójdzie tak, jak szło dotąd i jeśli przerwana choroba nie odezwie się w parę miesięcy, a może nawet w rok. Po ukończeniu kuracyi, ogłoszę moje spostrzeżenia, a co daléj będzie, zobaczymy.

Rozpoczął nową wędrówkę po pokoju, ale teraz był jakiś zamyślony i po chwili stanął.

— Tak, masz pan racyę, w najlepszym razie to jeszcze tylko hypoteza. — Jedna pomyślna próba, niczego nie dowodzi, wobec różnorodnych form gruźlicy i wobec niespodzianek, jakie ta choroba robi często lekarzom.

Krzycka spojrzała na mnie z wyrzutem.

— Cóż znowu, — zawołałem niezadowolony z siebie — nie licz że się z mojemi słowami, bo ja się na tém nie znam. Prawnicy nie zajmują się medycyną, a ja mogę ci tylko powinszować osiągniętych rezultatów. Cóż tuberkulina Kocha?

Wzruszył ramionami.

— *Fiasco!* dziś wszyscy już o tém wiedzą. Próżność niemiecka, chciała przybrać Kocha w laury, a zamiast nich włożyła mu na głowę prawdziwy wieniec cierniowy. Całe szczęście, że geniusze nie zwracają uwagi ani na uwielbienie, ani na szyderstwa tłumu. Koch pracuje daléj, a jego limfa, to także krok naprzód, choć nie tak wielki, jak się spodziewano.

Krzycka wyszła, a gdy drzwi się za nią zamknęły, Leon stanął przede mną, jak gdyby chciał coś mówić i znów począł się przechadzać wzdłuż i wszerz pokoju. Milczeliśmy obydwaj.

— Jakżeż ty się czujesz teraz Leonie? — zacząłem pierwszy. — Głos masz zmieniony, a to chyba niedobrze?

Machnął ręką obojętnie.

— Zdaje się. Ja studyuję moją suchotnicę, mój kolega mnie, ale któremu kuracya lepiéj się powiedzie, niewiadomo.

— Mówisz tak, — zauważyłem, patrząc na niego z wyrzutem — jak gdyby kuracya prowadzona przez twego kolegę, nie obchodziła cię wiele, twoja matka nie zasługuje na to.

— Ani moja matka, ani ja, ani nikt nie poradzi, jeśli mam suchoty, a martwić się naprzód nie warto.

Znowu stanął przed krzesłem, na którém siedziałem.

— Czy — czy pan miałeś jakie wiadomości z Nizy?

Widziałem, że to pytanie kosztowało go wiele i że się nawet zaczerwienił.

— Z Nizy? — powtórzyłem za nim — i owszem, miałem list od Maryni, ale tylko jeden. Wszyscy są zdrowi, prócz biednéj Zosi Dolskiéj.

Stał i wyglądał jakby wstrzymywał oddech, a mnie ta jego wyczekująca postawa rozgniewała i zabolała równocześnie.

— O panią Adelę stara się podobno Jałbrzykiewicz i ona prawdopodobnie wyjdzie za niego — dodałem, siląc się na obojętność.

Drgnął jakby pod ukłóciem i spojrzał na mnie uważnie.

— Czy to pańskie przypuszczenie, czy téż napisała to panna Marya?

— To jest moje przypuszczenie, — zacząłem niecierpliwie — ale zdaje się prawdopodobne, o ile poznałem panią Przygodzką.

Uśmiechnął się smutnie.

— Mylne, wierz mi pan, że mylne. Bywały chwile, w których i ja myślałem tak samo, a właściwie, myślałem podobnie. Zdawało mi się, że ta kobieta, stworzona na matkę i żonę, będzie w stanie pokochać i zapomniéć o tamtym — pierwszym, tymczasem myliłem się. Ona za mąż nie wyjdzie nigdy, za nikogo, cóż dopiéro za takiego Jał-

brzykiewicza. Przyrzekła to mężowi przy śmierci, a takie kobiety dotrzymują przyrzeczeń. Mężczyźni jéj dobroć wrodzoną i uśmiechy w oczach, biorą za uczucie, ale mylą się wszyscy, tak jak ja się omyliłem na jedną chwilę. Jestem jéj wdzięczny, że wyprowadziła mię z błędu i ustrzegła od szaleństwa, które byłbym pewnie popełnił, gdybym był odkrył w niéj miłość dla siebie. Tak, panie mecenasie, — przez ciebie mówi żal, bo bądź co bądź, choć bezwiednie, ona mi zmarnowała życie; gdybyś jednak zechciał być bezstronnym, przyznałbyś, że takich kobiet niewiele, może ich nawet nie ma wcale — ona jedna tylko.

— Tak, zapewne! Taka, jaką ty sobie wyobraziłeś, istnieje tylko jedna, w twojéj wyobraźni. Po świecie szukałbyś ich darmo, a w pośród milionów, pani Adela jest jeszcze najmniéj zbliżona do twego ideału.

Usiadł i patrzył na mnie ździwiony, a ja przysunąłem się bliżéj i mówiłem daléj poważnie:

— Słuchaj mię Leonie. Ona nie jest warta, byś się dla niéj marnował—wierzaj mi. Wiem już od twojéj matki, a teraz i sam widzę, że praca nie przywróciła ci równowagi, któréj po niéj oczekiwałeś, ale widzisz, sama praca nic ci nie pomoże, bo twoje myśli są ciągle przy téj kobiecie. Trzeba żebyś sobie powiedział: zapomnę, bo chcę — a chcieć, to módz. Pani Adela ukradła ci duszę, ale nie tak bardzo bezwiednie, jak się tobie zdaje. Ona jest tylko przebranym aniołem, w jéj sercu nie ma tyle skarbów, o jakie posądzaliśmy ją wszyscy. Więcéj nie mam prawa ci mówić, ale daję ci słowo uczciwego człowieka, że mówię prawdę.

Patrzył na mnie długo, ręką pocierał czoło, wreszcie ukrył twarz w dłoniach.

— Tak, chcesz mię pan wyleczyć, chcesz mi ułatwić wyrwanie z serca tego kwiatu czy zielska, które w niém zapuściło korzenie. Przez przyjaźń dla mnie, nadużywasz nawet swego słowa, które dla takiego człowieka jak pan, jest świętém; ja jestem ci wdzięczny, ale to wszystko napróżno!

Wstałem oburzony, ale on mię zmusił, bym usiadł znowu, poczém utkwił wzrok w szyby ociekające deszczem i mówił przerywanym głosem, ale szybko, jakby chcąc zrzucić z siebie ciężar.

— Posłuchaj mię pan. Gdy przekonałem się, że ona mi sobą zasłoniła cały świat, a nic mi dać nie może, przeląkłem się samego siebie, ale umiałem jeszcze wtedy zdać sobie sprawę z położenia i uciekłem. Sądziłem, że nie miałem prawa obracać moich sił, na budowanie własnego szczęścia. Matka i społeczeństwo mię wychowali,

zatém do matki, do świata i do nauki należały moje siły. Zapomniałem o tém, ale na krótko tylko — potém uciekłem. Dziś widzę, że to nic nie pomogło. Czy ona jest aniołem czy nie, miłość dla niéj zabrała mi siły, energię, wszystko dobre i szlachetne, co miałem w duszy. Walczyłem, chciałem zgnieść albo wyrwać, ale to silniejsze ode mnie.

Zamilkł, oderwał oczy od okna i spojrzał na mnie, a usta wykrzywiła mu gorycz.

— Panie! co ja jestem wart, jeśli mną kierują okoliczności, nie ja sam? Ja jestem człowiek bez woli. Dzieckiem będąc, kochałem tylko matkę i tylko dla niéj chciałem pracować. Potém zapaliła się we mnie namiętność do nauki, więc matkę, jéj spokój i dobrobyt, poświęciłem wiedzy, z pomocą któréj miałem zlać na ludzkość cały ocean dobrodziejstw. Téj namiętności nie wyrzucałem sobie, bo była szlachetną, bo matka była zadowolona, ale niemniéj ta gorączka wiedzy, była cechą mego charakteru, dążącego zawsze do ostateczności i nie umiejącego godzić. A teraz to wszystko wsiąkło w nowe uczucie, małe, a równocześnie olbrzymie i oto, nie jestem zdolny do niczego, bo w nie włożyłem całego siebie. Ta wyłączność we mnie, to właśnie moja cała nicość. Ja nie jestem wart pańskiéj przyjaźni, ja pogardzam sam sobą i nienawidzę się!

Podniósł się, stanął przede mną i ze śmiechem szyderskim mówił daléj:

— Pamiętasz pan, w Meranie, pewny że już śmierć na mnie czycha, złorzeczyłem Bogu czy naturze, że zabiéra ludzi ze świata, zanim zdążą wypowiedziéć swoje wielkie myśli i zanim wypełnią posłannictwo!? Przeklinałem niesprawiedliwość praw natury, ja — wielkie zero społeczne! Ha, ha, ha! — wyobraziłem sobie, że jestem tytanem, który świat z posad poruszy, a ja jestem — nic. Natura jest sprawiedliwa, o, jest! — bo takie właśnie nic, spycha do grobu przedwcześnie i w proch zamienia. Nieśmiertelność materyi! — tak, tego jednego tylko jestem wart i to mię czeka.

Siedziałem milcząc, on urwał także i oddychał ciężko, i chwilę tylko plusk deszczu przerywał ciszę mrocznego pokoju.

Wreszcie Leon zaczął mówić znowu, ale teraz mówił z zupełnym spokojem:

— Panie, byłeś mi takim przyjacielem, jak może nikt w życiu, więc z tobą będę zupełnie szczery. Ja jestem chory. Ten kataralny ból gardła, to skryta postać suchot. Klimat tutejszy mię zabił — ja jestem suchotnik, pociągnę jeszcze miesiąc, a może dwa, więcéj nie. Umrę bez żalu, moja śmierć będzie tylko aktem sprawiedliwości. Nie jestem wart życia, bo żyć nie umiałem. Odejdę spokojny, bo moje

zadanie spełnią inni, a tobie pozostawię matkę — będziesz dla niéj lepszym opiekunem, niż ja byłem synem...

Zerwałem się.

— Ty masz gorączkę, wiész? majaczysz, bredzisz... i dla takiéj — dla takiéj!... A wiész ty kto jest ta twoja Adela? Ten anioł dla którego się marnujesz?... zwyczajna ladacznica, przybrana w skrzydła anioła. To poświęcenie, ta pokora, ta słodycz i dobroć, to przebranie maskaradowe! Pod niém kryje się fałsz, obłuda i nic więcéj— nic! Maska jest dobrze dobrana, ludzie idą na nią jak na lep, i ja dałem się zwieść tak samo jak wszyscy, ale przypadek mi oczy otworzył i pomógł do powiązania w całość wielu faktów, dawniéj dla mnie nie zrozumiałych. Twój anioł z całą świadomością łowił na swoje piękne oczy serca ludzkie, jak ryby na wędkę—chciała panować nad duszami, chciała niemi władać wyłącznie, nie znosiła współzawodniczek, jedno jéj było — młody czy stary, bogaty czy ubogi, piękny czy brzydki, mężczyzna czy kobiéta. To był jéj cel, jéj sport, żyła niém, maska noszona całe życie, już jéj twarzy nie ugniatała, bo wrosła w nią i stała się jéj drugą naturą. Ty może byłbyś pokochał Zosię i może ona byłaby ciebie pokochała, bo byliście podobni do siebie, szlachetni i kochający i bylibyście szczęśliwi. Miłość takiéj dziewczyny, zamiast cię złamać, byłaby ci dodała skrzydeł, ale pani Adela nie znosiła współzawodniczek, gdzie óna była, miłość tylko dla niéj powinna była kwitnąć. Ruszczyc był nie tylko obojętny dla jéj wdzięków, ale odgadywał ją i nie dowierzał — więc go znienawidziła. Kochał to biedne dziecko, Zosię, więc w imię zasad i przekonań, stawała w poprzek jego uczuciu, ale zasady i przekonania gdzieś się zapodziały gdy spostrzegła, że ty i Zosia możecie przylgnąć do siebie. Odrazu zbudziła się w niéj sympatya dla nieszczęśliwéj miłości żonatego człowieka i twoja Adela poczęła się dziwić, dlaczego Ruszczyc gryzie się i martwi, zamiast korzystać z czasu. Ty może byłbyś ochronił biedne dziecko od nieszczęścia, ono garnęło się do ciebie, pociągała je siła, jaką w tobie czuła, ale pani Adela czuwała. Stawała między wami zawsze, oddalała was jedno od drugiego, zabroniła Zosi grać to co lubiłeś, bo muzyka mogła była się stać waszym łącznikiem, gasiła każdą iskierkę, jaką tylko dojrzała w twém sercu, zapalającą się dla niéj— podła!... a po kątach...

Drżącemi rękami począłem szukać po kieszeniach, z bocznéj wydostałem paczkę papiérów, rozrzuciłem ją i szukałem cały wzburzony.

— Masz, czytaj! — zawołałem wreszcie, podając mu ćwiartkę zmiętego papiéru. — Jeżeli znasz charakter pisma Męckiego, to porównaj i przekonaj się, czy nadużyłem mego słowa honoru!

Jak odurzony wziął odemnie list, chwilę stał bez ruchu, w końcu zapalił lampę stojącą na biurku i siadł. Ja patrzyłem w okno, w ciemność i taką samą ciemność miałem w duszy. Leon i Zosia,—takie dwie pokrewne natury i czemu los ich zbliżył z sobą, tylko jakby na ironię? Przyciągali się wzajemnie, ale Nemezys przeciwstawiła im dwa potężne elektromagnesy—Adelę i Ruszczyca. I w jakim celu poco, dlaczego? I dlaczego pokrewność charakterów nie zrodziła miłości? — czém jest właściwie to nieodgadnione i nieuchwytne uczucie, nazywane miłością? na jakich glebach rodzi się, wzrasta i rozkwita, na jakich niszczeje?...

Oparłem czoło o chłodną szybę i dumałem, Leon się poruszył. Szybko odwróciłem głowę. Stał przy biurku i obu rękami trzymał się jego krawędzi, jakby w obawie że upadnie.

— Zostaw mi pan ten list — zaczął cichym głosem i rękę przesunął po czole. Dzisiaj nie jestem w stanie go zrozumiéć — przeczytam jutro. Dziękuję panu, postąpiłeś ze mną jak z mężczyzną, ufasz mi i jeszcze we mnie wierzysz — obym cię nie zawiódł.

Podał mi rękę i uścisnął moją bardzo silnie.

— I zostaw mię pan teraz samego. Muszę przyjść do siebie, bo o piątéj przyjmuję pacyentów.

Uśmiechnął się smutnie.

— Dużo ich bywa, tylko biedni — złotem nie płacą i wierzą mi. Dawniéj, dla takich właśnie chciałem żyć.

Nazajutrz, trochę niespokojny, już o jedenastéj rano dzwoniłem do mieszkania Krzyckich. W nocy spadł śniég, powietrze było mroźne i czyste, do serca powinna mi była wstąpić nadzieja, ale nie wstąpiła.

Leona nie zastałem, a Krzycka miała oczy zaczerwienione i powiedziała mi że Leon nie spał całą noc, że się nawet nie kładł i że rano ubrał się i wyszedł. Posiedziałem z godzinę, nie doczekawszy się wyszedłem pełen niedobrych przeczuć, a o trzeciéj znowu powróciłem. Leon siedział przy stole i przez mikroskop obserwował coś brudno-żółtego.

— Nie przerywaj sobie roboty, — zacząłem — posiedzę i przypatrzę się.

Ale on odsunął mikroskop.

— Nic pilnego—obserwowałem zeskrobane części tkanek mojego gardła. W plwocinach nie ma prątków gruźliczych, ale mój kolega chcąc niby rozstrzygnąć wątpliwości, poddał mię wczoraj głębokiemu wyskrobaniu owrzodzeń, z zeskrobanych tkanek część zabrał z sobą do analizy, część zozostawił mnie, obawiając się, że mu nie będę dowierzał.

Wzruszył ramionami. Tymczasem w przedpokoju zabrzmiał dzwonek, a po chwili ukazał się we drzwiach człowiek młody, ale szczupły i pochylony naprzód, jak gdyby dźwigał ciężar. Leon przedstawił mi go.

— Mój kolega doktór Radek.

— Już kilka razy obiło mi się o uszy pańskie nazwisko, — odezwałem się patrząc na niego uważnie. Czy pan nie z Lublina przypadkiem?

— Owszem z Lublina, a szanownego pana przypominam sobie nie tylko z opowiadań mego ojca, ale nawet z twarzy.

— Czy ojciec żyje jeszcze?

Młody doktór posmutniał.

— Nie, umarł przed trzema laty. Był tyfus epidemiczny, a mój ojciec nie lubił się oszczędzać i zaraził się.

— Nazwałeś go pan kiedyś, wtedy gdy leczył moją matkę, lekarzem z powołania — odezwał się Leon. — Jak żołnierz padł w boju, ale pozostawił syna, którego nie wstydziłby się gdyby żył i...

— Gdyby żył i gdyby był zadowolony ze mnie — przerwał mu Radek—tylko tobie byłby zato wdzięcznym.

Zwrócił się do mnie.

— My wszyscy którzyśmy razem kończyli, tylko dzięki jemu zostaliśmy takimi, jakimi jesteśmy. Teraz nas nie wielu—reszta w świecie i to najporządniejszych—ten znów uśmiercił się moralnie, a teraz precz gada o śmierci fizycznéj—ot, cały ten świat to wieczna głupota, a jéj rozwiązanie, może aż het, na innych planetach, a może nigdzie...

Machnął ręką, zwiesił głowę i tak siedzieliśmy we trzech milcząc. Pierwszy się otrząsnął Radek.

— Cóż, zrobiłeś analizę?

— Zrobiłem, nie ma nic.

— A widzisz—mnie może byś nie wierzył. Umyślnie zostawiłem ci trochę, żebyś się przekonał sam.

Ale Leon wykrzywił usta ironicznie.

— Ani ty nie jesteś idyota, ani ja. Owrzodzenia gardzieli nie mogą być niczém innem, tylko wrzodem gruźliczym a brak laseczników niczego nie dowodzi, bo one siedzą głęboko w tkance i nie wydzielają się na zewnątrz.

Radek się zerwał.

— Co ty mi gadasz? A Schnitzler — a Heryng — czy i oni idyoci?

A Leon machnął ręką z lekceważeniem.

— Po części. Raz w życiu może im się zdarzyło spotkać z kataralnemi owrzodzeniami krtani — czepili się tego i odrazu podali ich szczegółową charakterystykę. Głupota! Nie wierzyłem w to nigdy i nigdy, ani w szpitalach, ani we własnéj praktyce nie spotkałem nic podobnego. Póki nie ujrzę sam, nie uwierzę, a ty możesz przecie dowieść twoich twierdzeń, wyleczywszy mię za pomocą zwykłych przeciwnieżytowych środków.

Roześmiał się szydersko.

— Dotąd rezultaty liche.

Bo czas psi—mruknął Radek — Herkulesa przyprawiłby o katar i o wrzody krtaniowe.

— Czas — czas! Przekonasz się w dwa, trzy miesiące jeśli to *phthisis florida*, a w dwa, trzy tygodnie, jeśli wybuchnie *pseudo-laboris acuta*—tak, przekonasz się i przyznasz, że Krzycki dobry dyagnosta.

Radek latał po pokoju jak wicher, zaczepiał o krzesła, mruczał coś i machał rękami.

— Leczyć doktora, to lepiéj uwiązać sobie u szyi kamień i popróbować kąpieli w Wiśle — rzucił nagle, stając przedemną. I co z nim robić? Baba się z niego zrobiła — kumoszka zdenerwowana i gadatliwa—nigdy nie zabraknie mu argumentów, jeśli idzie o dowiedzenie, że umrzéć musi.

Porwał za czapkę.

— Do widzenia! Nie mam tu co robić, boś mądrzejszy ode mnie —lecz się sam!

Leon przytrzymał go za połę.

— Czekajże, toż mi choć w gardło zajrzyj, a potém idź kiedy ci tak pilno.

Radek rzucił czapkę na stół i usiadł sapiąc.

— A cóż twoja suchotnica z różą? — zapytał po chwili uspokoiwszy się trochę.

— Aha, to cię zajmuje? Otóż róża zbladła, ciepłota dziś 37,4 C., w plwocinie nie ma już laseczników, kaszel mniejszy, rzężenia suche, zamiast stłumienia trzeszczenie, nalot na owrzodzeniach i guziczki koło wrzodów znikły, samo owrzodzenie zmniejszone.

Leon mówił wolno, bez zapału, ale Radek słuchał ze skupieniem i z nadzwyczajną uwagą.

— Owrzodzenie zmniejszone—począł zamyślony.—Zadziwiające! Wiész co? weź mię dziś z sobą do niéj wieczorem dobrze?

— I owszem, — teraz obejrzyj mi gardło, a jeśli chcesz możesz mi także zaszczepić różę. Będzie druga próba.

— Zwaryowałeś!—rzucił się Radek. — Na tobie będę robił próby? Jeszcze do tego stopnia idyotą nie jestem.

Zapalił lampę i począł przecierać lusterko, a ja nie chcąc im przeszkadzać, pożegnałem ich i wyszedłem.

Słońce zapadło już za dachy, niebo pociemniało, śniég skrzypiał pod nogami, dzwonki dźwięczały u sanek wesoło, a za mną, jak uparta mucha, gnały słowa Leona: „Owrzodzenia krtani, nie mogą być niczém inném, tylko wrzodem gruźliczym".

— Więc to nie imaginacya! więc on ma gruźlicę, a gruźlica to suchoty! W myślach ujrzałem Krzycką zrozpaczoną, że jéj dziecku zrabowano duszę. Co się z nią stanie gdy się dowié reszty?

Uciekłem do domu i pogrążywszy się w pracy, przez tydzień nie zaglądałem na Ogrodową ulicę. Poprostu bałem się spojrzéć w oczy nieszczęściu, bałem się Krzyckiéj, a najwięcéj bałem się Leona i tego strasznego spokoju z jakim mówił o śmierci. Niemniéj myślałem o nich ciągle i wreszcie niepokój przemógł.

Była dwunasta godzina w południe, gdy pociągnąłem za dzwonek, a otworzył mi Radek.

— Cóż Leon?

— Źle

Stanąłem jak wryty, on zaś mówił szeptem:

— Zaziębił się, czy téż może miało przyjść samo, dość, że sobie przepowiedział. Narazie zdawało nam się że to zapalenie płuc i to byłoby jeszcze pół biédy—tymczasem... ot, ciężko nawet mówić.

— A Krzycka?

— Otóż to druga biéda. Obawiam się o nią, jest jak ogłuszona, nie przytomna, nie można od niéj słowa wydobyć.

Weszliśmy. Pierwszy pokój był pusty, w drugim, wtulona w kąt pod oknem siedziała Krzycka—na łóżku leżał Leon.

Krzycka nie podniosła głowy gdy weszliśmy, nie drgnęła nawet, a mnie zabrakło odwagi zbliżyć się do niéj. Leon na mój widok rozjaśnił się, a nawet uśmiechnął.

— Było mi już do pana tęskno, — zaczął, podając mi rozpaloną rękę — jeżeli to możebne, odwiedzaj mię pan teraz, codzień, bo już niedługo.

Usiadłem, ale nie byłem w stanie mówić. Radek nachylił się do mnie i szepnął:

Wyjdę teraz na chwilę. Muszę wpaść do siebie i do apteki, ale wrócę niedługo. Za pokojem pani Krzyckiéj, w kuchni, siedzi stróżka—gdyby tu było czego potrzeba, ona załatwi. Wyszedł, Leon leżał cichy i oddychał ciężko, czasem porywał go straszny kaszel, a ja sie-

działem i wpatrywałem się to w Krzycką, to w jego twarz nadzwyczajnie zmienioną. Wychudł, oczy błyszczały gorączkowo, silne rumieńce na twarzy, przechodziły prawie we fioletową barwę. Tak, teraz nawet ja widziałem, że to była śmierć i to śmierć nie łatwa. Chory albo się dusił, albo kaszlał, wyrzucając z siebie płyn gęsty i rdzawy.

— Wiész pan? — to potrwa jeszcze ze dwa tygodnie — szepnął z wysiłkiem, spotkawszy się z moim wzrokiem.—Dwa tygodnie, to niby nic, w Meranie albo przy pracy ubiegały prędko, dla innych i teraz przejdą nie wiedziéć kiedy, ale dla mnie to cała wieczność. Nie mam już sił, zdaje mi się, że piersi pękają, a to dopiéro parę dni!

Znowu zakaszlał się, a zdawało się, że ten kaszel idzie z próżni. Uniosłem go, podałem lekarstwo, a w szczycie łóżka stanęła Krzycka. Patrzyła na syna chwilę, nie odezwała się wcale i znów odeszła do swojego kąta, pochylona i cicha. Minął tydzień, ale ten tydzień i mnie się wydał wiecznością. Doktorzy się zmieniali, radzili i szeptali, przychodzili i odchodzili, ale Radek i Krzycka trwali na stanowisku uparcie. Ja od czasu do czasu wpadałem do siebie, zostawiałem zlecenia, spałem i jadłem po trochu i znowu wracałem, ale tych dwoje, ani jedli, ani spali i nie odczuwali potrzeb ani snu ani pożywienia. Prosiłem i przekładałem, ale Krzycka nie rozumiała mię, ani słyszała, Radek nie słuchał. A Leon ze swym spokojem był poprostu straszny. Przytomny, trzeźwy, badał postępy choroby z zajęciem wiwisektora.

— Znalazłeś laseczniki? — pytał codziennie.

— Nie, — odpowiadał Radek.

A on uśmiechał się wtedy ze smutném zadowoleniem.

— Widzisz — mówiłem ci. Gdzie jest taki kaszel, duszność i rdzawa plwocina, tam nie może być laseczników. Nie znajdziesz ich do samego końca, ja ci to mówię, a rób notatki, bo to typowa *pneumonia caseoidea tuberculosa.*

Jednego dnia poprosił o lustro, i starannie obejrzał sobie wnętrze ust.

— Wiész, w ustach już są pleśniaki — może chcesz obejrzeć? Radek wpadł wtedy w pasyą, wyrwał mu szkło i z siłą rzucił je o ziemię. Rozprysło się z brzękiem, Krzycka drgnęła, ale nie podniosła się, a chłopak upadł na krzesło, zatopił ręce we włosach i łkał głośno.

— Daj pokój Franek—prosił Leon z żalem i wyciągnął do niego wychudzoną rękę. — Czyżbyś wolał, żebym żałował życia, żebym rozpaczał? Trudno, każdy musi umiérać, a kto wié, może my się jeszcze zobaczymy—gdzie, nie wiem, ale może? — Może znow będziemy razem pracowali? — może ja wtedy zdziałam więcéj niż tu? Kaszel go

porwał, huczał, szarpał mu piersi, rzucał nim, a gdy uciszył się po wzięciu lekarstwa, chory mówił znowu.

— Ja ci powiadam, że światu nic po mnie — ja jestem do niczego. Jak orzeł leciałem wysoko, coraz wyżéj, ale oto zobaczyłem na ziemi światełko i wyobraziwszy sobie, że to gwiazda, zniżyłem lot. Nie szukaj Franku gwiazd na ziemi i nigdy nie zbaczaj z raz obranéj drogi, nawet na krótką chwilę odpoczynku — czy słyszysz mię? — nigdy. Jak ja, zaczepisz o pierwszy lepszy, czasem zgniły kołek w płocie i połamiesz skrzydła.

Oddychał ciężko i szybko, chwilę odpoczywał i znów mówił, a Radek siedział i nieodzywał się wcale.

— Wiész? ja was nie jestem wart i nie jestem wart téj aureoli, jaką wyście mnie otoczyli. Nic nie zrobiłem, nic po mnie nie zostanie, a jednak odchodzę chętnie, nie czuję żadnych wyrzutów i nie żal mi ani matki, ani was, ani tych moich zdolności, które wmówiliście we mnie, a które w rezultacie nic nikomu nie dały. Umywam ręce, jak Piłat, nic mię nie obchodzi co będzie po mnie i jestem rad, nie tyle że przestanę cierpiéć, ile że przestanę myśléć. Ja, to zero — które nietylko, że nie umié pożałować zmarnowanego życia, ale jeszcze cieszy się, że idzie w nicość, w spokój, w zapomnienie.

Zakrztusił się i począł się dusić. Porwaliśmy się wszyscy, Krzycka przypadła do łóżka, mówiła coś bez związku, wyprowadziłem ją.

Piętnastego dnia choroby, gorączka ustąpiła, chory nie kaszlał, nie czuł bólu w piersiach, leżał cichy i uśmiechnięty. Do Radka nie śmiał już odzywać się ze swemi uwagami, za to mówił do mnie:

— Jutro — pojutrze, będzie koniec. Choroba się rozwijała według wszelkich prawideł. Kaszel, oddech dzbanowy, czyli jak my nazywamy amforyczny, gorączka ciągle 40 C., wahania w niéj prawie żadne, laseczników nie ma, pleśniaki, wczesne puchnienie kończyn dolnych, szybkie chudnienie i ogólny upadek. Dziś czuję się zupełnie dobrze i mam wielką ochotę snuć bardzo odległe plany. Gorączka ustąpiła, a pomimo to nie czuję osłabienia, ani żadnego bólu i jest mi tak dobrze, jak mi już nie było dawno. Wiész pan, co to jest? Tuberkuły padły na mózg, ja jestem pijany jak po wypiciu alkoholu i dlatego tak mi dobrze. Żaden chory nie uwierzyłby, gdyby mu to powiedziano i ja mam wielką ochotę nie wierzyć — wielką — przecież nieomylnym nie jestem. Jeżeli jutro będzie tak jak dziś, to znak, że się omyliłem, a wtedy... co za obszerna dziedzina do nowych badań. Będziemy pracowali razem, prawda Radek?

Radek zbliżył się, ale nie mógł wytrzymać jego wzroku i odwrócił głowę. Chory patrzył na niego badawczo.

— Myślisz, że tuberkuły padły mi na mózg, że to polepszenie przedśmiertne, prawda? Ale jeżeli medycyna się myli — co? Jeżeli u mnie polepszenie jest faktyczne — jeżeli to nowa jakaś forma gruźlicy?... Ty nie masz pojęcia jaki ja się czuję zdrów i jak mi jest dobrze. Nabrałem ochoty do życia, czuję, że znowu kochałbym naszą naukę i teraz z przyjemnością zostałbym na ziemi. — Co? jak myślisz, zostanę czy nie?

— Bardzo być może, że zostaniesz, jutro pokaże — przecież ja ci to mówię oddawna, ale nie chcesz wierzyć...

— Masz racyę, tylko że chorym powinno się wiele przebaczać — przepraszam cię.

Wyciągnął do niego rękę, Radek podał mu swoją, poczém odwrócił się szybko i wyszedł. Leon powiódł za nim oczami i posmutniał.

— Nie wierzy mi — szepnął — i teraz ma racyą. Proszę, otwórz pan prawą szufladę biurka i przynieś mi ztamtąd pudełko z papierem listowym.

Spełniłem jego żądanie, a on wyjął list Męckiego, podał mi go spokojnie, poczém wziął do ręki jakąś fotografię i patrzył na nią długo.

— Gdyby nie pan — mówił — zabrałbym z sobą wspomnienie świętéj. Pan jéj oderwałeś skrzydła, w które zaplątałem duszę, zdarłeś z niéj maskę i—lepiéj się stało. Nie mam do niéj żalu, bo może będę jeszcze żył i wszystko naprawię, ale w każdym razie natura stwarza sobie czasami igraszki. Taka pospolita dusza, a takie piękne ciało... spójrz pan na nią. W tych oczach całe niebo, w ustach sama dobroć, téj twarzy byłoby niepodobna zapomnieć, gdyby się nie wiedziało, że okrywa fałsz i błoto.

Znów wziął do ręki fotografią, patrzył na nią ze smutkiem, wreszcie oddał mi.

— Weź pan to i schowaj. Jeżeli Radek ma Racyą i jutro będzie ze mną koniec... nie trzeba żeby tego dotykała moja matka. Moja matka — moja święta... pan jéi nie opuścisz, prawda?... Bez téj myśli nie umiérałbym tak spokojnie... Przyprowadź ją... już dawno jéj nie całowałem, a dziś może pocałuję ostatni raz...

Podniosłem się i zbliżyłem do Krzyckiéj. Siedziała nic nie widząc i nic nie słysząc, zmartwiała w bólu.

— Pani droga, — zacząłem łagodnie — Leon jest zdrowszy, nie kaszle, może dziś mówić i przykro mu, że pani zbliżasz się do niego tak rzadko.

Patrzyła na mnie nie rozumiejąc i powtarzała automatycznie.

— Zdrowszy—nie kaszle—przykro mu.

Ująłem ją za ręce i patrząc w oczy powtórzyłem wyraźniéj.

— Leon jest zdrowszy, rozumié pani?—zdrowszy.

Zerwała się i z dzikim błyskiem w oczach patrzyła na mnie.

— Zdrowszy? — pan to mówisz seryo? — pan nie żartujesz z matki?

Jednym skokiem była przy łóżku.

— Czy to prawda Leonku—czy to prawda? będziesz zdrów, będziesz żył, powiédz?

— Będę mamusiu!

Wziął jéj twarz w swoje dłonie, patrzył w nią długo, jakby chcąc ukochane rysy zapamiętać już na całą wieczność, ale gdy począł ją okrywać pocałunkami, głowa matki osunęła się na piersi syna. Krzycka zemdlała.

. . . .

Nazajutrz Leon już nie żył, Krzycka dostała gwałtownego pomieszania zmysłów. Syn leżał uśmiechnięty i spokojny, matka darła na sobie suknie, łamała i ciskała wszystko co jéj się udało pochwycić i krzyczała nieludzkim głosem. Wywiozłem ją do siebie, nie odstępowałem ani na chwilę, ale dopiéro po pogrzebie Leona, umieściłem ją z pomocą Radka i jego kolegów u Jana Bożego. W biurku znaleźliśmy tysiąc rubli, ale dla Krzyckiéj i to było zadużo. Umarła po dwóch tygodniach męki.

I na tém się kończą moje smutne wspomnienia. O reszcie osób, które przypadek zbliżył na chwilę do Leona, nie wiele mam do powiedzenia.

Zosia wróciła do Białowoli, mieszka razem ze swémi staruszkami, dużo grywa, dużo czyta i dużo pracuje w pośród maluczkich, na których przelała wszystkie skarby swego serca. Mówią ludzie, że zdziwaczała, bo za mąż nie chce wyjść i odrzuciła już wiele świetnych partyi, ale ona nie dba, nawet o opinią świata. Czy jest szczęśliwa? Nie wiem. Byłem raz w Białowoli, widziałem ją otoczoną ciemnémi i konopiastemi główkami, słyszałem jéj łagodny głos, podziwiałem spokój rozlany na czole, ale o szczęściu nic powiedziéć nie mogę, bo świat przywykł co innego nazywać szczęściem.

Dolski zawsze serdeczny, wesoły chłopak, jeszcze hula bo jeszcze ma za co. W Monte Carlo rozbił bank i tak jak ongi przegraną, tak wtedy wygrane złoto z dodatkiem swego płochego serca, znowu złożył u stóp Maryni i znowu dostał uroczystego kosza.

Marynia jeszcze dotąd tryumfuje nad panem Władysławiczem, bo jeszcze za mąż nie wyszła, a Władysławicz przeniósł się na Żmudź, ka-

szle, wzdycha, do nowych okoliczności stosuje zawsze stare przysłowia, bywa często u pani Julii i w Zawiełłowie, ale jeszcze się nie oświadczył.

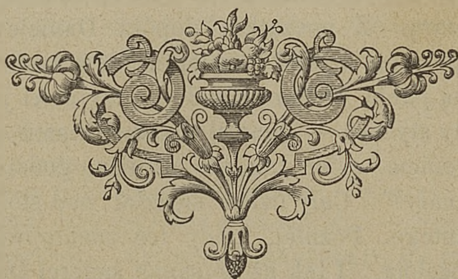
O Ruszczycu długi czas nie wiedziałem nic, aż wreszcie wyczytałem w dziennikach, że w Galicyi partya ochotników urządza wyprawę do bieguna północnego i że na jéj czele stoi Janusz Ruszczyc.

Pani Adela zaś, długi czas nieczuła na westchnienia pana Jałbrzykiewicza, wzruszona wreszcie jego stanowczem już wyrzeczeniem się wszelkich stosunków z ciałem baletowem, oraz prośbami i łzami jego matki, uległa, poświęciła się i—przez dobre serce została panią Jabłrzykową i przyszłą dziedziczką wielkich kluczów na Litwie i w Lubelskiém. Teraz ubóstwia ją mąż, ubóstwia jego matka, jego rodzina, wszyscy ją stawiają za przykład mężatkom, pannom i wdowom, ale ona o tém nie wié, ani domyśla się, jest zawsze cicha i usuwająca się w cień i zawsze piękna.

A nad ciężkim kamieniem Leona, czasem świeci słońce i świergocą ptaki, czasem szare niebo płacze i jęczy wicher, ale — „czyż nie dosyć trupom wichry mieć nad sobą i zapomnienie?" [1]).

Exterus.

[1]) Anhelli. Słowacki.

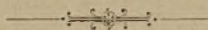


INCOMPARABILE DONNA.

Z dziejów serca Zygmunta Krasińskiego.

(1839—1859).

(Dalszy ciąg).



W Monachium, nadspodziewanie zupełnie, spędził Krasiński całą zimę. Zatrzymała go tu choroba Danielewicza, który ostatecznie po długiéj agonii dnia 27 marca umarł. Ta choroba Konstantego była główną osią, około któréj obracał się ten kilkumiesięczny pobyt Krasińskiego nad Izarą. Z początku, dopóki Danielewicz był zdrów i szczęśliwy, dopóki nie myślał o śmierci, ale o życiu, o swojem małżeństwie z piękną panią Delfiną Handly, przyjaciel jego pisał *Przedświt*. „Przez cały styczeń — donosił Gaszyńskiemu — ogarniony niezwykłém natchnieniem, żyłem tak, że mi jedną godziną, snem jednym był ten miesiąc cały!" Cały dzień siedział nad stolikiem, wieczory spędzał u Konstantego. Późniéj, kiedy ten zachorował nagle, dalsza praca była niemożebna. I tak aż do saméj śmierci Danielewicza.

Tymczasem od ostatniego widzenia się z Delfiną upłynął dłuższy przeciąg czasu, kilka miesięcy. Zygmunt był stęskniony. Jakoż, skoro zwłoki Danielewicza spoczęły na monachijskim cmentarzu, wyjechał poeta z tego „przeklętego miasta" i udał się do Szwajcaryi. Dlaczego

do Szwajcaryi? Dlatego najniezawodniéj, że miał nadzieję spotkać się tu z ukochaną [1]). Jakoż nie brak danych, upoważniających do przypuszczenia, że przybywszy do Bazylei około 8 kwietnia, zastał panią Delfinę, jeżeli nie tu, to we Fryburgu. Pozwala się tego domyślać wiersz *Fryburg*, napisany około tego czasu, a wskazujący dość wyraźnie, że poeta nie był tu sam [2]).

My nie wiedzieli, pod tych wieżyc cieniem,
Okien tych barwnych wieńczeni tęczami,
Że lat trzy minie, a będziemy sami,
I on nam w sercu już tylko wspomnieniem!
Nie przeczuwali, ani pomyśleli,
Że lat trzy minie, a grób nas przedzieli!
Że czoło jego, to śnieżne, to dumne,
W myśl tak promienne, pójdzie spocząć w trumnę...
A gdy grał z tobą tę pieśń Mozartową
Pieśń nieśmiertelną śmierci, pieśń królową!
On sam nie wiedział, że samemu sobie
Kładzie akordy, jak napis na grobie.
...Aniele niewieści,
Tyś przy mnie dotąd, nie odeszłaś jeszcze!
Ja w twych spojrzeniach rozpacz moją pieszczę...
Tyś anioł piękna, tyś anioł pokoju!...
Niech głos twój słyszę, niech dotknę się dłoni, i t. d.

Silniéj nierównie, aniżeli ten wiersz, przemawia za tém, że się teraz w Szwajcaryi spotkał Krasiński z Delfiną, list do Gaszyńskiego, pisany z Bazylei d. 9 kwietnia. „Skąd piszę do Ciebie, do nikogo nie pisz i nikomu nie mów, na miłość Bożą zaklinam Cię i proszę. Choć stąd wyjadę, list mi twój odeszlą tam, gdzie będę... Za pięć lub sześć dni stąd w głąb Szwajcaryi się zasuwam — do Fryburga — i tam do czerwca będę.” Możnaby dodać: z Delfiną [3]). Ona bowiem, nie kto inny, była przyczyną, że tak Krasińskiemu zależało na tém, aby nikt nie wiedział o nim, gdzie się podziéwa, gdzie przebywa; ona była przyczyną, że musiał się teraz kryć przed ludźmi, że położenie, w jakiém

---

1) ...samolubną ogarnion żałobą
Pustynię życia ujrzałem dokoła!
Twój obraz tylko podniósł się z oddali (z Nicei)
Jak kształt drugiego losów mych anioła... — *Fryburg*.

2) Por. St. Tarnowski. „Zygmunt Krasiński“, str. 407.

3) W liście do Sołtana, datowanym z Bazylei d. 21 kwietnia 1842, pisze Krasiński: „Ze wszystkich (przyjaciół) tyś mi jeden pozostał po nim (Danielewiczu)... ty, i jedno niewieście serce na téj ziemi... Więcéj nie mogę, gdy sił dostanę, opowiem ci historyę nieocenionéj.“ W obu wypadkach jest tu mowa o pani Delfinie Potockiéj.

się znajdował od kilku miesięcy, było nad wszelki wyraz fałszywe i nieprzyjemne; że od chwili, kiedy wyjechał z Monachium, musiał się kryć przed wzrokiem ludzi, musiał prosić przyjaciół, aby o nim nieprawdziwe podawali wiadomości, aby mówili, że jest w Rzymie, kiedy on był tymczasem w Szwajcaryi. „Gdy się pytać będą — pisał do Sołtana na wyjezdném z Monachium — gdziem pojechał, powiédz, że podobno do Rzymu. Proszę cię, proszę cię! polegam na tobie, jak na Zawiszy." Kiedy przyjechał do Bazylei, a wypadło mu pisać do Sołtana, znowu musiał go prosić o to samo. „Że tu jestem, zaklinam cię, nikomu nie mów." Na to zaś, ażeby zmylić trop, ażeby zataić, że jest w Bazylei, wszystkie listy, które stąd do znajomych pisał, pisał jakby z Wiednia lub z Baden. Każdy list taki, na to, ażeby był ostemplowany w Wiedniu, wysyłał do Sołtana, i ten dopiéro rzucał je na pocztę wiedeńską. „Twemu sercu się powierzam;—pisze np. dnia 22 kwietnia z Bazylei—tych listów rzucaniem n a p o c z t ę w i e d e ń s k ą zbawisz mię od języków (gorszych niż krwawe ręce) moich szpiegów... Jeśli kto ciekawy pyta się o mnie, by potém kwasu mi narobić, odpowiédz, żem we Włoszech; dla téj tłuszczy paryskiéj, niechaj będę w Baden czy w Wiedniu. Pisz do Münich." Dlaczego do Münich, kiedy był w Bazylei? Dlatego, że wszyscy — a w téj liczbie pewno i ojciec — pisywali do niego do Monachium, gdyż dla wszystkich — z wyjątkiem Sołtana i Gaszyńskiego — był w Monachium.

Rzeczywiście położenie arcyfałszywe! Krasiński jednakże, o ile się w niém znalazł, o tyle sam był winien wszystkiemu. Od niego zależało wybrać drogę prostą lub krzywą; że wybrał krzywą, drogę, która prowadziła na moralne manowce, jego własna wina. Skoro postanowił „siebie zabić, a ojca wskrzesić", to należało nie hamletyzować dłużéj, tylko raz zdecydować się na to stanowczo; o wynalezieniu jakiegoś *modus vivendi*, godzącego jedno z drugiém, mowy być nie mogło, i nie powinno. Jedno z dwojga: albo, oparłszy się ojcu, zostać wiernym kochance; albo, wyrzekłszy się jéj i swego szczęścia, ożenić się. Na jedno z tych poświęceń trzeba się było zdobyć koniecznie, bezwarunkowo, jeżeli się chciało nie mieć sobie nic do wyrzucenia; ale w takim razie nie godziło się obierać drogi pośredniéj, tylko—jeżeli chodziło już o poświęcenie, lecz poświęcenie prawdziwe, a nie w wyobraźni poczęte i obliczone na dramatyczny efekt, — mieć tyle odwagi, tyle mocy nad sobą, ażeby każde z tych poświęceń, jedno czy drugie, było zupełném, bezwzględném, rzetelném. Krasiński tymczasem — który wogóle charakterem nie był — na taką odwagę, na taką moc nad sobą zdobyć się nie chciał czy nie mógł, a fakt ten, nawet przez najgorętszych wielbicieli Krasińskiego niezaprzeczany, jest w jego życiu najdziwniejszym

i najsmutniejszym zarazem, najtrudniéj dającym się pogodzić z sumieniem [1]). Nie miał serca, ażeby zmartwić ojca, ale nie miał także serca, ażeby zmartwić Delfinę, ani dość odwagi, ażeby się jéj wyrzec, ażeby z nią zerwać stanowczo. Co gorsza, to, że zamiast się zdecydować w końcu na jedno z tych poświęceń, bardzo ciężkich i bolesnych, trzeba to przyznać, on wybrał ostatecznie drogę pośrednią, na razie mniéj niby bolesną, w rzeczywistości jednak i gorszą i bardziéj dręczącą od tamtych obu. Ojcu uległ, ale miłości swojéj się nie wyrzekł, a przez to — jak powiada prof. St. Tarnowski — jego wiara stała się rozdzieloną pomiędzy dwie osoby. Materyalnie wprawdzie, skoro przysięgi nie wykonał, jeszcze był wolny; ale moralnie — każdy to przyzna — już był zobowiązany; z chwilą zaś, kiedy to zobowiązanie przyjął, powinien był koniecznie, jeżeli chciał być w zgodzie z sumieniem, zerwać dawny stosunek. On tymczasem, dziwna rzecz, zdawał się tego nie rozumiéć, a przynajmniéj, opanowany przez zdrożną namiętność, nie miał dość siły, ażeby sobie z tego zdać sprawę. Wynikła stąd kollizya nad wszelki wyraz przykra, przykra, jak wszystko, co fałszywe i nieproste, nie dobre.

Ale takie fałszywe położenia to mają do siebie, że jak owa Schillerowska *böse That*, stają się tylko przyczyną coraz nowych trosk i udręczeń. Doświadczył tego na sobie i Krasiński obecnie. Raz zszedłszy na kręte ścieżki, błądził coraz bardziéj, coraz bardziéj dawał mu się uczuć ów Schillerowski *Fluch der bösen That*. Przedewszystkiém, nawet w chwilach najwyższego upojenia miłością i szczęściem, nie mógł zapomniéć, że za rok lub półtora będzie zmuszony wyrzec się tego wszystkiego, że go ostatecznie, prędzéj czy późniéj, czeka zerwanie i rozstanie z ukochaną, że to szczęście już się ma ku końcowi, że chwila, kiedy mu szczęścia tego kosztować nie będzie wolno, zbliża się z każdą sekundą, że jest to konieczność nieunikniona, niechybna. Powtóre, odkąd wszedł na tę śliską drogę pomiędzy dobrém a złém, nie miał chwili spokoju: musiał kłamać, musiał ukrywać się, musiał się strzedz oczu ludzkich bardziéj, niż przedtém, bardziéj, niż kiedykolwiek; co najgorsza, to, że nie było innego sposobu postępowania. Po trzecie, koniecznem następstwem podobnéj sytuacyi co było? Oto nieunikniona świadomość, któréj żadne sofizmaty zagłuszyć i stłumić nie mogły, świadomość, że bądź co bądź, robi źle, że dał przyrzeczenie, którego nie dotrzymywał, bo przyrzeczenie takie, dane z restrykcyami i w niezupełnie dobréj wierze, nie jest godném człowieka, jak on, człowieka wyższego. Niestety, z takich fałszywych położeń, o ile zabrnąć

[1]) St. Tarnowski. *Op. cit.* str. 401.

w nie łatwo, o tyle wyjście trudne; dlatego właśnie, że wyjść z nich można tylko prostą drogą, drogą prawdy, drogą zaparcia się siebie, które z przeszłością zrywa odrazu, stanowczo i nieodwołalnie. Prawda, że serce się przytém rozdziera, ale w nagrodę za to ma się przynajmniéj — czyste sumienie. Tylko trzeba koniecznie znaléźć w sobie dosyć odwagi, trzeba z takiego fałszywego położenia wyjść śmiało i szczerze, nie szukać półśrodków, nie uciekać się do kompromisów, nie dążyć do pojednania rzeczy niedających się pogodzić. Niestety, na to, żeby się na krok taki zdobyć, trzeba być charakterem. Krasiński nim nie był i dlatego, zamiast z trudnego położenia wyjść, zaszedł na kręte manowce, po których deptał i błądził z coraz większém udręczeniem w labiryncie coraz gorszych sprzeczności, a z tego labiryntu nie prędko wyszedł [1]).

Te były przyczyny, dla których Krasiński, począwszy od chwili, kiedy się w Toeplitz rozstał z ojcem, błagał przyjaciół, z którymi korespondował, ażeby listy jego, które odbierać będą, chowali w tece i nie pokazywali nikomu (szczegół charakterystyczny, iż nie prosi o palenie tych listów). „Jeśli mi tego święcie nie przyrzeczesz stary a zacny przyjacielu, to nie będę ci mógł serca pękającego wylać, obryzgami krwi cię okryć, (*trop de bruit!*) bo pełno uszów czyha teraz na każde słowo moje: lada jakie może zaszkodzić, wprawdzie nie m o i m celom, ale tym, które podzielić, których uczestnikiem być się podjąłem, a więc j a k g d y b y m o i m" [2]). W ostatniém zdaniu jest wyjaśnienie całéj fałszywéj sytuacyi, w którą się Krasiński dobrowolnie, sam, z własnéj winy wplątał: te uboczne, jego osobiste c e l e, o których tu mówi, a które się w zupełności rozmijały z celami, które on tylko j a k g d y b y s w o j e m i nazywa, te cele w konflikcie z owemi drugiemi, których u c z e s t n i k i e m tylko być się podjął, wytworzyły owo fatalne błędne koło, w którém się czuł obecnie, jak w matni, a z którego nie było wyjścia, jeżeli się z niego wydostać chciał nie sam, lecz z Delfiną razem. Niestety, gdzie namiętność panuje, tam milkną perswazye rozumu, a często i sumienia, tam wszystko, co od téj namiętności odwodzi, nie trafia do przekonania, nie ma mocy nad człowiekiem. Bo mało jest takich ludzi, coby nie byli niewolnikami swoich namiętności. W danym wypadku zaś, to, co Krasińskiego wiązało do pani Delfiny, to była wielka, nieprzezwyciężona namiętność. Namiętnością też, i tylko namiętnością, tłómaczy się tu wszystko; tłómaczy, nie usprawiedliwia.

---

[1]) W ustępie tym trzymałem się ściśle poglądów — a niekiedy i wyrażeń nawet—prof. St. Tarnowskiego. Zob. jego książki o Krasińskim, str. 402.

[2]) Do Sołtana 24 września 1841.

Tém się tłómaczy także i owa nietajona niechęć, z jaką się w tych czasach Krasiński odzywa o swoim ojcu, którego uważał obecnie za swego tyrana, za głównego sprawcę całego nieszczęścia, jakie go czekało niebawem, jeżeli się ożeni. Żeby nie jenerał, w którego oczach on, żonatym nie będąc, najmniejszéj nie przedstawiał wartości, wszystko byłoby dobrze, a przedewszystkiém nie znalazłby się w lipcu w Kissingen. Jeżeli tu przyjechał, jeżeli porzucił Szwajcaryę, to dlatego jedynie, że taka była wola ojca, który się chciał z nim zobaczyć i raz jeszcze rozmówić ostatecznie w sprawie projektowanego małżeństwa. Rozumie się samo przez się, że te intencye jenerała na stosunek jego z synem nie wpływały dodatnio; a że ten stosunek, teraz w Kissingen, był w najwyższym stopniu naprężony, dowodem list Zygmunta do Sołtana, datowany z Kissingen d. 14 lipca (1842), między innemi taki zawierający ustęp: „Rozkazali mi lekarze kąpieli morskich zażyć; chciałbym stąd do Genui (w Nicei była Delfina), a może ojciec *pogna* do Karlsbadu (dla spotkania z Branickimi)! Przeklęte życie na dyszlu i co krok fałszywe położenie.” A wydostać się z niego było niepodobna, będąc w ciągłéj zależności od ojca. Nie wiedział nawet, czy mu jenerał pozwoli jechać do Genui, czy mu nie każe kąpać się w inném morzu, nie w Śródziemném, w pobliżu pani Delfiny. Bo jenerał wiedział, że Zygmuntowi nie tyle zależało obecnie na kąpielach morskich, choć miał je polecone przez lekarzy, ile na tém, ażeby się dostać do Genui, skąd było dzień drogi zaledwie do Nicei, do willi Geoffroy. „Stąd ruszam do Heidelbergu — pisał Krasiński na wyjezdném z Kissingen do Sołtana — gdzie pojechał ojciec radzić się doktora sławnego (Cheliusa); stamtąd p o d o b n o na kąpiele pojadę do Genui. O czasie rozstrzygnienia doniosę ci.” Ten jeden wyraz p o d o b n o najlepiéj maluje sytuacyę: chce przezeń Krasiński powiedziéć, że nawet rzecz tak błaha, jak obranie miejsca pobytu na kuracyę, zależała w téj chwili nie od niego, ale od ojca, który mógł mu na wyjazd do Genui nie pozwolić.

Jenerał jednak okazał się nie tak despotycznym, jak go o to posądzał Krasiński, i pozwolił synowi pojechać na południe, z czego korzystając, autor już napisanego prawie *Przedświtu* opuścił Heidelberg i udał się do Spezii nad morzem Śródziemném, miejscowości jednak o jeden dzień daléj położonéj od Nicei, aniżeli Genua.

Cokolwiekbądź, na początku października był już Krasiński w Genui, a w kilka dni późniéj w Nicei, przy boku pani Delfiny. Przyjechał tu w podwójnym celu: raz dlatego (naturalnie) ażeby spędzić czas jakiś — o ile możności jaknajdłużéj — z Delfiną, za którą był stęskniony, ażeby przy niéj zapomniéć o przyszłości, która jak miecz Da-

moklesowy wisiała mu nad głową, jak miecz, który się miał niedługo urwać; a powtóre, żeby wykończyć ostatecznie *Przedświt*, to ukochane dziecię swoich marzeń i myśli. Myśli te, obok myśli o pani Delfinie, z której osobą *Przedświt* tak się wiązał ściśle, były mu teraz największą osłodą. Niestety, osłoda ta, lubo wielka, musiała maleć niezmiernie na tle fatalnego spleenu i hipokondrycznych refleksyi, które poetę opętały niespodziewanie w ciągu pierwszych dni jego pobytu w Nicei. Dziwna rzecz! Nic go nie bawiło a wszystko nudziło natomiast: pomimo, że byli ciągle razem, że oprócz niéj miał tu Gaszyńskiego, a późniéj — przez jakiś czas — i Małachowskiego, że mógł z nimi debatować na temat *Przedświtu*, etc. Wszystko to miało niewątpliwie swój urok; cóż, kiedy urok ten zatruwała myśl, że niebawem wypadnie wszystko to porzucić i jechać na zimę do Rzymu, ażeby tam starać się o pannę Branicką. Nie uśmiechało mu się to, ale zapobiedz temu nie mógł, bo taka była wola ojca. „Czasem zdaje mi się, że niedługo już mnie być na ziemi. Mam p o d o b n o na zimę jechać do Rzymu". Tak pisał Krasiński dnia 3 października, z Genui, do Sołtana; a w kilka dni późniéj, dnia 7 października, z tejże Genui, pisał do Florencyi, do Małachowskiego, od którego miał nadzieję dowiedzieć się czegoś stanowczego o tém, co go czekało w zimie, jeżeli Brannicy zjadą do wiecznego miasta. „Powiédz mi, czyś nie słyszał o Branickich? Czy nie przejechali przez Florencyą do Romy?" Jeżeli przejechali, w takim razie nie pozostaje mu nic innego, tylko jechać w konkury. Wobec tego, nie dziw, że miał „same smutne myśli w mózgu, a uczucia w sercu", że mu jeszcze w Nicei było początkowo „w duszy czarno, piekielnie czarno, t a k, j a k w p r z y s z ł o ś c i [1]).

Jeżeli o niéj zapominał niekiedy, o téj przyszłości beznadziejnéj, to przyczyniała się do tego czarująca teraźniejszość, wśród któréj żył, którą oddychał. Jeżdżono konno, w całém towarzystwie—pani Delfina, Gaszyński, Małachowski i in., — a podczas tych nieskończonych przejażdżek konnych, na których pani Delfina, w stroju amazonki, pewno nie wyglądała brzydko, najwięcéj rozmawiano o *Przedświcie*, tak, iż można powiedzieć, że niejeden jego ustęp, wtedy dodany lub przedyskutowany, powstał przy tętencie końskiego galopu, tak samo, jak wiele innych, które powstały pod wpływem muzyki i śpiewu pani Delfiny, w jéj willi, w jéj ogrodzie. Były to piękne dni; Stanisław Małachowski mówił o nich zawsze, do saméj śmierci, jako o najpiękniéjszéj, najpoetyczniejszéj chwili swego życia [2]). Ale nieszczęście chcia-

---

[1]) Do Małachowskiego, Nicea 28 października 1842.

[2]) St. Tarnowski, *Zygmunt Krasiński*, str. 409.

ło, że niebawem przyszły deszcze i zimna, że wskutek tego musiano zaniechać tych rozkosznych przejażdżek, i że nieznośna wilgoć, przesycająca powietrze, usposabiała do melancholii, do spleenu, na czém pewno i praca nad *Przedświtem* ucierpiała niemało. Poeta bowiem, który nie znosił zimna, był niezdolny do pisania, kiedy nie widział słońca. Że tak było, dowodem list do Gaszyńskiego, który po paru tygodniach pobytu z Krasińskim w Nicei, musiał wracać do Aix, list, noszący datę 6 listopada 1842 r., a świadczący, że te najpoetyczniejsze chwile w życiu St. Małachowskiego miały także i swoje strony prozaiczne. „Po twoim wyjeździe znów mnie porwała melancholia i niemoc do wszelkiéj pracy. Czas tu przebrzydły przykłada się do tego. Ile chmur na niebie, tyleż i w mózgu moim myśli ponurych. Koło dziesiątego, najdaléj dwunastego (listopada), ztąd wyjadę; pisz więc tu raz jeszcze, a potém do Rzymu... Pisać długo nie mogę: 1) bo głowa boli z tyłu; 2) bo zaraz wpadam w melancholiczne tyrady i znudziłbym cię. Są chwile, w których się czuję znudzony sam wszystkiém. O przeklęty Mistralu, co wiejesz dzisiaj! Wszystkie góry pokryte śniegiem. Zimno jak w Berdyczowie lub Kaliszu.” Z nudów, nie będąc zdolnym do pisania czego innego, pisał listy, do Sołtana między innemi, któremu donosił o tém samém mniéj więcéj, co Gaszyńskiemu, z tą różnicą, że do Sołtana pisał szczerzéj. „Klimat włoski: zimno w nogi i w ręce, deszcz, śnieg po górach, melancholia w duszy. Jestem tu od trzech tygodni... Lecz przeklęta melancholia wciąż mnie trzyma. Choć raz na dzień, codzień napada mię pokusa w łeb sobie strzelić; piekło, piekło w duszy! Za dni kilka wyjeżdżam i *walę* przez Lukkę, gdzie Orcia Lubomirskiego znajdę i Stasia Małachowskiego, do Rzymu. Tam niby mam udać się w konkury... Biedny Konstanty najlepiéj zrobił; *meliorem partem eligit*. Widzisz, że jadę do Romy ponury i zły...”

W takiém usposobieniu, którego, jak widać ze słów powyższych, nawet towarzystwo Delfiny rozpogodzić nie mogło, znalazł się poeta na początku grudnia w Rzymie, „na pół umarły, na pół szalony, całkiem zniszczony”, do niczego nie zdolny. Własne jego słowa. Najwięcéj przebywał w towarzystwie Lubomirskiego i Małachowskiego, z którymi, jak powiada, spędzał dni i wieczory. Pozatém „*czasem* u Branickich bywam...” I jakby chciał dać do zrozumienia Sołtanowi, że te nieczęste odwiedziny u Branickich główną były przyczyną wszystkiego złego, że gdyby nie te przymusowe konkury, pogodziłby się może z życiem, pisał o kilka wierszy niżéj, że rozpacz go chwyta raz po raz, a po głowie chodzą najdziksze myśli... [1]) A ten sam ton panuje i w li-

---

[1]) Do Sołtana, Rzym 11 grudnia 1842.

ście do Gaszyńskiego z tego czasu (28 grudnia): „Żal mi było Nicei, niezmierny żal; przeczuwałem albowiem, co mnie czekało w Romie: choroba, cierpienie, niemoc, rozpacz. Nieznośném mi życie!" I tak daléj, ciągle na tę samą nutę.

Czytając te skargi, najwyraźniéj będące w związku z owem „*czasem* u Branickich bywam", mimowoli przypomina się sceptyczne zapytanie prof. St. Tarnowskiego, któremu te jeremiady nie zawsze wydają się... szczere. Bo przedewszystkiém nie ożenił się jeszcze, ani oświadczył o pannę. Dopiéro przyrzekł ojcu, że się będzie starał o pannę, nie wiedząc wcale, ani będąc pewnym, że oświadczywszy się o rękę panny, zostanie przyjęty. Bo panna nic mu jeszcze nie przyrzekała, ani postanowiła, ani po sobie poznać dała, że mu sprzyja; gdyż najpewniéj sama nie wiedziała jeszcze, co zrobi. Zatém na rozpacze zawcześnie! Wszak mógł jeszcze nie być przyjętym, a od niego wyłącznie zależało starać się o pannę w taki sposób, aby przyjętym nie być. On tymczasem, jakby sobie nie zdawał sprawy z rzeczy tak prostéj, rozpaczał—w listach do przyjaciół—rozwodził się nad swém nieszczęściem, nad tragizmem sytuacyi, słowem, jak hrabia Henryk w *Nieboskiéj*, „dramat układał", dramat jednakże, który mu wcale nie przeszkadzał być niekonsekwentnym: z jednéj strony rozpaczać, a z drugiéj starać się o pozyskanie względów panny, starać się usilnie i długo, bynajmniéj nie tak, jakby przystało na człowieka, co się żeni z musu, zgwałcony wolą ojca. Dlatego nie można się dziwić jego biografowi, kiedy przypuszcza, że między jego wrażeniami i słowami a jego istotną wolą musiała zachodzić pewna różnica. Ożenić się postanowił, ale upodobanie w dramatycznych sytuacyach sprawiało, że rozpaczał nad ożenieniem przymusowém, i w téj rozpaczy znajdował pewną przyjemność (czyli, że pozował na nieszczęśliwego, na poświęcającego się, nie będąc nim w rzeczywistości). Albowiem zaprzeczyć się nie da, że gdyby mu się panna była nie podobała, gdyby jéj był stanowczo nie chciał, byłby znalazł dość w sobie energii na to, by się ojcu jeszcze tym razem oprzéć. On zaś, przeciwnie, stara się, i długo, bo przez dwa lata blisko [1]).

W końcu starania jego pomyślnym zostały uwieńczone skutkiem: panna Eliza dała mu słowo, dała je, choć wiedziała, w jakim pozostawał stosunku do Delfiny Potockiéj... Nie wiedziała tylko, że ten stosunek jeszcze się nie skończył, że trwał w całéj sile, że jeszcze nie przestał być Zygmunta namiętnością. Nie miała pojęcia, bo jéj tego nie powiedział, choć byłby to argument wystarczający najzupełniéj,

---

[1]) St. Tarnowski, *Zygmunt Krasiński*, str. 401, 451.

ażeby go panna Eliza wybawiła z nieszczęścia i... odmówiła mu swéj ręki. Widocznie, że w gruncie rzeczy, pomimo wszystkiego, co wypisywał w listach do przyjaciół, chciał się ożenić.

Ale mania dramatyzowania swojego życia, uganiania się za dramatycznemi, niezwykłemi sytuacyami, nie pozwalała mu spoczywać na laurach po otrzymaniu słowa od panny Elizy, nie przeszkadzała mu nawet — w listach do przyjaciół — téj zimy spędzonéj w Rzymie, razem z narzeczoną, nazywać „wszeteczno-piekielną” i wspominać ją ze wstrętem, kiedy się w marcu znowu znalazł w Nicei, przy boku pani Delfiny. Jakto? Więc wyjechał z Rzymu, teraz, kiedy w Rzymie była panna Eliza, kiedy się wkrótce miały odbyć jego zaręczyny z nią, kiedy wszyscy wiedzieli, że się żeni? W takiéj chwili odjechał narzeczoną, ażeby się zobaczyć z kochanką?... Musiał i Krasiński rozumiéć, że taki wyjazd pozostaje w najwyższéj niezgodzie z sytuacyą, albowiem starał się go wedle możności upozorować i osłonić motywami, które o ile były wystarczające dla zamydlenia oczu ludziom, o tyle nie przestają robić wrażenia pretekstu. Kiedy K. wyjeżdżał z Rzymu, nazywało się to, że jedzie do Montpellier, wysłany tam przez lekarzy rzymskich w celu poradzenia się u Sallemanda, który jako specyalista od chorób sercowych, miał zbadać jego serce i orzec stanowczo, czy to jest u niego rozszerzenie serca, jak twierdzili eskulapi z nad Tybru, czy téż co innego. W rzeczywistości jednak, można być pewnym, zależało mu nietyle na pobycie w Montpellier, ile raczéj na tém, żeby spędzić kilka tygodni w Nicei, w pobliżu willi Geoffroy. Jakoż przybył tam na samym początku marca i zabawił do 3 kwietnia, t. z. miesiąc przeszło.

Za dowód, jak się do téj bytności w Nicei nie bardzo miał ochotę przyznawać przed światem, może posłużyć jego list do Sołtana, pisany d. 27 niby z *Aix en Provence*, a naprawdę z Nicei [1]), list, w którym Krasiński ani słówkiem nie wpomina o tém, że jest lub był w tych czasach w Nicei. „Wysłali mię lekarze, czytamy tam, do fakultetu

[1]) Ażeby się o tém przekonać, dość przejrzéć daty listów Krasińskiego do Gaszyńskiego, z Nicei pisanych, zwłaszcza dwóch listów: jednego z d. 24 marca 1843 a drugiego z d. 28 marca 1843. Dowód to, że w tym czasie, pomiędzy 24 a 28 marca Krasiński był przez cały czas w Nicei, nie mógł być zatém d. 27 marca w Aix en Provence, gdzie mieszkał Gaszyński, a które jest od Nicei oddalone o cały dzień drogi (przy ówczesnéj komunikacyi). Wystarcza zresztą przeczytać dwa wspomniane listy do Gaszyńskiego (z d. 24 i 28 marca) ażeby nie wątpić o tém, że Krasiński nie wyruszał w tym czasie ani krokiem z Nicei. Położenie na liście do Sołtana nazwy *Aix en Provence* jest fałszywe. Być może wszakże, że Krasiński list ten do Sołtana posłał do Aix Gaszyńskiemu, z prośbą, aby ten list wrzucił w Aix na pocztę. Wiemy przecież, że się Krasiński niejednokrotnie uciekał do tego środka, ażeby się nie narażać na zbytnie obmowy.

w Montpellier... Więc pojechałem tam, byłem tam, potwierdzono wyrok eskulapa rzymskiego, a teraz wracam do Romy, gdzie mój ojciec musi już być, a gdzie ja koło piątego kwietnia będę, i domyślisz się, na co". O tém, że już od trzech tygodni bawił w Nicei, ani słowa. Z obawy zaś, aby mu Sołtan przypadkiem do Aix nie odpisał, nie omieszkał dopisać w końcu: „Że z Aix piszę, niech tylko poczta o tém wié, ty zaś do Romy mi odpisz". Wobec tego, trudno ręczyć, czy i jenerał Krasiński wiedział o tym pobycie syna w Nicei, czy nie myślał, że bawi w Montpellier albo w Aix u Gaszyńskiego, czy listy jenerała, który w tym czasie przyjechał do Rzymu, ażeby być obecnym na zaręczynach Zygmunta, nie były adresowane do Aix, zkąd je dopiéro Gaszyński posyłał Zygmuntowi do Nicei, a dokąd Krasiński posyłał listy do ojca, ażeby je Gaszyński ztamtąd wysyłał do Rzymu? Wszystko jest możebne.

W każdym razie, jedno pozostanie pewném i niezawodném, że te dni, teraz spędzone przez Krasińskiego w Nicei, należały w życiu jego do najprzyjemniejszych. „Na wieki te dni w Nicei—pisał o nich do Małachowskiego—mnie pozostaną błękitném wspomnieniem. Jeździliśmy konno po tych górach, co z tobą; śliczne było niebo, i w duszy błogo, spokojnie, wzniośle, bo ciągle mówiliśmy o świecie idei, o świecie ducha i o świecie przyszłości" [1]). To téż „nie uwierzysz, jak się rozkochałem w naturze Nicejskiéj, w konnych przejażdżkach po tym kolizejskim okręgu gór; chciałbym tam kupić willę (taką, jak willa Geoffroy), i skrytą, i cichą, i tam zapomnieć, że świat pełen ruchu i trosk, i łez, i walk" [2]): słowem takie prowadzić życie, jakie prowadził teraz, w willi Geoffroy, życie, które mu upływało na roskosznych spacerach konno lub pieszo, albo w powozie; na artystycznéj pracy nad ulubionym poematem, którego wiersze ogładzał i cyzelował; na czytaniu poważnych dzieł filozoficznych — wtedy przeczytał dzieło Stoffelsa *La Resurrection* — lub poezyi, które czytał na głos kobiecie ukochanéj [3]); na słuchaniu gry i syreniego śpiewu pani Delfiny. Pogoda przez cały czas była cudowna; ciepło, jak w maju; słońce i niebo, jak wymarzone; wygładzona tafla morza Śródziemnego, tego najpiękniejszego z mórz, zdawała się uśmiechać swoim nieporównanym szafirem, rozmarzającym, jak błękitne oczy pani Delfiny; w powietrzu czuć było łagodne podmuchy wiosny, przesycone zapachem kwiatów, zapachem róż i fiołków,

---

[1]) Do Małachowskiego. Rzym 15 kwietnia 1843.

[2]) Do Gaszyńskiego. Livorno, 6 kwietnia 1843.

[3]) „Pisałem ci już wczoraj, że się rozpłakały te damy, gdym czytał im wiersz twój o Matczynéj za sobą modlitwie." Do Gaszyńskiego. Nizza 24 marca 1843.

a na tém tle rajskiém, świetlistém, jaśniała, jak nimfa, złotowłosa, łabędzioszyja Delfina, w pełnym rozkwicie swojéj niewieściéj urody, swego powabu, swego uroku. Miała wtedy lat 36.

Jedynym dysonansem w téj romansowéj idylli nicejskiéj, była dla Krasińskiego myśl o podróży do Rzymu, o mających nastąpić tam — zaręczynach, o całéj komedyi obłudy, którą tam będzie zmuszony znowu grać od rana do wieczora przed całym światem, przed panną, przed ojcem, przed rodzicami panny, przed wszystkimi, nawet przed służbą. Niestety, było to nieuniknione, jeżeli nie chciał przeciągać struny, jeżeli miał dotrzymać słowa, danego ojcu. A ojciec był już w Rzymie i nastawał na syna, ażeby przyjeżdżał czémprędzéj. „Już mój ojciec we Włoszech — donosił Krasiński swemu przyjacielowi w Aix 24 marca — jednak przed pierwszym kwietnia stąd nie wyjadę", pomimo, że „ojciec mnie listami oblega, codzień jeden, a coraz to bliższe odbieram. Jak głos przeznaczenia, porywają mię te listy." Słowem zbliżała się godzina pogrzebania własnéj indywidualności. W tém uczuciu pisany jest d. 27 marca list do Sołtana, i zaadresowany niby z *Aix en Provence*, a w którym poeta przyrównywa się do człowieka, schwytanego przez Meksykanów, gdyż i on będzie zmuszony niebawem, serce drgające, pełne życia, wydrzéć sobie z piersi." Idź serce moje, idź, precz na wieki!

W tém uczuciu został napisany wiersz do pani Delfiny:

Módl ty się za mnie, gdy z rozpaczy ginę...
Módl ty się za mną, bym u Boga w niebie
Po wiekach wieków, kiedyś spotkał ciebie,
I tam przynajmniéj odetchnął wraz z tobą!...
Módl ty się za mnie, jam cię kochał wiernie (kochał, nie kocham?)
I tak, jak bezmiar bezmierny, bezmiernie.

W takiém usposobieniu, rozmarzony temi dniami szczęścia, przeżytemi z kochanką, wśród błękitów Riviery, wyjechał Krasiński dnia 3 kwietnia z Nicei, do Rzymu. W Rzymie zastał już ojca, asystującego przyszłéj synowéj. Tymczasem syn, mniéj czuły dla narzeczonéj (jeżeli był szczery w listach), nie mógł zapomniéć o Nicei. Wciąż myślał tylko o Delfinie. „Pytasz, co się dzieje ze mną? — pisał do Małachowskiego w tydzień po swym przyjeździe do Rzymu. — Patrzałeś przez całą zimę na mnie: otóż to samo się ze mną dzieje. Ja o tyle żyję, o ile mi się wydaje, żem jeszcze koło willi Geoffroy... List ten spal, albo zamknij, a nikomu nic o nim: im mniéj o mnie, tém lepiéj mnie. Panią Komarową i Delfinę obaczycie wkrótce... Donieś mi, jak się mają. Jerzy cię ściska, Aleksander Branicki także; to dobry chłopiec." Ta wzmianka o młodym Branickim, bracie panny Elizy,

pozwala się domyślać coraz zażylszych z rodziną Branickich stosunków. Jakoż było tak w istocie: od czasu przyjazdu poety do Rzymu, jedyném towarzystwem, w którém dnie całe spędzał, było towarzystwo ojca, rodziny Branickich i Jerzego Lubomirskiego. Nie znaczy to jednak, ażeby podobna sytuacya bardzo przypadała poecie do smaku. Oto dowód. „Orcio — czytamy o Jerzym Lubomirskim w liście do Małachowskiego z d. 15 kwietnia — trochę lepiéj, ale zawsze nie dobrze; gdyby nie on był tu teraz, tobym się obwiesił, bom nie przywykł żyć w takim świecie. Huk Polaków, nikogo nie widuję." Że zaś nic mu się tak nie dawało boleśnie we znaki, jak rola kochającego i posłusznego syna, z tego nawet nie robił tajemnicy, pisząc do zaufanych przyjaciół, których dyskrecyi był pewny. „Czasu mam mało, pisał np. d. 17 kwietnia do Gaszyńskiego; cały dzień na służbie m u ojca i innych." Przez tych innych należy rozumiéć Branickich, nie wyłączając panny Elizy. „Atmosfera, co mnie owiała, zarazą morową... Lecz ja nie dam się zabić, raczéj ta atmosfera cała pęknie."

Rodzi się pytanie, czy istotnie atmosfera, którą teraz oddychał Krasiński, tak mu była wstrętną i nieznośną, czy tylko taką przedstawiał ją w listach, dla udramatyzowania sytuacyi. Albowiem nie brak danych, pozwalających się domyślać, że w rzeczywistości działo się inaczéj, niż w listach; że w rzeczywistości starał się Krasiński być z Branickimi na najlepszéj stopie; że ta „służba", o któréj wspomina w liście do Gaszyńskiego, nie kosztowała go tak wiele, jakby to się, sądząc z pomienionego listu, zdawać mogło; że w rzeczywistości oddychał tą „wszeteczno-piekielną" atmosferą wcale swobodnie; że się rolą konkurenta i narzeczonego przejmował wcale przykładnie; że był nadskakujący i uprzejmy nietylko dla panny Elizy, ale i dla jéj młodszéj siostry nawet, panny Katarzyny Branickiéj, późniejszéj księżnéj Odescalchi. Co szczególna, to, iż są pewne poszlaki, upoważniające do oryginalnego przypuszczenia, że z siostrą swéj narzeczonéj był Krasiński na serdeczniejszéj stopie, aniżeli z narzeczoną samą. Bo przyzna każdy, iż jest to fakt dziwny i dający do myślenia, że do panny Katarzyny napisał teraz poeta, w czasie téj bytności w Rzymie, aż dwa wiersze, bardzo ładne, szczególniéj jeden, który należy do najpiękniejszych wierszy Krasińskiego wogóle, kiedy panna Eliza tymczasem, choć wypadałoby także i do niéj napisać jaki wierszyk, nie natchnęła go do napisania ani jednéj litery, choć była jego narzeczoną, choć była po temu sposobność z powodu zaręczyn, choć każdy dzień, każdy spacer odbyty wspólnie, mógł dostarczyć tematu do jakiegoś erotyku. Tém bardziéj, że panna, wielce rozmiłowana w poezyi, a któréj Krasiń-

ski, jeżeli czém imponował wogóle, to jedynie swym geniuszem poetyckim, byłaby niesłychanie ujęta takim dowodem czułości ze strony oblubieńca. Zwłaszcza, gdyby w wierszu była mowa o niéj, gdyby się w nim tak przejrzéć mogła, jak się np. siostra jéj mogła przejrzéć w swoim, i gdyby wizerunek tak samo był pochlebny, nie mówiąc już o innéj stronie wiersza, ogólniejszéj... To bowiem, co stanowi początek wiersza do panny Katarzyny, mogło się równie dobrze odnosić i do panny Elizy.

Ty wiesz, żeś piękna, ty czujesz, żeś młoda:
Jak dwa skrzydełka, młodość i uroda
Unoszą ciebie po ziemskim błękicie,
I wiosną tobie, co nam męką — życie.
Lecz ty nie dziękuj latom twéj młodości,
Że wszystko w duszy śni się tobie majem,
Lub że wdzięk kwiatu na twém czole gości;
Bo innym — wyższym — obdarzą cię rajem,
Innem, o, innem twe młodzieńcze lata
Dadzą ci ujrzéć przemienienie świata... i t. d. [1].

W dzień świętéj Katarzyny, 30 kwietnia, kiedy siostra panny Elizy obchodziła swe imieniny, w liczbie podarków, które dostała, znalazła się i bransoletka, a przy bransoletce wiersz, ręką Zygmunta Krasińskiego napisany, co się odrazu pozwoliło domyśléć solenizantce, od kogo była bransoletka i kto był autorem tego wiersza, zaczynającego się od pytania: „Łzy wiecznéj pragniesz?” (Musiała być w bransoletce perła). Oprócz solenizantki mogła się tego z łatwością domyśléć także i panna Eliza, któréj mogło być przykro, że ten poeta już drugi wiersz napisał — nie do niéj. Dlaczego on dla niéj żadnego nie napisze wiersza? Przecież była jego narzeczoną; więc powinien, choćby przez grzeczność, napisać i do niéj jaki wierszyk... Poeta jednak, dopóki był narzeczonym, nie zdobył się dla niéj na żaden wiersz, pomimo, że mu się nawet przymawiała czasami o to nieśmiało... [1]).

W takich warunkach odbyły się zaręczyny — w końcu kwietnia lub na początku maja — po których, w dniu 5 maja, wyjechał Krasiński w towarzystwie ojca i Lubomirskiego z wiecznego miasta, obierając drogę na północ, do Francyi. W lipcu mieli się wszyscy zjechać w Dreznie, na ślub, który z góry już naznaczono na dzień 21 lipca.

---

[1]) Zob. „Pisma Zygmunta Krasińskiego“, Lwów 1890, t. III, str. 88, do K(atarzyny) B(ranickiéj). Sam poeta podpisał pod tym wierszem: „Rzym, kwiecień 1843.“

[1]) „Nieraz żądałaś, bym ci złożył wiersze“ (Dla Elizy, wiersz wkrótce po ślubie napisany).

Koniec maja i cały czerwiec spędził Krasiński w Grenoble, gdzie — wnosząc z listów do Gaszyńskiego — nierównie bardziéj interesował się *Przedświtem*, który świeżo ukazał się właśnie w druku, aniżeli swoim ślubem i przyszłością.

Ale dzień ślubu zbliżał się z każdą chwilą, aż nadszedł w końcu. I stało się, że poeta ukląkł na ślubnym kobiercu, i pannie Elżbiecie Branickiéj, klęczącéj przy nim, zaprzysiągł dozgonną miłość i wierność.

We dwa tygodnie potém, dnia 3 sierpnia, pisał do Sołtana, jeszcze z Drezna, co następuje: „Daleko odemnie wszystko, co kocham. Wracam do kraju za trzy dni. Głęboko czuję się obalonym ręką... Czyją? Powiem, że losu. Słabym na ciele, pomieszanym i rozerwanym na duchu. Codzień mi gorzéj. Wróblom lub kanarkom dobrze do klatki, gdzie dużo nasypano lnianego nasionka lub maczku; ja innego łaknę pokarmu. Wolę milczéć, niż rozwodzić skargi. Cokolwiek — kiedykolwiek — usłyszysz o mnie, niech cię nie dziwi; prócz podłości, a téj nie uwierzysz, zresztą wszystkiemu wierz, nawet, żem się powiesił gdzieś na rozstajnéj drodze pod figurą. Bądź mi zdrów, módl się za mnie i odtąd nie zwij mnie już Zygmuntem, ale wiédz, że się zowię *Rozpacz*."

Czy wierzyć tym słowom? Nie wierzyć zupełnie—trudno; ale przypuścić się godzi, że w téj „rozpaczy" było dużo — romantycznéj pozy, i że w przekonaniu poety było mu z tą rozpaczą bardzo — do twarzy.

(*d. n.*) *Ferdynand Hösick.*



O rozwoju sztuki mierzenia.

Pomiary zasadnicze: Mierzenia długości i początki geometryi. Ważenie, waga mądrości. Mierzenie czasu. — Pomiary wielkości olbrzymich i maluczkich: Odległości ciał niebieskich i najdrobniejsze cząsteczki ciał. Zważenie ziemi i ciężary atomów. Okresy geologiczne i nikłe ułamki sekundy. — Historya wynalazku i udoskonalenia termometru. — Mierzenie ilościowe ciepła i pracy mechanicznéj. Jednostki praktyczne elektryczności—wolt, amper, om. Układ miar bezwzględny. — Ścisłość pomiarów w zadaniach praktycznych i w badaniach przyrody.

Wedle miary i wagi wszystko urządziłeś — *in mensura et pondere omnia posuisti* — wysławia pisarz biblijny Pana, jakby przeczuwając znaczenie, jakie w nauce w dalekiéj dopiéro przyszłości miara i waga osiągnąć miały.

Z powodu przypadającego w roku zeszłym stulecia metra, opowiedziałem w zeszycie styczniowym r. z. „Ateneum" historyę udoskonalenia i ujednostajnienia miar metrycznych; rzecz tę uzupełnić teraz pragnę kilku uwagami o rozwoju samejże sztuki mierniczéj.

W życiu zwykłém, w pospolitém wyrazu tego znaczeniu, umiejętność mierzenia nie imponuje wprawdzie, a przed oczyma staje nam układny subiekt handlu bławatnego, typowym swym łokciem uzbrojony. Pomijając już wszakże, że wątpliwą jest rzeczą, czybyśmy łokciem tym, bez wprawy, równie zręcznie i szybko wywijać potrafili, to przecież w tymże samym ciągu spraw powszednich, na stopniu o krok dalszym, uznać musimy biegłość krawca, który z niewielu pomiarów odpowiednich, z kilku liczb zanotowanych, wykrajać umié z tkaniny

formy pożądane. Jeżeli zaś uprzytomnimy sobie cały obszar wszelkich robót rzemieślniczych, prac technicznych, badań naukowych, stopniowanie to rozwija się przed nami w szeregu pomiarów coraz mozolniejszych, coraz zawilszych i coraz bardziéj pomysłowych, aż wreszcie uderza nas genialnością metod, które umożebniają ścisłą ocenę w dziedzinach, wymykających się już z pod władzy zmysłów naszych.

Stopień rozwoju nauki danéj oceniać zwykliśmy często wedle udziału, jaki w całokształcie jéj matematyka przybiera. Sąd taki jest w znacznéj przynajmniéj mierze słuszny niewątpliwie, ścisły bowiem język matematyki nietylko dokładność wywodów dedukcyjnych poręcza, ale już i w dochodzeniu indukcyjném umożebnia wyprowadzanie praw ogólnych z dostrzeżeń i doświadczeń. Przedmiotem wszakże rozważań matematycznych to tylko być może, co się ilościowo ocenić daje, co zmierzyć zdołamy; stąd téż zapewne na słusznéj będziemy drodze, gdy chcąc mieć skaźnik rozwoju danéj gałęzi wiedzy, rozpatrzymy, jak dalece postąpiła ona w sztuce mierzenia. W miarę postępu nauki jakościowe jedynie rozpatrywanie objawów przyrody coraz bardziéj ustępuje miejsca badaniu ilościowemu; nauka nie poprzestaje już na odkrywaniu zjawisk nieznanych, lub na dochodzeniu nowych działań sił znanych, ale dąży do liczebnego ujęcia związków między różnemi zjawiskami, by tą drogą coraz głębiéj treść ich i istotę przenikać.

Dać obraz obecnego stanu sztuki mierzenia, albo téż dzieje jéj opowiedziéć, byłoby to zadanie do spełnienia zgoła niemożebne; ile bowiem różnych jest działów i rozdziałów wiedzy, ile się zadań przed nią otwiera, ile nas zjawisk uderza, tyle jest różnych metod mierzenia, tyle odrębnych przyrządów mierniczych, które się w ład usystematyzowany uporządkować nie dadzą. Historya rozwoju sztuki mierzenia splata się nierozerwalnie z ogólnemi dziejami widzy. Pragnę tu podać jedynie kilka luźnych urywków, któreby potwierdziły, że wszelkie badanie umiejętne na podstawie pomiarów wspiérać się musi, a postęp nauki wespół z ulepszeniem metod mierzenia kroczy. Pozwoli nam to téż ocenić doskonałość, jaką metody te obecnie już osiągnęły.

I.

Co się właściwie miernictwem nazywa, jest to w istocie rzeczy ziemiomierstwo, geometrya. Z potrzeb praktycznych zrodzona, odbiegła wprawdzie daleko od skromnego swego początku i rozwinęła się w naukę olbrzymią, która dobitniéj może, aniżeli jakakolwiek inna

gałąź wiedzy, świadczy, do jak głębokich pojęć i do jak dalekich abstrakcyi umysł ludzki jest zdolny; ale jako nauka o przestrzeni — mierzenie jéj zawsze za najważniejsze swe zadanie, za cel swój najbliższy uważać musi. Łatwą jest rzeczą mierzenie wtedy tylko, gdy o linię prostą, o odległość dwu punktów idzie; skoro wszakże linia się skrzywia, usuwa się tém samém z pod miary, a długość jéj bezpośrednio ująć się nie daje. Ze wszystkich linii krzywych uwadze naszéj nastręcza się przedewszystkiém okrąg koła, a zmierzenie jego długości jest już ze względów czysto praktycznych rzeczą potrzeby najpilniejszéj. Przez długie wszakże stulecia z zadaniem tém człowiek uporać się nie potrafił. Przy opisie budowy i urządzenia świątyni Salomonowéj, w księdze królów, okrąg koła podany jest jako trzy razy od średnicy dłuższy, zrównany zatém z obwodem wpisanego weń sześciokąta. Potężny dopiéro umysł Archimedesa genialnym wybiegiem pokonać zdołał trudności, które poprzednikom jego nieprzezwyciężonemi wydawać się musiały. Wpisując w koło i opisując na niém wielokąty o podwajanéj wciąż liczbie boków, zbliża je ku sobie, a tém samém i do zawartego między niemi okręgu; różnica między długościami obwodów wielokątów opisanych i wpisanych zmniejsza się ustawicznie, czyli coraz się bardziéj wyczerpuje, a obwody wielokątów schodzą się wreszcie w granicy z samymże okręgiem koła. Starożytna ta zatém metoda „wyczerpywania” sprowadza w istocie rzeczy, wieńczące obecnie wykład geometryi elementarnéj mierzenie okręgu koła do sumowania nieskończenie wielu, nieskończenie drobnych, jakby prostolinijnych już części, i stanowi zaród wielkich i ogólnych metod matematyki nowoczesnéj, które pozwalają obliczać długość wszelkiéj linii krzywéj, jakkolwiekbądź zawiłéj, skoro tylko znamy prawo, wedle którego skrzywienie jéj następuje. Dochodzenie takie długości linii krzywych, których skręty w dziwaczny często sposób od kierunku prostego odbiegają, jako niewątpliwy i uderzający tryumf sztuki mierzenia zaznaczyć tu możemy.

W początkach już też kultury ludzkiéj nastręczyła się potrzeba mierzenia powierzchni, a w najprostszych przynajmniéj przypadkach umiano zapewne dawno już sobie radzić, jak o tém świadczy najstarszy rękopis matematyczny, który nas doszedł, pochodzący z dwudziestego lub ośmnastego wieku przed Chrystusem. Jest to jakby podręcznik matematyki, ułożony „według wzoru dzieł dawnych” przez Ahmesa, pisarza króla Apepa, zwanego Ra-a-us, „który życie daje.” Pole prostokąta oblicza dawny ten autor już należycie, jako iloczyn z podstawy przez wysokość, trójkąty wszakże stanowią jeszcze ciężki dlań szkopuł; rozważa on tylko trójkąty równoramienne, a na obli-

czenie ich podaje przepis mylny, mnoży bowiem połowę podstawy, nie przez wysokość, ale przez bok trójkąta, co oczywiście tylko przy figurach bardzo wydłużonych do błędu zbyt znacznego nie prowadzi. Potrąca też Ahmes i obliczenia stereometryczne, oznacza bowiem objętość spichrzów, nie podaje wszakże ich postaci, a stąd dokładności jego wywodów osądzić niepodobna.

Półtora tysiąca lat przeszło trzeba było, by z początkowych tych zarodków wyrosła umiejętność, która na tejże samej ziemi egipskiéj, ale pracą ducha greckiego, przez Euklidesa w Aleksandryi, ujętą została w pełny i logiczny system, budzący dotąd nasz podziw, jako najwspanialszy pomnik umysłowości greckiéj; z obecnego wszakże naszego stanowiska, gdy o mierzeniu tylko mówimy, hołd należy się autorom „dzieł dawnych", zamierzchłym i nieznanym poprzednikom Ahmesa, którzy zrozumieli, że mierzenie przestrzeni do mierzenia długości jedynie sprowadzić się daje. By poznać wielkość danéj powierzchni, nie pokrywamy jéj kwadratami, ani téż nie wypełniamy bryłami sześciennego obszaru, którego zawartość ocenić pragniemy, — wystarcza pomiar niewielu linii prostych, należycie dobranych. Jest to zasada powszednia i odwieczna, niemniéj wszakże uderzającą zdobycz sztuki mierzenia stanowi. Łokieć tylko, metr, albo jakikolwiek inny pręt, obrany jest jednostką zasadniczą, podstawową; łokieć kwadratowy lub łokieć sześcienny, są to już miary pochodne, złożone, a drobny zasób wyobraźni wystarcza, by je z jednostki zasadniczéj wysnuć. Wedle tejże myśli składają się i dalsze, bardziéj zawiłe jednostki pochodne, o których mówić wypadnie nam niżéj.

II.

Również dawno, jak mierzyć, rozpoczął człowiek i ważyć. Przy ważeniu pytamy, jaki ciężar posiada dany przedmiot; w istocie rzeczy, wszakże, nie o ciężar bynajmniéj nam idzie. Ciężar bowiem ciała nie jest jego własnością istotną, jest jedynie objawem wpływów zewnętrznych, jest następstwem przyciągania, jakiemu ciało ulega. Taż sama bryła żelazna, która na ziemi wywiera ciśnienie jednego kilograma, ważyłaby na słońcu trzydzieści kilogramów bez mała, na księżycu szóstą część kilograma zaledwie, w znacznéj zaś odległości od jakiegokolwiek ciała niebieskiego, nie posiadałaby żadnego ciężaru, nie wywierałaby żadnego zgoła ciśnienia. W całéj téj przypuszczalnéj wszakże wędrówce nic bryle nie przybywa, ani nic nie ubywa, ilość jéj materyi, masa jéj pozostaje zawsze jednaką. Ciężar jest więc wła-

snością ciała uboczną, od jego położenia zależną, masa zaś stałą i niezmienną. Przy ważeniu ciał porównywamy wprawdzie ich ciężary, ale to dlatego tylko, że w jedném i tém samém na ziemi miejscu ciężary ciał są do ich mas proporcyonalne, a tém samém stosunek ciężarów daje bezpośrednio i stosunek mas. Chemikowi, kupcowi, lekarzowi nie zależy zgoła na ciężarze, czyli na ciśnieniu, jakie ciało wywiera na podstawę, na któréj jest wsparte, idzie im jedynie o masę, od niéj bowiem zależy działalność chemiczna, wartość pieniężna, albo skuteczność lekarska. W saméj rzeczy zatém ważenie jest to porównywanie ciężarów w celu porównania mas; funt, kilogram, uważać możemy również dobrze za jednostki do oceny ciężaru, jak i masy. Oba te różne sposoby pojmowania prowadzą wszakże do różnic, które jeszcze uwagę naszą zajmą.

Co się saméj wagi tyczy, jest ona zapewne tak starą, jak i drążek, którego jest zastosowaniem bezpośredniem, ale jako przyrząd naukowy napotykamy ją dopiéro u Arabów. Jakkolwiek Arabowie stali ściśle na gruncie nauki greckiéj i poza jéj obszary nie posunęli się istotnie, starając się tylko ją poznać i zgłębić, a nie myśląc o wyprzedzeniu mistrzów, którzy ich potęgą swą umysłową olśniewali, w bystrości jednak obserwacyi i ścisłości pomiarów zajęli stanowisko wyższe, aniżeli ich poprzednicy. Używali oni wagi do oznaczania ciężarów właściwych ciał, a ulepszoną do celu tego wagę zbudował Alkhazini i dla jéj zalet nazwał ją „wagą mądrości.” Podobnie jak nasze wagi, składała się ona z drążka równoramiennego, ale zamiast dwu talerzyków posiadała ich aż pięć. Dwa z nich, jak w każdéj wadze, zawieszone były na końcach drążka, trzeci uczepiany być mógł pod jednym z poprzednich, aby ciała ważyć można było w wodzie, a wtedy talerzyk czwarty, ruchomy, zawieszał się na ramieniu drugim dla zrównoważenia. Piąty wreszcie talerzyk był także ruchomy, waga ta bowiem używaną też być mogła jako nasza waga rzymska, a w tym celu ramiona jéj podzielone były na równe części; przesuwając zatém talerzyk z daném ciałem, można było je ważyć, nie zmieniając ciężarków na talerzyku drugim.

W księdze, w któréj swoję wagę mądrości opisał, a która jest zarazem jedynym traktatem arabskim mechaniki, nie szczędzi jéj Alkhazini pochwał, by szumną jéj nazwę usprawiedliwić. Jest ona tak dokładna, że przy obciążeniu tysiąca mitkalów wskazuje jeszcze przewagę jednego mitkala, byleby mechanik, co ją wyrabia, biegłą miał rękę; daleko to, oczywiście, od czułości wag dzisiejszych, na swoje wszakże czasy mógł się nią autor słusznie chlubić. Tablica oznaczonych przez Alkhaziniego ciężarów właściwych pięćdziesięciu różnych substancyi

potwierdza rzeczywiście czułość wagi i o biegłości jego dobrze mówi. Dalsze udoskonalenie wagi wiąże się dopiéro z nowszym rozwojem techniki i mechaniki praktycznéj, a jak misternym i dokładnym przyrządem jest waga dzisiejsza, mieliśmy już sposobność poznać w przytoczoném wspomnieniu o „stuleciu metra.”

III.

Trzecią odrębną wielkością, która się nam do mierzenia narzuca, jest czas. W objawach dwojakiego obrotu ziemi, w następstwie dnia i nocy, oraz w kolejnym przebiegu pór roku nastręcza nam przyroda sama okresy te, jako naturalne jednostki czasu, a jak konieczność pomiarów przestrzeni zrodziła geometryę, tak téż potrzeba mierzenia czasu była podnietą do rozpatrywania ruchów ciał niebieskich i dała początek astronomii. Plemiona pierwotne chronologii nie znają; historya rozpoczyna się od chwili, gdy człowiek nauczył się bieg zdarzeń miarą czasu oznaczać.

Konieczność pogodzenia dwu odrębnych jednostek, doby i roku, i związania ich w sposób do rachuby czasu dogodny, wytworzyła kalendarz, do podziału wszakże doby na równe odstępy czasu niezbędne są przyrządy, które nauczono się budować wtedy dopiéro, gdy zrozumienie własności wahadła dało możność należytego ujednostajnienia ruchu. Dokładny pomiar czasu jest tak niezbędną sprawą życia nowoczesnego, że zrażony drobną nieregularnością w pozornym biegu słońca, umieścił człowiek na niebie obok niego pewne słońce idealne i ruch mu jednostajny nakazał, by wedle niego zegary swe regulował. Zegary więc nasze nie wskazują czasu słonecznego prawdziwego, jak dawne kompasy, ale czas średni, a sekunda tego czasu średniego jest jednostką również zasadniczą, jak metr i kilogram.

Nie dla przykładu tylko wymieniliśmy tu pomiary długości, masy i czasu, są to bowiem wielkości zasadnicze, do których sprowadzają się wszelkie inne pomiary. Pręt, stanowiący jednostkę długości, lub bryłę, którą za jednostkę mas obieramy, ująć możemy bezpośrednio i przechować; obrany odstęp czasu niemniéj bezpośrednio daje nam zegar lub obserwacya astronomiczna. Jednostki, które dla oceny wszelkich innych wielkości przyjmujemy, nie nastręczają się nam już w sposób tak bezpośredni, polegają tylko na określeniach i z kombinacyi tych trzech jednostek wypływają. Pomiary długości, masy i czasu są tedy najprostsze i najdostępniejsze, bez wyjaśnień zrozumiałe. Ale pospolity i powszedni swój charakter traci pojęcie mierzenia, gdy

idzie o ocenę rzeczy, przekraczających miarę zwykłą odpowiadającą doniosłości zmysłów naszych. Gdy poddajemy pomiarom rzeczy niesłychanie wielkie lub niesłychanie drobne, ujawnia nauka genialność swych pomysłów i dzielność swych środków, zdumiewa rezultatami, jakie z badań tych osiąga. Usprawiedliwimy to kilku przykładami.

IV.

Do dawnych czasów cofnąć się musimy, chcąc, jako pierwszy przykład tych zdumiewających pomiarów, przytoczyć zmierzenie ziemi. Gdy świtała dopiéro myśl o jéj kulistości, a człowiek drobną zaledwie znał jéj cząstkę, w trzeciw wieku przed Chrystusem, Eratostenes w Aleksandryi, wielkość jéj już oznaczył. Całe to olbrzymie zadanie sprowadził do zmierzenia jednego tylko stopnia południka, zmiana zaś położenia gwiazdy z różnych punktów południka obserwowanéj wskazała mu odstęp jednego stopnia. Wraz z zatratą wyobrażeń o kulistości ziemi zaginęła wprawdzie i pamięć o pracy Eratostenesa, gdy jednak we dwa tysiące blizko lat późniéj zajęto się znowu dochodzeniem wielkości zamieszkałéj przez nas bryły, wrócono do metody matematyka aleksandryjskiego, którą tylko udoskonalenie przyrządów astronomicznych i mierniczych ściśléj stosować dozwoliło.

Zadanie zawikłało się wszakże, gdy domyślono się podbiegunowego spłaszczenia ziemi, a zwłaszcza, gdy ujawniły się odstępstwa jéj od prawidłowéj elipsoidy obrotowéj czyli sferoidy; w ogólnych rysach postać ziemi dobrze jest nam już wprawdzie znana, ale dokładne jéj oznaczenie wymaga pomiarów szczegółowych i drobiazgowych we wszystkich jéj okolicach. Obecnie Europa dopiéro pokrywa się gęstą siecią trójkątów geodezyjnych, a roboty według wspólnego planu prowadzą się pod kierunkiem komisyi międzynarodowéj, pozostającéj w pewnym związku ze znaném nam już biurem międzynarodowém miar i wag. Europa wszakże jest drobną tylko cząstką ziemi, a ukończenie pomiarów całéj jéj powierzchni dalekim dopiéro przypaść może pokoleniom.

Po bardziéj uderzające przykłady olbrzymich pomiarów sięgnąć nam wypada poza granice drobnéj naszéj planety. Pomiary ziemi dają wstęp dopiéro do właściwych pomiarów astronomicznych. Już genialni astronomowie greccy pokusili się o oznaczenie odległości słońca i do rozwiązania tego, tak napozór niedostępnego zadania, obmyślili również metody słuszne, zawiodły ich tylko błahe narzędzia, jakiemi

rozporządzali. Wyobraźmy sobie dwu obserwatorów, umieszczonych na końcu jednéj średnicy ziemskiéj i zwracających wzrok swój ku tarczy słonecznéj; gdy w kierunku, w jakim wzrok ich biegnie, poprowadzimy linie proste, złoży się trójkąt, mający za podstawę średnicę ziemi, a wierzchołek w słońcu. Ponieważ długość podstawy téj już znamy, gdy zdołamy przeto oznaczyć jeszcze kąty tego trójkąta ogromnego, proste zasady geometryi pozwolą nam obliczyć długość boków pozostałych, szukaną zatém właśnie odległość słońca. W zestawieniu wszakże z oddaleniem od nas słońca ziemia jest drobiazgiem nieznacznym, a jakkolwiek obrana podstawa naszego trójkąta obejmuje 1700 mil geograficznych przeszło, jest on tak wydłużony, że boki jego, do słońca zmierzające, biegną równolegle prawie, obejmują w wierzchołku kąt ledwie 17 sekund, czyli dwudziestotysiączną część kąta prostego. O trudności oznaczenia kąta tak drobnego rozbijały się usiłowania astronomów dawnych, a i dziś jeszcze, pomimo całéj potęgi lunet i dokładności połączonych z niemi narzędzi mierniczych, zadanie jest tak trudne, że wymaga drogi pośredniéj. Korzystają więc astronomowie z rzadkiego zjawiska przejścia Wenery przed słońcem, gdy planeta ta jako punkt czarny przesuwa się przez tarczę słoneczną, i punkt ten za wierzchołek wspomnianego trójkąta obierają. W ten sposób oznaczają wprawdzie odległość Wenery tylko, ale związki wzajemnéj zależności, jakie między bryłami układu słonecznego istnieją, dozwalają już ztąd obliczyć odległość słońca i wszystkich innych planet.

I teraz jeszcze, po tak długiéj i wytrwałéj pracy licznych pokoleń, stanowczo powiedzieć nie możemy, jak do słońca daleko, ale niepewność tyczy się zaledwie jakich pięćdziesięciu tysięcy mil, co w stosunku do odległości dwudziestu milionów mil jest wielkością tego ledwie rzędu, jak pomyłka, jakąbyśmy popełnili, oceniając odległość Warszawy od Krakowa o kilometr błędnie. I nad usunięciem drobnéj téj niepewności pracują teraz gorliwie astronomowie, nie czekając na następne przejście Wenery, które powtórzy się dopiéro w początkach XXI stulecia.

Arcydziełem jednak miernictwa astronomicznego jest dopiéro oznaczanie odległości gwiazd stałych, z których najbliższe nawet mieszczą się od nas setki tysięcy i miliony razy daléj, aniżeli słońce. Metoda pomiarów tych nie różni się w zasadzie od powyższéj, podstawą ich wszakże nie jest nikła średnica ziemi, ale średnica całéj drogi ziemskiéj. Skoro ziemia położenie swe w ciągu roku zmienia, olbrzymie przebiegając przestworza, to bieg jéj winien odzwierciedlać się w ruchu gwiazd, podobnie jak przed oczyma podróżnika przesuwają się drzewa dalekie; gdy na gwiazdę którąkolwiek dziś spoglądamy, to

po upływie półrocza patrzéć na nią będziemy ze stanowiska o całą długość średnicy drogi ziemskiéj, o 40 milionów mil zatém oddalonego. Znowuż więc w wyobraźni naszéj staje trójkąt, wierzchołkiem gwiazdy téj sięgający, ale tym razem wsparty na podstawie 40 milionów mil obejmującéj, i potrzeba znów tylko kąty jego zmierzyć, by odległość gwiazdy otrzymać. Trudności wszakże są tu większe jeszcze, niż poprzednio, pomimo bowiem podstawy tak niesłychanéj, boki trójkąta biegną równolegle zupełnie, co znaczy że droga cała, po któréj ziemia dokoła słońca się toczy, punktem jest ledwie względem odległości, w jakiéj się gwiazdy stałe mieszczą. Napróżno téż stronnicy Kopernika, by widoczny dowód biegu ziemi otrzymać, starali się to pozorne przesuwanie się gwiazd czyli paralaksę ich roczną uchwycić; w bieżącém dopiéro stuleciu, gdy doskonałość narzędzi astronomicznych wzrosła tak dalece, że z dostateczném przybliżeniem oceniać pozwalają dziesiąte części sekundy miary kątowéj, zdołano, około r. 1840, wykazać pierwszą paralaksę roczną gwiazdy stałéj, wynoszącą kilka zaledwie dziesiątych części sekundy, a od tego czasu zmierzono dotąd ogółem paralaksy 45 gwiazd stałych. Dla téj więc tylko niewielkiéj ilości gwiazd nakreślić można i rozwiązać trójkąty odległości ich wskazujące;—trójkąty tak wydłużone, że wierzchołkowe ich kąty drobne tylko ułamki sekundy wynoszą, kąta prostego milionowe jakieś cząstki. Najbliższa nam nawet, wspaniała gwiazda półkuli południowéj nieba, α Centaura, jest tak jeszcze oddalona, że światło, które przecież 42000 mil na sekundę ubiega, potrzebuje lat czterech, aby drogę tę przebyło. Od jasnego Arktura wszakże przybywa światło do nas dopiéro po upływie lat 163, czyli, innemi słowy, patrząc na tę gwiazdę, dostrzegamy ją nie w dzisiejszym jéj stanie, ale widzimy ją, jaką była przed 163 laty. Najdalszą zaś z owych 45 gwiazd, których odległość dotąd zmierzono, jest γ Kasyopei, oddalona na 500 trylionów, t. j. milionów milionów mil geograficznych; na przebycie téj przestrzeni światło łożyć musi lat 326, a pomiar który nam ją tak dokładnie oceniać pozwala, jest zaiste podziwu godny.

Do powyższych kilkudziesięciu gwiazd, których paralaksę zmierzyć zdołano, dalsze badania dodadzą jeszcze zapewne jakąś ich liczbę, w porównaniu wszakże z całym zastępem gwiazd, po niebie rozrzuconych, ilość ich pozostanie zawsze bardzo nieznaczna. Wszystkie inne nie przedstawiają już żadnéj paralaksy, mieszczą się już zbyt daleko, by dała się do nich zastosować opowiedziana tu metoda pomiarów bezpośrednich. Ducha ludzkiego nie zrażają wszakże trudności, a gdy na jednéj drodze badań napotyka już tamy nieprzebyte, umié torować sobie drogi nowe, nieprzewidywane poprzednio. Zdobędzie więc z cza-

sem i inne jeszcze sposoby dochodzenia wymiarów świata, a i dziś już nastręczają mu dogodną sposobność gwiazdy podwójne, czyli układy słońc, wzajemném przyciąganiem w systemat łączny związanych i dokoła wspólnego środka ciężkości krążących. Drogi ich i szybkość ich biegu dozwala luneta wyśledzić, a ztąd, wespół z innemi wskazówkami, które nasuwać się mogą, wyprowadzić się dają dokładne o odległości ich wnioski. Tym sposobem oznaczono już dotąd odległość dwudziestu kilku gwiazd podwójnych; między niemi znajdują się i gwiazdy, których paralaksa bezpośrednio była zmierzona, a rezultaty obu metodami osiągnięte dostatecznie się zgodnemi okazały. Ocena odległości gwiazd z ich blasku lub z szybkości własnego ich ruchu ma charakter zbyt hipotetyczny, by o nią tu potrącać, ale przytoczone przykłady wskazują dostatecznie, jak daleko już poza obszary ziemskie i poza kresy układu słonecznego sięgnęło ściśle miernictwo astronomiczne. Nie mniéj jednak uderzające są téż tryumfy sztuki mierzenia w dziedzinie wręcz przeciwnéj, w pomiarach przestrzeni niewypowiedzianie drobnych, w świecie cząsteczek, dokąd już wzrok nasz nie przenika.

V.

Przykłady najbardziéj znane nastręcza nam optyka w długości fal świetlnych, która nie przechodzi dziesięciotysiącznych części milimetra. Wiemy dziś, że światło nie jest substancyą nieważką i nie składa się z cząstek, jak przyjmował niegdyś Newton, ale rozumiemy, wraz z Huygensem, że jest tylko objawem ruchu, ruchu drgającego, falistego, rozbiegającego się w powszechnym, wszechświatowym oceanie eterycznym na wzór fali, sunącéj po powierzchni wody. Fal świetlnych nie widzimy, jak nie widzimy i światła, dostrzegamy bowiem tylko przedmioty oświetlone, ale możność badania tych fal nastręczają nam zjawiska interferencyi światła, znane choćby z baniek mydlanych, zdobiących się w barwy, pierścieniami rozłożone, i w pewnym, oznaczonym porządku po sobie następujące.

Barwne te smugi baniek mydlanych są następstwem krzyżowania się promieni, które przebiegają przez cienką ich błonę i odbijają się od ścian ją ograniczających. Gdy zaś dwa promienie, czyli dwie fale zbiegają się swemi górami lub swemi dołami, jednakiemi zatém fazami swemi, wtedy wzmagają się nawzajem, natężenie światła w punkcie zetknięcia staje się silniejszém; gdy natomiast, przy krzyżowaniu się promieni, schodzą się ich fazy przeciwne, góra fali jednéj z dołem drugiéj, ruchy te nawzajem się osłabiają i znoszą zupełnie, w punkcie

przecięcia promieni niknie światło i ciemność zalega. Takie wszakże smugi jasne i ciemne naprzemian powstają tylko przy krzyżowaniu się promieni jednorodnych czyli jednobarwnych, czerwonych, dajmy na to, żółtych albo niebieskich; w takiém oświetleniu jednorodném różnobarwność w bańkach mydlanych nie występuje, mamy jedynie szereg pierścieni, ciemnych naprzemian i jasnych, jednobarwnych, przyczém uderza nas ta jeszcze okoliczność, że w świetle czerwoném smugi te szersze są, aniżeli w żółtém, węższe zaś jeszcze gdy do oświetlenia użyte są promienie niebieskie lub fioletowe. Barwy więc, jakiemi w warunkach zwykłych powlekają się bańki mydlane są wynikiem jedynie tego, że światlo zwykłe czyli białe, złożone jest z promieni różnobarwnych; zachodzi tu jakby rozkład światła białego. W punktach, gdzie wzmagają się drgania promieni czerwonych, niszczą się fioletowe, i nawzajem, gdzie się sumują fioletowe, znoszą się czerwone; z interferencyi więc promieni zwykłych, czyli promieni światła białego, wytwarzają się smugi różnokolorowe, pierścienie barwne baniek mydlanych.

Ponieważ smugi interferencyjne, jasne i ciemne, są następstwem tego, czy promienie zbiegają się zgodnemi czy téż sprzecznemi fazami fal swoich, przy różnych zaś barwach mają szerokość różną, wypływa więc ztąd bezpośrednio, że promienie, które w oku naszém wrażenie barw różnych sprawiają, różnią się między sobą długością fal, — fale, tworzące barwę czerwoną, są dwa razy prawie dłuższe, aniżeli fale, wydające światło fioletowe.

Bańki mydlane nie przedstawiają wprawdzie warunków odpowiednich do badań dokładnych i do ścisłych pomiarów, można wszakże podobneż smugi wywołać w sposób korzystniejszy. Przypuśćmy, że z dwu źródeł światła, z dwu punktów świecących, rozbiegają się promienie, które się z sobą spotykają i krzyżują, na przeciwległéj więc przegrodzie rysować będą szereg smug jasnych i ciemnych, stosownie do tego, czy w punktach tych drgania ich nawzajem się wzmagają, czy téż znoszą się i niszczą. Wzmagają się zaś, gdy zbiegają się fazami zgodnemi, znoszą się, gdy spotykają się ich fazy przeciwne, góra fali jednéj z dołem drugiéj, gdy więc promienie różnią się o połowę długości jednéj fali. W doświadczeniu tém zmierzyć możemy szerokość smug, odstęp między obu źródłami światła i odległość od nich przegrody, na któréj się smugi rysują, a z danych tych oznaczyć już można, o ile jeden z dwu spotykających się w danym punkcie promieni dłuższy jest od drugiego, to zaś właśnie, według rozważań powyższych, daje nam wreszcie żądaną długość fali światła badanego.

Tą więc drogą oznaczone zostały długości fal świetlnych, a dokładność osiągniętych rezultatów potwierdziły i inne metody doświadczalne. Potwierdzenie takie było w tym razie potrzebne, by usunąć wątpliwość, czy środki nasze wystarczają do ujęcia wymiarów tak drobnych, mamy tu bowiem do czynienia z ułamkami jedynie tysiącznych części milimetra. Dla żółtego światła sodowego, jakie otrzymujemy, gdy do płomienia alkoholowego szczyptę soli kuchennéj wprowadzamy, długość fali wynosi 0,0005895 czyli około $^1/_{1700}$ milimetra, co znaczy, że na rozległości cala warszawskiego, który obejmuje 24 milimetry, rozkłada się 40800 fal światła żółtego. Fale czerwone, czyli raczéj fale wzniecające w oku naszém wrażenie czerwieni, są dłuższe, czynią około $^1/_{1100}$ milimetra, fale zielone, niebieskie, są krótsze, a najmniejszą długość obejmują fale promieni fioletowych, $^1/_{2100}$ milimetra, dwa razy przeto, mniéj więcéj, krótsze są od skrajnych promieni czerwonych. Z krótszych jeszcze fal złożone promienie nie wywierają już na oko nasze wrażenia, dostrzega je wszakże płyta fotograficzna i obecność ich zdradza.

W warunkach tylko życia zwyczajnego wydaje się nam milimetr jednostką nikłą i nieznaczną, w nauce wszakże tak często nastręczają się drobne jego ułamki, że dla dogodności przyjęto jeszcze tysiączną część jego, jako dalszą jednostkę długości, i nazwano ją mikronem, ale i z mikrona tego tysiączną jeszcze częścią również się często spotykamy. A nawet w tych drobnych dopiéro wymiarach fal świetlnych znajduje fizyk naturalną jednostkę miar długości, jakiéj napróżno w metrze oczekiwał. Metr, w saméj rzeczy, nie może odpowiadać nałożonemu mu określeniu, by był dziesięciomilionową częścią ćwiartki południka ziemskiego, wiemy dziś bowiem, że różne południki nie są zupełnie między sobą równe, a sama ziemia ulega jeszcze zmianom, drobnym wprawdzie i niedostrzegalnym, które wszakże po upływie tysiącoleci na rezultat wyraźny złożyć się mogą. Tak samo zresztą i etalony metra, chociaż tak starannie wyrobione, doznać mogą z biegiem czasu pewnych przeobrażeń wskutek powolnéj pracy sił międzycząsteczkowych, lub dla jakiegokolwiek powodu, który przewidzieć trudno. Długość natomiast fal świetlnych zależy tylko od własności atomów drgających, oraz eteru powszechnego, wedle wszelkiego więc prawdopodobieństwa, jest to wielkość stateczna, na wszystkie czasy niewzruszona. Należało tylko do porównania tego obrać światło odpowiednie, zupełnie jednorodne czyli jednobarwne, któreby przy tworzeniu smug interferencyjnych rozszczepianiu nie ulegało. Zadaniem tém zajął się fizyk amerykański Michelson i ukończył je w roku 1894 w biurze międzynarodowém miar i wag w Paryżu. Po wielu próbach

najodpowiedniejszym do celu tego okazał się promień czerwony widma kadmu, jednego z pierwiastków metalicznych, pokrewnych cynkowi, a w rezultacie żmudnych tych pomiarów okazało się, że na długości jednego metra przypada 1,553,664 fal czerwonego światła widmowego w powietrzu, w temperaturze 15^0 C. i pod normalném ciśnieniem barometryczném; od średniego tego rezultatu odstępstwa oddzielnych szeregów doświadczeń wynosiły zaledwie długość połowy fali, co innemi słowy znaczy, że błąd możliwy w takim pomiarze metra nie dochodzi $^1/_{3000000}$ jego części. Już teraz więc za naturalną jednostkę długości możnaby przyjąć tę niesłychanie drobną długość fali czerwonego światła kadmowego, dodając, że przyjęta jednostka praktyczna, metrem zwana, obejmuje 1,553,664 takich jednostek naturalnych i niezmiennych. Choćby więc teraz zaginęły lub uszkodzeniu uległy urzędowe pierwowzory metra, lub choćby ziemia bardziéj jeszcze pomarszczyła starzejącą swą skorupę, a tém samém długość swych południków zmieniła, długość metra odnajdzie zawsze fizyk w przyszłości z promienia badmu rozżarzonego.

Fale świetlne nie są bynajmniéj kresem, do którego sztuka miernicza dotarła, posunęła się już bowiem i do drobiazgów dalszego jeszcze, niższego rzędu, do świata cząsteczek i atomów. Fizyk dzisiejszy niechętnie wprawdzie o atomach rozprawia, istoty materyi nie przeniknął jeszcze, a wzdraga się przed jałową spekulacyą, czy jest materyą do nieskończoności podzielną, ale żądza pomiarów i w téj niedostępnéj nie opuszcza go dziedzinie. Pojmuje on budowę materyi, jak gmach z cegieł wystawiony; można gmach na cegły rozłożyć, jako na ostateczne i jednorodne między sobą składowe jego części, gdy wszakże cegłę daléj w proch zetrzemy, zniszczymy same elementy budowli. Podobnież i atomem, albo raczéj cząsteczką czyli molekułą, jest najmniejsza cząstka substancyi, która istnieje i porusza się jako całość, choćby daléj obejmowała jeszcze drobniejsze części składowe. O tak zaś pojmowanych cząsteczkach czy też atomach nie można już teraz mówić, że są nieskończenie, lub choćby tylko niewypowiedzianie drobne, wielkość ich bowiem oceniać i określać umiemy.

Gdy na powierzchni wody złożymy ostrożnie igłę stalową, pozostaje ona na téj powierzchni i nie tonie, wbrew ciężkości, która ją ku dołowi pociąga. Wierzchnia bowiem warstwa cieczy jest w stanie pewnego naprężenia, tworzy jakby błonę nader cienką, uciskającą głębsze warstwy cieczy, jest siedliskiem pewnych sił międzycząsteczkowych, których obręb działalności do najbardziéj tylko sąsiednich sięga cząsteczek. W ostatnich czasach przypomniano sobie i stwierdzono spostrzeżenia dawnych żeglarzy, że warstwa oleju, po wzbu-

rzoném morzu rozpostarta, rozszalałe jego bałwany uspokaja. Osobliwe to zjawisko, do wyjaśnienia nieco trudne, sprowadza się w każdym razie do tego, że oliwa, zawsze po nad wodę wypływając, znosi swobodną jéj powierzchnię i tamuje ujawnianie się jéj napięcia powierzchniowego, którego energia jest głównem źródłem całéj grozy. Doświadczenia zaś wykazały, że litr oliwy wystarcza do uspokojenia morza na rozległości 19,000 metrów kwadratowych, — grubość błony oliwy wynosi wtedy nie więcéj nad $^1/_{500000}$, czyli nad dwie milionowe części milimetra. W błonie téj wszakże bardzo niewiele, albo i jedna zaledwie tylko warstwa cząsteczek mieścić się może, pomiar ten zatém daje nam pojęcie o wielkości cząsteczek, a przynajmniéj górną jéj granicę wykazuje.

Inne metody, bardziéj teoretyczne, ściśléj jeszcze wielkość cząsteczek ująć dozwalają. Gdy promień światła przedziera się przez ciało przezroczyste, ulega w niém przeobrażeniom, załamuje się, rozszczepia, a w zmianach tych wybija się wpływ układu cząsteczek na fale eteru. Tak samo przecież i fala wodna roztrąca się, przeinacza, gdy w gęsty archipelag drobnych wysepek się wrzyna. Załamywanie i rozszczepianie światła może więc miéć miejsce tylko pod warunkiem, że odległości wzajemne między cząsteczkami ciał, przez które światło przechodzi, nie są zbyt drobne, względnie do długości fal świetlnych; skoro zaś ostatnia ta długość jest znana, mamy téż dane do oceny wielkości międzycząsteczkowych. — Ogólniejszą wszakże i pewniejszą drogę wskazuje teorya cynetyczna gazów, która, przyjmując, że ciepło jest objawem ruchu najdrobniejszych cząstek ciała, zdołała obliczyć nietylko prędkość cząsteczek, ale oznaczyła nadto odstępy międzycząsteczkowe i wielkość samychże cząsteczek. — Przytoczone zresztą metody nie wyczerpują jeszcze wszystkich dróg, któremi fizyka dzisiejsza zapuszczać potrafi sondę w to morze atomów, a z obliczeń, które najstaranniéj przeprowadził William Thomson, obecnie tytułem lorda Kelvin obdarzony, wypływa, że średnica składowych cząsteczek powietrza, którém oddychamy, nie jest niewątpliwie znacznie mniejsza od $^1/_{1000000}$ milimetra, a może nawet i do granicy téj nie schodzi. Ze znacznem również prawdopodobieństwem twierdzić można, że w cieczach lub ciałach stałych odległość średnia między środkami cząsteczek sąsiednich jest mniejsza od $^1/_{500000}$, większa zaś od $^1/_{100000000}$ milimetra.

Podane tu granice zawierają wprawdzie znaczny jeszcze między sobą odstęp, dają jednak pojęcie o ziarnistéj budowie materyi. Wyobraźmy sobie kulę wodną wielkości melona, rozrastającą się aż do wymiarów ziemi, któréj cząsteczki w takimże powiększałyby się sto-

sunku, a wtedy cząsteczki te miałyby prawdopodobnie wielkość przypadającą między wielkością ziarn szrutu a wielkością melonów.

Rezultaty pomiarów tak niezwykłych może się mało wiarogodnemi wydawać będą; aby je z ufnością przyjmować, trzeba pewnego oswojenia z metodami badań naukowych. Spotyka się ludzi, co ramionami wzruszają, gdy o odległości słońca mowa, a inni znowu, choć pomiary astronomiczne uznają, nie pojmują możebności mierzenia drobiazgów tak nikłych, jak fale świetlne lub cząsteczki materyi. Oba te wszakże zadania schodzą się ze sobą, jedno jest tylko odwróceniem drugiego. Gdy odległości słońca i gwiazd dochodzimy, idzie tu w istocie rzeczy o oznaczenie ich paralaksy, która przecież jest kątem nader drobnym. Drobne znów wymiary fal świetlnych odwracają się w liczby olbrzymie, gdy pytamy o szybkość drgań cząstek eteru, fale te wzbudzających. Wypływa to z prostego już rachunku. Światło przebiega w ciągu sekundy 300,000 kilometrów, co daje 300,000 milionów milimetrów. Ponieważ zaś, jak widzieliśmy, długość fali żółtego światła sodowego wynosi $^1/_{1700}$ milimetra, na przestrzeni przeto milimetra przypada fal takich 1700, a na drodze, jaką światło w ciągu sekundy przebiega, mieści się ich 300,000,000,000 $\times$ 1,700, co daje 510 trylionów (t. j. milionów milionów). Ruch wszakże falowy przesuwa się o jedną falę w tym właśnie czasie, w którym cząstka oddzielna jedno swe drgnięcie kończy; liczba przeto powyższa znaczy innemi słowy, że w promieniu światła żółtego każda cząstka eteru wykonywa 510 trylionów drgań na sekundę, wychyla się w ciągu sekundy 510 trylionów razy w jedną i drugą stronę swego położenia średniego. Światło fioletowe, którego fale są krótsze, odpowiada drganiom częstszym jeszcze, wynoszącym 800 trylionów na sekundę. Drobniejsze wymiary atomów i cząsteczek do bardziéj jeszcze ogromem uderzających liczb wiodą, w jednym bowiem centymetrze sześciennym wody, w niewielu jéj zatém kroplach, mieści się 10^{27} (t. j. 10 z 27 zerami) cząsteczek oddzielnych.

Wszystko to znaczy po prostu, że liczba mała wyraża się ułamkiem o mianowniku wielkim. Zero symbolizuje się znakiem $\frac{1}{\infty}$. Nieskończona małość jest odwróceniem tylko wielkości nieskończonéj. Pomiary rzeczy drobnych nastręczają trudności tegoż samego rzędu, co i pomiary przestrzeni olbrzymich.

VI.

Jak zmierzenie ziemi dało nam pierwszy przykład wielkich pomiarów, tak też jéj zważenie świadczy o umiejętności dochodzenia

ciężarów potężnych. Przyciąganie, jakie ziemia na ciała wywiera, od jéj masy zależy, przyciąganie zaś to mierzymy ruchami wahadła lub szybkością spadku ciał; porównywając więc przyciąganie ziemi z przyciąganiem, jakie wywiera bryła znanéj masy, przy uwzględnieniu innych jeszcze okoliczności, mamy dane do oznaczenia masy ziemi. Wyraża się ona w kilogramach potworną liczbą, złożoną z 25 cyfr, którą w przybliżeniu przedstawić można przez piątkę, ciągnącą za sobą szereg 24 zer; za wiarogodność jéj ręczy wzajemne poparcie różnych metod doświadczalnych, które do zgodnego prowadzą rezultatu. Ogromna ta liczba jest znowu wstępem do potężniejszych jeszcze liczb astronomicznych, mechanika bowiem niebieska uczy, jak z biegu planet dokoła słońca przyciąganie jego, a tém samém, przez porównanie z masą ziemi, masę jego oznaczyć można. Wiemy więc stąd, że od planety naszéj słońce 300,000 razy więcéj waży, masa jego wynosi tedy 15×10^{30} (t. j. 15 z 30 zerami) kilogramów. I na tém wszakże nie koniec jeszcze, obieg bowiem wzajemny gwiazd podwójnych, skoro odległość ich jest znana, również do wniosków o ich masie prowadzi. Syryusz, świetna gwiazda nocy zimowych, waży 14 razy blizko, a ciemny jego towarzysz, którego przy pomocy najpotężniejszych przyrządów ledwie dostrzedz zdołano, 7 razy więcéj aniżeli nasza bryła słoneczna. Są to oceny rzetelne zupełnie, — kupiec, co funt cukru waży, popełnia błąd stosunkowo większy zapewne, aniżeli astronom przy ocenie masy tych światów dalekich.

W tym samym czasie, sto lat przeszło temu, gdy po raz pierwszy ziemię zważono, nauczył się téż chemik atomy swych pierwiastków ważyć. Potrzeba mu było do tego jedynie użyć wagi do pomocy przy badaniach nad przeobrażaniem ciał, oznaczyć stosunki, w jakich pierwiastki łączą się między sobą, gdy się z nich związki złożone wytwarzają. Wiemy więc, że atom tlenu jest 16, a atom żelaza 56 razy cięższy od atomu wodoru, chociaż zaś są to tylko liczby stosunkowe, wystarczają do wysnuwania daleko sięgających wniosków o budowie materyi, przytoczone zaś wyżéj pomiary wielkości atomów, otwierają nawet drogę do oznaczenia i bezwzględnych ich ciężarów.

VII.

Niemniéj i w pomiarach czasu objęła nauka okresy olbrzymie, przechodzące o wiele ten drobny ciąg czasu, przez jaki nam dano istnieć na ziemi, przez jaki trwać ma cały ród ludzki, od początku bytu aż do ostatniego tchnienia swego. Z grubości pokładów osadowych i z rozległości dolin przez erozyę wymulonych, odczytuje geolog

czas, przez jaki formowała się skorupa ziemska, niewątpliwe zaś zwalnianie obrotu osiowego ziemi, sięgnąć pozwala do téj epoki pierwotnéj, gdy planeta nasza wyłoniła się z macierzystéj mgławicy i krzepnąć zaczynała, a objawy promieniowania słonecznego ukazują nawet chwilę, gdy słońce ciepłem i światłem swojém darzyć nas zaprzestanie. Jeżeli zaś ocenom okresów tak niesłychanych brak jeszcze ścisłości dostatecznéj, to natomiast mierzenie krótkich przeciągów czasu, drobnych ułamków sekundy, osiągnęło już dokładność uderzającą.

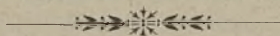
Chronoskopy, których urządzenie najczęściéj na zastosowaniu prądów elektrycznych polega, wybijają tysiączne i dziesięciotysiączne części sekundy; przy ich pomocy wykrywa artylerzysta szybkość biegu pocisku armatniego w różnych punktach jego drogi, a fizyolog ocenia czas, jaki upływa, zanim wrażenie na zmysł wywarte za pośrednictwem nerwu do mózgu dochodzi. Te wszakże tryumfy sztuki mierzenia, podziwu naszego wzniecać nie będą, drganie bowiem, które sprawia w oku naszém wrażenie czerwieni, trwa ledwie $^{1}/_{400\,000\,000\,000\,000}$ część sekundy, a poczucia barwy fioletowéj doznajemy od drgania dwa razy jeszcze szybszego. Chwilki tak niewypowiedzianie krótkie, ułamki tak drobne, są to znowu odwrócenia tylko liczb olbrzymich, wyżéj przytoczonych.

(*d. n.*) *Stanisław Kramsztyk.*



Wyniki ubezpieczenia robotników

W NIEMCZECH.



Statystyka, którą publikuje corocznie centralny urząd ubezpieczenia robotników w Niemczech, kryje w sobie niesłychanie cenny materyał społeczny. Nieszczęśliwe zdarzenia w przemyśle, kończące się śmiercią lub kalectwem robotnika, tracą cechę wypadku. Wracają one stale, regularnie, peryodycznie rok w rok w tych samych cyfrach. Składane na karb ślepego trafu, czy niedającego się przewidzieć zbiegu okoliczności, na lekkomyślność lub fatalną przygodę, nabierają one w świetle statystyki charakteru koniecznego zjawiska przyrody. Liczba ich i jakość tak samo daje się wywróżyć, jak się przewiduje zaćmienie słońca.

Wobec téj peryodyczności, jaką można obserwować w liczbie i jakości ofiar przemysłu, pojmuje się dopiéro całą społeczną doniosłość przymusowego ubezpieczania robotników.

W r. 1892 przedstawiliśmy w „Ateneum" [1]) wyniki téj smutnéj statystyki za lata 1889 i 1890. Teraz zamierzamy na podstawie sprawozdań, składanych przez urząd kanclerski sejmowi rzeszy niemieckiéj,

---

[1]) Patrz „Ateneum" 1892, tom III, zeszyt z września str. 519.

zdać sprawę z rezultatów dwóch następnych lat, oraz akcyę społeczną Niemiec, zdążającą ku złagodzeniu skutków złego.

Materyału dostarczył ogromny aparat związków zawodowych, wedle których się grupują ubezpieczeni robotnicy.

Liczba związków się nie zmieniła. Jest ich 112. Dzielą się one na 913 (914) [1]) sekcyi. Administracya jest prawie wyłącznie bezpłatna.

Przewodniczący, członkowie zarządów, mężowie zaufania, sędziowie polubowni, pełnią swe funkcye jako honorowe. Na blisko 30,000 osób zajętych w administracyi, tylko 160 zajmuje stałe i płatne posady.

Do związków przemysłowych należało zakładów 405,241 (1892: 415,335) i 5,093,412 ubezpieczonych robotników (1892: 5,078,132).

Na związki rolnicze złożyło się 4,859,618 gospodarstw, względnie przedsiębiorstw, rolniczych (1892: 4,776,520), które liczyły w obudwu latach stałą ilość 12,289,415 członków.

Na 1,000 osób ubezpieczonych przypada 11.79‰ wypadków nieszczęśliwych bez różnicy stopnia (1892: 12.39‰). Cyfra ta rozkłada się na przemysł i rolnictwo w następującej proporcyi:

	1891	1892
Przemysł	31.94	32.49
Rolnictwo	3.44	4.08

I znowu tak, jak w poprzednich latach, wykazuje westfalsko-reński związek robotników z hut żelaza i walcowni najwyższą i wprost zatrważającą cyfrę wypadków.

Na 1,000 robotników asekurowanych uległo wypadkowi w 1889: 115.4; w 1890: 107.53; w 1891: 119.42; w 1892: 133.5. Reńsko-westfalskie huty i walcownie dziesiątkują tak rok w rok swoich robotników. Natomiast związek robotników tabacznycb wykazuje 2.62 wypadków na tysiąc robotników (w 1891: 3.34‰).

Liczba więc wypadków w stosunku do liczby robotników przemysłowych w r. 1892 wzrosła.

To samo zjawisko można obserwować i w statystyce robotników rolnych, acz nie w tak wybitny sposób.

Ze względów praktycznych ma niesłychaną doniosłość zbadanie poszczególnych przyczyn, które spowodowały te wypadki. Cyfry te wskazują, gdzie tkwi źródło złego. Zarazem przedstawia się w nich stałe ryzyko robotnika, zajętego przy pewnej robocie. Czynnik ten winien zaś znaleźć swój wyraz w wysokości premii asekuracyjnej, która

---

[1]) Cyfra pierwsza odnosi się do r. 1891, cyfra druga do r. 1892. Oznaczenia tego będziemy się trzymali stale w ciągu tego artykułu.

przedewszystkiém zależy od stopnia niebezpieczeństwa, na jakie robotnik jest narażony.

Podajemy poniżej w odsetkach cyfry odnoszące się do związku westfalsko-nadreńskich hut i walcowni żelaza (I), związku robotników w przemyśle chemicznym (II), związku robotników piwowarskich (III) i związku północno-niemieckich robotników w przemyśle drzewnym (IV).

Rok 1891.

	I	II	III	IV
Na 100 wypadków powstaje przez motory, transmisye, machiny robocze.	18,8	20,4	10,3	56,1
Elewatory, windy, dźwignie i krany	5,2	2,0	3,9	0,6
Kotły parowe, parowe aparaty do gotowania, przewody parowe, eksplozye i t. p.	1,6	2,2	0,1	—
Materye wybuchowe	—	4,4	—	—
Substancye zapalne, parzące, żrące, gazy, wyziewy	10,7	16,6	2,2	0,4
Załamanie się, spadanie i wywracanie się przedmiotów.	17,8	6,5	9,5	8,6
Upadek z drabin, schodów, stopni i luk	11,2	18,8	2,20	8,0
Ładowanie i noszenie	11.4	12,6	8,7	11,3
Wozy w ruchu	3,8	4,8	21,0	5,8
Koleje w ruchu	5,6	1,5	—	0,8
Młoty, świdry, siekiery i narzędzia proste	5,6	2,3	2,3	4,6
Inne wypadki	8,8	6,8	19,6	3,8

Rok 1892.

	I	II	III	IV
Na 100 wypadków powstaje przez motory, transmisye, machiny robocze	18,6	21,4	8,6	54,1
Elewatory, windy, dźwignie i krany	2,9	1,0	4,7	1,3
Kotły parowe, parowe aparaty do gotowania, przewody parowe, eksplozye i t. p.	0,7	—	0,6	—
Materye wybuchowe	0,2	4,6	—	—
Substancye zapalne, parzące, żrące, gazy, wyziewy	10,7	16,6	1,9	0,6
Załamanie się, spadanie i wywracanie się przedmiotów.	17,7	9,8	11,9	7,8
Upadek z drabin, schodów, stopni i luk	12,2	18,2	25,2	9,8
Ładowanié i noszenie	11,3	12,6	8.1	10,4
Wozy w ruchu	2,8	6,3	18,7	3,6
Koleje w ruchu	3,7	1,9	0,1	1,1
Młoty, świdry, siekiery i narzędzia proste	7,8	2,6	0,6	5,9
Inne wypadki	11,4	5,0	19,6	5,4

Obliczając zaś sumę wszystkich nieszczęśliwych wypadków na 1,000 robotników dla tych czterech grup zawodowych, otrzymujemy następujące rezultaty:

	I	II	III	IV
rok 1891	119,42	44,39	71,97	35,15
rok 1892	133,5	46,99	73,70	34,43

Udziały procentów przyczyn, wywołujących nieszczęśliwe wypadki, niewielkiej więc uległy zmianie i od r. 1889 wahają się w ciasnych granicach.

Na 100 wypadków w zawodach nieprzemysłowych powstaje:

Przez motory i transmisye 13.6% (1892: 12.1%);—elewatory i windy 0.6% (1892: 0.1%);—materye wybuchowe 0.5% (1892: 0.5%);—substancye parzące lub żrące 0.9% (1892: 0.3%);—załamanie się i spadanie przedmiotów 11.9% (1892: 6.4%);—upadek z drabin i schodów 20.9% (1892: 28.3%);—ładowanie wozów 6.9% (1892: 6.5%);—wozy w ruchu 20.1% (1892: 20.2%);—zwierzęta 11.9% (1892: 11.7%);—narzędzia proste 6.6% (1892: 7.3%);—rozmaite inne powody 5.6% (1892: 7.8%).

Cyfry reprezentujące ilość nieszczęśliwych wypadków nabierają dopiéro życia, skoro się je rozpatrzy z punktu widzenia s k u t k ó w.

Dla lepszego obrazu powtórzymy tu nadto cyfry z lat 1889 i 1890.

Wedle „Statistisches Jahrbuch für das deutsche Reich" z r. 1895:

Roczna liczba.		1889	1890	1891	1892	1893
Zabitych	Przemysł.	5260	3597	3634	3282	3589
	Rolnictwo.		1877	2153	2026	2142
	Razem.		5474	5787	5308	5731
Stale niezdolnych do żadnej pracy.	Przemysł.	1908	1431	1597	1407	1377
	Rolnictwo		438	644	785	770
	Razem.		1869	2241	2292	2147
Niezdolnych do pracy wskutek wypadku na mniej niż 3 miesiące.		143425	157963	173128	180611	201401
Ogółem rannych, którzy otrzymali wynagrodzenie.		31449	42038	51209	55654	62729
Sierot, wdów po zabitych, oraz krewnych wstępnych, których zabici utrzymywali.		10594	11337	12837	11835	12763

Na tysiąc robotników było ogółem w całych Niemczech rannych: w r. 1891: 12.4‰, w r. 1892: 13.1‰, w r. 1893: 14.6‰. Na tysiąc ubezpieczonych otrzymało zaś wynagrodzenie: w r. 1890: 2.99‰, w r. 1891: 2.47‰, w r. 1892: 2.99‰, w r. 1893: 3.75‰.

Tytułem wynagrodzenia uszkodzonych wypłacono:

w r. 1891: 23,718,700 marek
„ 1892: 29,006,500 „
„ 1893: 34,173,500 „

z czego mniej więcej stale wypada 80% na robotników przemysłowych, a 20%, czyli jedna piąta, na robotników rolnych.

Wypłacone rocznie kwoty rozpadają się na następujące pozycye, przyczem cyfra w klamrze ( ) przedstawia udział robotników rolnych.

	r. 1891.	r. 1892.
Koszta leczenia rannych w markach.	913,000	1,067,000
	(154,812)	(207,100)
Renta wypłacona rannym.	16,034,000	19,638,000
	(2,506,000)	(3,794,000)
Koszta pogrzebu.	277,000	260,500
	(66,700)	(67,300
Pensye dla wdów po zabitych robotnikach.	1,795,000	2,206,000
	(221,800)	(314,000)
Jednorazowe wynagrodzenie dla wdów wychodzących powtórnie zamąż.	236,400	302,500
	(18,800)	(25.300)
Pensye dla dzieci pozostałych po zabitych robotnikach. .	2,728,000	3,294,000
	(256,900)	(354,000)
Pensye dla wstępnych krewnych po zabitych.	142,300	166, 800
	(7,000)	(9,500)
Pensye dla żon robotników, których leczono w szpitalach.	132,000	168,800
	(9,400)	(10,000)
Pensye dla dzieci takich robotników.	199,000	252,700
	(11,500)	(13,000)
Pensye dla wstępnych takich robotników.	6,200	6,600
	(370)	(250)
Koszta leczenia w szpitalach.	1,142,000	1,530,000
	(180,400)	(239,000)
Jednorazowe wynagrodzenie dla robotników obcokrajowych.	116,000	115,000
	(3,800)	(1,590)

Organizacya ubezpieczeń robotników pociąga za sobą jeszcze dosyć znaczne koszta na nadzór zakładów fabrycznych, na rozpowszechnianie przyrządów ochronnych, na pieczę nad robotnikami, sądy, wydatki bieżące i t. p. Wydatki te wynoszą prawie stale około $5^1/_2$ miliona marek rocznie.

Kwestya ubezpieczenia robotników od wypadku ma prócz strony społecznéj i humanitarnéj, także swą stronę finansową i kupiecką. Chodzi tu mianowicie o koszta administracyi, z czego da się powziąć dalsza wiadomość o stosunku sum, łożonych na wypłatę premii asekuracyjnych do wydatków ubocznych.

Z bieżących kosztów zarządu przypada na każdego ubezpieczonego w r. 1891 fenigów 75, w r. 1892 fenigów 83. Na każde 1,000 marek wypłaconych zarobków w r. 1891: 1.16 marek, w r. 1892: 1.28 marek. Na każde przedsiębiorstwo w r. 1891: 9.47 m., w r. 1892: 10.18 m. Na każdy zgłoszony wypadek w r. 1891: 24.8 m., w r. 1892: 25.63 m. Jakkolwiek się więc liczyć będzie koszta administracyi, zawsze okaże się bardzo znaczne ich zwiększenie, co stanowczo niedobrze świadczy o organizacyi zakładów. Cyfry te są oczywiście tylko cyframi przeciętnemi. Wartości rzeczywiste wahają się w bardzo obszernych granicach, zależnych od częstości wypadków, terytoryalnego rozsiedlenia się przemysłu, liczby ubezpieczonych i całego szeregu innych czynników. Cyfry szczegółowe nie miałyby więc tutaj żadnego znaczenia.

Statystyka nieszczęśliwych wypadków nie ogranicza się jedynie na właściwych robotnikach. Obejmuje ona także personel zarządu marynarki, armii, poczt, telegrafów i kolei państwowych, oraz wielu innych instytucyi rządowych, nie noszących na sobie charakteru zarobkowo-przemysłowego. Do związku tego należało w r. 1892 okrągłe 700,000 ludzi.

Z téj liczby 507 zostało zabitych, 336 tak pokaleczonych, iż na zawsze są do pracy niezdolni, zranień ogółem było 18,000.

Wynagrodzenia dla tych osób wynosiły $3^1/_2$ miliona marek.

Fundusz rezerwowy związków rośnie bardzo szybko: w r. 1889 wynosił 42 miliony marek, w r. 1893 doszedł do poważnej kwoty 101 milionów.

Statystyka, opublikowana z taką szczerością przez kanclerski urząd państwa niemieckiego, sprawia wprost przygnębiające wrażenie.

Chwalcy obecnéj organizacyi wskazują z dumą, że społeczeństwo niemieckie, które dla ofiar przemysłu wydało w r. 1891 sumę $23^1/_2$ miliona, w dwa lata później (1893) poświęciło na ten cel już 34 miliony. Jestto wszystko prawdą. Prawdą jest niemniéj, że temi pieniędzmi wiele łez otarto, że uchroniono wielu weteranów przemysłu, którym wśród znojnéj pracy tryby maszyn pogruchotały członki, od śmierci w kryminale lub w rynsztoku.

Ale z drugiéj strony jest ta kwota kroplą tylko w obec tego oceanu bólu i nędzy, jaki widać w cyfrze 210,000 ludzi ciężko rannych, 6,200 zabitych, po których płaczą dwa dziesiątki tysięcy wdów, sierot

i pozbawionych syna-wyżywiciela rodziców. Fatalna groza położenia robotniczego w tém leży, iż cyfry wypadków się nie zmniejszają. Drobne zmiany wynikają z wpływów ubocznych. Z jednéj strony sprężysty nadzór państwowy uniemożliwia zatajenie wypadków przez właścicieli zakładów przemysłowych, z drugiéj zaś robotnicy zbytnio ufają w ochronne przyrządy i techniczne ulepszenia maszyn i w pracy, którą konkurencya pędzi w gorączkowém tempie, mniéj zwracają uwagi na ciągle nad ich głową wiszące niebezpieczeństwo kalectwa i śmierci.

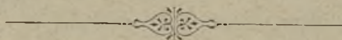
Te czynniki uboczne wzajemnie się równoważą i na rezultat ogólny nie wpływają.

Liczba wypadków jest w każdym zawodzie co do skutków, rodzaju i przyczyn prawie stała, a każdy dzień pracy wydaje wyrok śmierci na 20 robotników, przeszło zaś 5,000 skazuje na karę najcięższego, najokropniejszego kalectwa. To, co od lat stu przestało być karą za najsroższe zbrodnie, jest teraz koniecznym towarzyszem pracy na chléb codzienny.

Są zawody i pracownie, jak owe osławione warsztaty metalurgiczne w Westfalii i w prowincyi nadreńskiéj, w których każdego roku co dziewiąty robotnik pada ofiarą wypadku. Jestto położenie poprostu straszne. Wszystkie nadzieje, że inspekcya fabryczna, przyrządy ochronne, lepsza konstrukcya maszyn i budynków i t. p., położą tamę temu nieszczęściu, zawiodły w zupełności. Na razie ograniczyć się muszą Niemcy na kosztownéj filantropii, która płynie albo z obawy przed napierającą falą czwartego stanu, jak twierdzą jedni, albo téż z etycznego poczucia obowiązku społecznego, jak twierdzą drudzy.

W obecnym systemie gospodarczym jest w każdym razie ubezpieczenie robotników od wypadków nieocenioném dobrodziejstwem.

Dr. Artur Benis.



Wincenty Kosiakiewicz.

Wśród grona pisarzy, którzy dali się poznać w ciągu ostatnich lat dziesiątka, znalazłyby się talenta większe, niż Kosiakiewicza, ale sympatyczniejszego—nie potrafiłbym wskazać. Ten rozwija większą siłę wyobraźni, ów uderza głębokością myśli (niezawsze własną), inny olśniewa efektownością stylu, lecz Kosiakiewicz nietylko jest oryginalniejszy—jest on oryginalny, ze względu na niezwykłą prostotę swojéj muzy.

W utworach jego darmoby szukać owéj muzyki słów, hipnotycznie, że tak powiem, poddającéj czytelnikowi nastroje pisarza; nie przykuwają tu uwagi coraz nowe i niespodziewane kombinacye uczuć, myśli i obrazów, jakich ani rzeczywistość, ani własna fantazya nie mogłaby przedstawić człowiekowi pospolitemu. W najlepszych rzeczach tego jedynego w swoim rodzaju pisarza wszystko takie jest szare, takie powszednie, że narazie trudno sobie nawet zdać sprawę z otrzymanych wrażeń, które podmiotowo noszą wszelkie cechy artystyczności pomimo pozornego braku pierwiastków artystycznych w przyczynie, która je wywołała.

Czytamy, i zdaje się nam, że każdy zwykły śmiertelnik w taki właśnie sposób opowiedziałby nam historyą jakiéjś zblizka go obchodzącéj osoby lub zdarzenia, że szczere współczucie dla téj osoby, żywe zajęcie się tém zdarzeniem kazałoby każdemu, najzupełniéj niezależnie

od wyobraźni twórczéj, zwrócić uwagę na mnóstwo szczegółów charakterystycznych z pominięciem wszystkich nie mających związku z treścią rzeczy. A jeżeli opowiadający tak się przejmuje własną opowieścią, słuchacz musi się przecież zarazić jego nastrojem, musi się uczuć zainteresowanym i do pewnego stopnia wzruszonym, jak gdyby pod wpływem rzeczywistości.

I każdemu z nas zdarzało się niewątpliwie nieraz słyszéć takie opowiadania, ale czytać je—można tylko u Kosiakiewicza. On sam jeden umié nawet w druku przemawiać tak, jak gdyby okresy jego nie przefiltrowywały się wcale przez rozmaite pokłady duchowe własnych namiętności i idei, nie mówiąc już o słabostkach ludzkich wogóle i pisarskich w szczególności. Słowo jego to nie wino o barwie, woni, smaku i mocy osobliwéj, to czysta woda źródlana.

Nie ulega wątpliwości, że prostota Kosiakiewicza niezmiernie daleka jest od szczytu sztuki, od owéj prostoty geniuszu. W jego szkicach czytelnik nie zobaczy nigdy tego, czego by i sam nie dojrzał w rzeczywistości, naturalnie o ile by był zdolen nią się zainteresować. Pod jego wpływem stajemy się widzami, często wzruszonymi, ale zawsze tylko widzami. Czyni on nas świadkami rzeczywistości, lecz jedynie zewnętrznéj, nie zaś wewnętrznéj, a i to dzięki nie tyle temu, że ją wyraźnie pokazuje, ile temu, że niczém nam nie przeszkadza wpatrzyć się, skupić całą uwagę na osobach działających i ich losach. Umié on żadną sentencyą, żadnym dowcipem, nawet żadną przenośnią, żadnym, jedném słowem, frazesem zbytecznym nie oderwać myśli naszéj od przedmiotu opowiadania, i wreszcie stopniowo własna nasza wyobraźnia idzie na pomoc autorowi, odtwarza, w miarę sił swoich, to czego on nie dopowiedział, rzuca barwy na jego prosty rysunek.

Nie zlewa się jednak duszą czytelnik z dziećmi jego ducha, nie przestaje ani na chwilę czuć, chociażby nieświadomie, że wszystkie one są daleko od niego samego, poza kołem jego własnych interesów moralnych, i jeżeli współczuje radościom i cierpieniom bohaterów Kosiakiewicza, to wyłącznie na mocy własnéj sympatyi dla człowieka wogóle.

A nie tak bywa z wielkimi mistrzami słowa. Weźmy choć dla przykładu Guy de Maupassant'a. Wsłuchajmy się, jak się zmienia sam dźwięk jego mowy stosownie do treści, zawsze ścisłéj, jak formułka matematyczna, lub plastycznéj, jak rzeźba, barwnéj, jak obraz. Jego słowo—doskonały akompaniament uczucia — to się śmieje, to łka, to szemrze, to grzmi, to pieści, to rani, to pali, to upaja. A dopiéro kiedy uczucie ma się stać czémś prostém, jak melodya najprostsza, akompaniament ten staje się niby nieskończenie przezroczystym, niby znika

zupełnie. Każda myśl jest tu dla nas taka jasna, jakgdyby w naszym własnym mózgu twórczo się zrodziła; nie same tylko zewnętrzne objawy uczucia są tu widoczne: ono żyje we własnéj duszy oczarowanego, zahipnotyzowanego czytelnika, jak gdyby powstało samorodnie z całego świata własnych pragnień; tu wszystko nie w oku i uchu, lecz w najgłębszéj głębi jego duszy istnieje. Tu „ja" nasze z nieruchomego środka, dokoła którego obracają się jakieś obce myśli, uczucia, osoby i zdarzenia,—staje się niedostrzegalnym dla samego siebie atomem, ginącym na skinienie czarodzieja-artysty w tym lub owym stworzonym przezeń mikrokosmie.

Nie, talent Kosiakiewicza nie ma nic wspólnego z taką siłą. On duszę ludzką tłumaczy nam pospolicie widomemi objawami momentów przełomowych, nie zaś trudno dostrzegalnémi drgnieniami, odpowiadającemi fazom przejściowym walk wewnętrznych pomiędzy prądami sprzecznemi. Pokazuje on ją nam nie w modulacyi barw ledwouchwytnych, lecz w rysunku grubym konturów; słyszymy ją nie w subtelnych odcieniach zdań, wkładanych do ust téj lub owéj osobie działającéj, lecz w ich treści rzeczywistéj. Jedném słowem, jakem to już powiedział w innych wyrazach, widzimy u Kosiakiewicza tylko zewnętrzną powłokę duszy, i już chyba tylko nasza własna wyobraźnia— jak w życiu samém — zdoła nam rozświecić wnętrze. Bojąc się być błędnie lub niedokładnie zrozumianym, objaśnię jeszcze myśl swoją następującém porównaniem. Każdy widzi zaczerwienienie się oka lub ropienie, ale do zajrzenia w głąb, do zbadania dokładnego, jakie mianowicie komórki jego i w jaki sposób cierpią—trzeba nietylko szkiełka i sztucznego oświetlenia wnętrza, lecz i wprawy. Otóż wielki artysta umié zawsze nietylko oświetlić przed wzrokiem czytelnika głąb duszy ludzkiéj, lecz i podstawić mu własną duszę, niby owo szkiełko powiększające, i to tak, że każdy musi zobaczyć wszystko, co mu on chce pokazać. Otóż tego nie potrafi Kosiakiewicz.

Czemuż nam jednak tak jakoś dobrze z jego książką? Czemu nas ona tak pochłania, tak mile uspokaja, tak rzewnie czasem czaruje? Co stanowi tajemnicę jéj uroku?

Oto są, według mnie, składowe części talentu Kosiakiewicza.

Przedewszystkiém jest mu właściwą niezwykła, fotograficzna spostrzegawczość, wypływająca niewątpliwie z żywego zainteresowania się, z umiejętności współczucia małym tego świata i ubogim duchem, szczególnie zaś dzieciom.

Następnie posiada on dar opowiadania tylko o tém, co rzeczywiście sam dobrze widział, i odczuł i umié w trakcie pracy twórczéj nie wysilać się na zadziwienie lub nauczenie czytelnika.

Jeśli wspomnimy jeszcze o wyobraźni, zamkniętéj ściśle w granicach możności sklejania i układania w całość artystyczną oddzielnych spostrzeżeń, zawartością swą przedmiotową już przez samo życie powszednie zbliżonych; jeśli zaznaczymy wreszcie osobliwą jakąś właściwość stylu, dzięki któréj wcale go nie dostrzegamy—to będziemy mieli wszystko, co stanowi czar najlepszych utworów tego pisarza.

I to właśnie zdaje mi się godném zastanowienia, że Kosiakiewicz cennym jest i sympatycznym pisarzem dzięki nie tyle owym zasadniczym, według orzeczeń estetyki formalnéj, pierwiastkom twórczości artystycznéj: wyobraźni i stylowi, ile jakby przeważnie dzięki szczerości i sympatyi dla ludzi. Dlatego właśnie dobrze nam z jego książką, że czytając ją często mamy złudzenie, iż rozmawiamy z bratem-człowiekiem, który widzi brata-człowieka w każdym pokrzywdzonym przez los lub nawet przez naturę. Dobrze nam z Kosiakiewiczem i dlatego jeszcze, że nie pozuje on, nie popisuje się przed nami z tą swoją życzliwością dla ludzi, nie przesadza jéj umyślnie w naszych oczach, nie stara się nas nią zawstydzić, przygnębić, udręczyć, pozwalając wnioskować o niéj jedynie ze sposobu, w jaki patrzy na człowieka i mówi o nim. Dobrze nam z nim témbardziéj, że tyle się wciąż płodzi przeróżnych weltszmercistów, jak ów, co to kocha za grosz, a naśpiewa o tém za dukata, że wstyd się tylko robi i za niego i za siebie.

Sprobujmy poddać analizie jedną z najbardziéj uroczych nowel Kosiakiewicza.

Michałowa, stara samotna wyrobnica, wdowa po pijaku i awanturniku, z całą wioską w doskonałych jest stosunkach (bo nikogo o nic nie prosi), lecz w gruncie rzeczy wszyscy są jéj obcy, i ona wszystkim jest obca. Pójść do kościoła, pogawędzić we święto z kumoszkami, a przedewszystkiém porać się w wolnéj chwili chociaż z cudzą dziatwą —oto jéj rozrywki. Niezaspokojona przez cały ciąg sierocego żywota potrzeba miłości każe jéj przywiązać się całą duszą nawet do jakiegoś wstrętnego psiska, któremu przyszła ochota przyczépić się do niéj przez wdzięczność za pierwszą rzuconą kość: Michałowa rozpacza wprost po stracie „suki”.

Nagle odnajduje ona trafem w miasteczku sąsiedniém jakąś niby to krewną, niby powinowatą, i odtąd ani największa niepogoda, ani znużenie najcięższe nie zdołają odwieść jéj od wycieczki co święto do kościoła miejskiego, t. j. od okazyi odwiedzenia „siostrzenicy” — szewcowéj, w któréj domu zawsze mile ją witają, bo nie zjawia się nigdy bez gościńca.

Już zwrócony do niéj wyraz „ciotko” rozkosz niewypowiedzianą sprawił starowinie, a kiedy Jaś, jedynaczek malutki szewców, nauczony przez matkę, zawołał na nią „abciu”—łez biedna powstrzymać nie mogła. Odtąd Michałowa żyje wyłącznie życiem rodziny rzekomych krewnych, nie dostrzegając nawet, jak ci wyzyskują na każdym kroku dobroć jéj serca: jéj się tak chce wierzyć, że i ona komuś nie jest obcą. Niech biéda, pomimo pracy zdwojonéj, coraz bardziéj rozgaszcza się w jéj dotychczas wyrobniczo dostatniéj izbie; niech donasza szewcowa ostatnią jéj suknię odświętną; niech ją nawet oplączą sieci żyda-lichwiarza, — byleby pozostać „ciotką” i „abcią”.

Ale oto ciężka niemoc przychodzi. Szewcowie, mierzący zamożność „ciotki” szczodrobliwością, przylatują na pierwsze wołanie, wracają jednak zupełnie rozczarowani, zabierając — oprócz błogosławieństw, podziękowań i próśb o przyniesienie „wnuka” za przyszłym razem — tylko ostatnie pięćdziesiąt groszy na pończoszki Jasiowi: ani im w głowie naturalnie spełnienie obietnicy odwiedzenia nazajutrz choréj.

W ciągu kilku dni następnych, prócz sąsiadek, odwiedza ją parę razy żona dzierżawcy miejscowego i przynosi nawet, jako lekarstwo, butelkę wybornego wina, które stara, zaledwo skosztowawszy, chowa dla spodziewanych drogich gości. Stan Michałowéj codzień się pogarsza. Corano odradzająca się nadzieja ujrzenia nakoniec siostrzenicy i wnuka tak ją ożywia, że maligna znika i energii przybywa, w nocy zato dręczy ją okropnie gorączka i pragnienie. W dzień powszedni robota mogła wstrzymać rzemieślnika, ale w niedzielę, Michałowa czeka krewnych już napewno, tego téż dnia choroba zmaga ostatecznie wycieńczony jéj organizm, i w poniedziałek rano znajdują już tylko zwłoki jéj wystygłe.

Oto skielet noweli. Trzeba teraz pokazać, jak ubrał go Kosiakiewicz w ciało i ożywił.

Zaczyna on od zaznajomienia nas ze swoją bohaterką, komunikując o niéj wiadomości, których mogłaby nam udzielić pierwsza lepsza baba wiejska, naturalnie w formie nie tak zwięzłéj.

W taki to sposób dowiadujemy się, w jakim wieku jest Michałowa, jak się miewa i wygląda, co robi, gdzie mieszka, jakie ma przyzwyczajenia, kiedy poraz ostatni doszła ją wieść o jedynym bracie, straconym z oczu od dzieciństwa, jakiego miała męża, w jakich stosunkach jest z sąsiadami i państwem, którzy ją biorą do prania i t. d. i t. d.

Mowa Kosiakiewicza tak się jakoś łatwo trawi (co właśnie nazywam niedostrzegalnością jego stylu), że nie nudzi nas bynajmniéj cała

protokularność tego opowiadania, ożywionego tylko gdzieniegdzie, niby gramatyka przykładami, jakiémś zdaniem oderwanem téj lub owéj osoby działającéj.

Wstęp ten do opowiadania właściwego stanowi więcéj niż pół noweli, ale nic tu nie znajdujemy przydatnego do zatrzymania i skupienia na sobie uwagi czytelnika, to téż nie wzrusza go należycie nawet tragiczna historya zastrzelonéj przez gajowego „suki”, ale zainteresowanie się nasze bohaterką wzrasta z każdą chwilą. Wyrazy opowiadania znikają jak gdyby natychmiast po złożeniu w umyśle naszym swéj zawartości, i mamy złudzenie, że tę poczciwą praczkę znamy oddawna, zblizka i bezpośrednio, że nawet za dobroć, sumienność w pracy i uczciwość we wszystkiém, lubimy ją nie mniéj od saméj dzierżawczyni z Przysieki. Czyż więc podobna, ażeby ciekawość nasza nie doszła do wysokiego stopnia natężenia na wieść, że pobożna Michałowa przestała nagle uczęszczać do swego kościołka parafialnego, a biega co święto do miasta? A skoro już udało się autorowi wzbudzić w czytelniku takie zajęcie się nią, nie wypuści go on ani na chwilę z pod wpływu swego uroku, niczém nie rozwieje iluzyi, że się przed nim prawdziwa rzeczywistość roztacza. Teraz nie może już nas nie wzruszyć i naiwna wiara Michałowéj w świeżo odnalezionych krewniaków, i jéj zaparcie się siebie dla nich, i wreszcie choroba i śmierć.

Pewnego razu jedna z bab wiejskich, widząc chorobliwe jéj znużenie, radzi nie iść téj niedzieli do miasta, wypocząć.

— A toć by się oni, moja kumo — obrusza się Michałowa — zamartwili tam, żebym nie przyszła. Oni mnie tak kochają, moja kumo, jak matkę rodzoną, albo i lepiéj jeszcze...

Rozczula biedaczkę nawet to, że szewc, w sekrecie przed żoną, piéniądze od niéj, niby to na długi jakieś wyłudza.

— Jak on mnie kocha—mawia Michałowa—on żonie nieraz nie powié tego, co przedemną...

Urywek rozmowy pomiędzy ciotką a siostrzenicą, która się jakoś dowiedziała o téj „miłości” swego męża, jest niesłychanie charakterystyczny.

— To ciotka jest lepsza dla niego, niż dla mnie? to tak? a cóż to on ciotce? Nic. A ja przecie jestem siostrzenica rodzona...

— No, nie gniewaj się!

— Co się nie mam gniewać! Ciotka dajesz mu piéniędzy na wódkę, a mnie co, łachy nosić muszę, bo nie mam trzech rubli na porządną kieckę. To nikt nic nie da. Niech sobie ciotka więcéj do nas nie przychodzi...

Następnéj niedzieli zjawia się Michałowa z pożyczonemi od Chaima arendarza trzema rublami.

Scenka wizyty szewców u chorój—to małe arcydzieło. Chcąc niby rozwiać czarne myśli ciotki o blizkim końcu, małżeństwo naprowadza zręcznie rozmowę na jéj kufer zielony: co téż w nim jest? czy warto się porać ze starą?

— Pewnie to po wuju został ten zielony kufereczek? – rozpoczyna „siostrzenica".

— E! Gdzieżby tam po nim! Sprzedałby go i przepił.

— Ładny kufereczek—odzywa się z kolei szewc.

— We środku ładniejszy — dorzuca żartobliwie jego żona — bo nie jedno sto złotych na dnie leży.

— Y! moi mili! Żeby ja sto złotych miała, to bym wam zaraz komodę polityrowaną kupiła, bo nie macie a potrzebna...

— Juści...

— Jest tam pięćdziesiąt groszy wszystkiego, com zarobiła przedonegdaj. Jasiowi pończoszki miałam kupić. Weźcie i kupcie mu, a powiedźcie, że to od babci.

„Szewcowie rzucili się do kuferka".

— Zaraz na wierzchu leżą w papiérek owinięte.

„Nie odrazu jednak dobrali się do wierzchu, gdyż zaczęli szukać od spodu".

A oto wrażenia i rozpamiętywania Michałowéj po kieliszku przyniesionego przez dzierżawczynię wina.

„Dobre to, słodkie i dziwnie jakoś przyjemnie po kościach się rozchodzi. Nic podobnego nie piła w życiu, nie przypuszczała nawet, aby tak dobre rzeczy istniały na świecie. Zakorkowała szczelnie butelkę i schowała pod poduszkę".

— Przyjdą szewcy, to się ucieszą. Pewnie i oni tego w gębie nie mieli.

— Mój ty robaczku jedyny, najmilszy w świecie—bredzi Michałowa w gorączce.—Co to ci? co ci? Boli? kuku? Moi wy drodzy, Bóg wam za mnie zapłaci...

Zastanowiwszy się nad „Michałową", trudno nie dostrzedz, że Kosiakiewicz nie tyle maluje żywą jéj postać, ile szkicuje jéj życie rysami charakterystycznemi, że wszystkie rozmowy i sceny w noweli do tego tylko służą.

Téj metody pisarskiéj, polegającéj nie na obrazowaniu, lecz na opowiadaniu jak było, żaden utwór Kosiakiewicza nie charakteryzuje tak dosadnie jak „Literatura mojéj żony".

Cały dzień wdowca w rocznicę zgonu żony—zaczynając od chwili wstania z łóżka aż do opuszczenia wieczorem drogiéj mogiły — opisany jest niby szeregiem zdjęć fotograficznych. Oto zrywa on z kalendarza ściennego kartkę wczorajszą, wpatruje się w datę złowrogą, słyszy pukanie do drzwi i przyjmuje zamówione kwiaty, ubiéra się, wymawia się od śniadania, wkłada paltot, zbliża się do biurka, dostaje kilkanaście notesików, chowa je do bocznéj kieszeni paltota, uprzedza służącą, że na obiad nie wróci, spuszcza się ze schodów, bierze dorożkę, każe się wieść na Powązki, wysiada i t. d. i t. d. aż do kończącego cały ten protokół jego ruchów ustępu, który sam jeden u Kosiakiewicza zdaje się brzmieć jakimś patosem, jakąś [illegible] namiętnej obrazowości:

„I położyłem dwa wianki na téj ziemi, którą wyjęło z głębi, ażeby tam zrobić miejsce kobiecie, którą kochałem, którą jeszcze kocham."

Daléj czytelnik musi sobie sam dośpiéwać w duszy cały wiersz punktów aż do wyrazu „uspokoiłem się." Dalszy ciąg téj noweli niemniéj jest charakterystyczny. Wszystkie wspomnienia o pożyciu z żoną przystosowane tu są do szeregów pozycyi w rachunkach gospodarczych nieboszczki, t. j. do „jéj literatury." Wielka ilość chleba przypomina wdowcowi początkową biédę, zmiany w ilości węgla — pory roku, różnice w komornem — zmiany mieszkania, lekarstwa — chorobę, zwiększenie wydatków — podwyżki pensyi, i tak stopniowo rozwija się przed oczyma czytelnika cały szmat życia drobno-urzędniczego z jego walkami i zwycięstwami, i na tle jego zarysowuje się cień cichéj, oszczędnéj, dobréj, potulnéj, kochającéj żony, która opuściła męża u samego progu ustalonego dobrobytu.

Z dzieł Kosiakiewicza jedna tylko nowela świadczy przeciw ograniczoności jego wyobraźni twórczéj: „Skarb." Dajmy na to, że i ten dobry syn — wieśniak, który po wyłudzeniu od matki formalnego zapisu, oddającego mu całe gospodarstwo, zaczyna jéj skąpić i kawałka chleba, i kąta ciepłego, i wszystkiego, oprócz złego słowa; i sama ta matka, w któréj sercu „lata przebytych mąk, obok samolubstwa starości, wyziębiły ostatnie iskry przywiązania dla dzieci"; i ten pokrzywdzony przez nią na korzyść starszego brata drugi syn, żołnierz dymisyonowany — wszystko to są niewątpliwie z natury szkicowane typy. Ale ćwiek opowiadania, ów skarb, o którym nagle dowiaduje się stara od kumy konającéj, koło którego drepcze nieustannie, pomimo urągań synowskich, lecz przez zemstę nie mówiąc o nim ani słowa dzieciom — to już wygląda na płód wyobraźni i do tego świetny. Ta stara, która, po krótkiéj walce z myślą przywrócenia sobie szacunku

dzieci i wnuków za cenę swéj tajemnicy, zacina ostatecznie usta i patrzy obojętnie, a może nawet nie bez pewnego zadowolenia, na coraz gorsze interesa synów, na wyprowadzenie wreszcie ostatniéj krowy starszego na targ za podatki; która na śmiertelném nawet posłaniu nie chce kupić sobie ratunku za cenę jednego wyrazu — jest to typ, który, przy stylu odpowiednim, mógłby stanąć obok największych kreacyi największych mistrzów.

Powtarzam, pomysł to w każdym razie świetny, ale jeden taki błysk wyobraźni na dziesięć tomów — należy, jak mi się zdaje, uznać za stwierdzający zasadę wyjątek, tém bardziéj, że wszystkie inne lepsze utwory Kosiakiewicza, jak „Pietrek", „Ze wspomnień dramaturga", „Janek", „Błękitna sukmana", „Bogaci wujostwo", „Ważne przedstawienie", „Tylko dwa przedstawienia" i t. d. — noszą wszystkie cechy szkiców z natury. Czasem i z zewnątrz może przyjść zupełnie już gotowa najfantastyczniejsza nawet myśl, czy pomysł.

Jak nowele Kosiakiewicza są szkicami z życia oddzielnych osobistości, tak powieści jego są szkicami z życia sfer pewnych lub rodzin. I tu, naturalnie, talent Kosiakiewicza pozostaje statkiem bez kompasu: zaledwo niknie z oczu stały brzeg rzeczywistości widoméj, zaczyna się dlań błądzenie.

Należy mu, co prawda, przyznać, że, świadomie czy nie, trzyma się on zawsze prawie tego lądu spostrzeżeń namacalnych i nader rzadko się puszcza na pełne morze złożonych uczuć i walk wewnętrznych, gdzie prawdziwie wielkiemu uczuciu drogę wskazać może — drgnieniami nieuchwytnemi dla pospolitego oka — tylko owa igła magnesowa prawdziwéj wyobraźni twórczéj, zasilonéj doskonałą analizą i samoanalizą duchową. Pierwsza powieść Kosiakiewicza (jeśli nie uznamy za nią „Naszego małego") „Janek" przedstawia parę przykładów owego błądzenia w mrokach pomiędzy przylądkami odległemi.

Młody ślusarz kolejowy, doprowadzony przez piękną żonę do nędzy i występku, po odsiedzeniu kary czteroletniéj za kradzież, przekonywa się, że owa nędznica ukochana boi się go tylko i nienawidzi, jako przeszkodę do rozpusty i zbytku, ale my o tysiącach myśli, uczuć i wrażeń jego wobec tego ostatecznego rozbicia nie dowiadujemy się nic; autor odrazu przywołuje na pomoc *deum ex machina* — ciężką chorobę zapalną. Następnie, powiedziawszy nam zaledwo o głębokiéj zadumie rekonwalescenta, kończy powieść frazesem, mającym oznaczać zupełne odrodzenie moralne bohatera tytułowego.

Co się nazywa ni stąd, ni zowąd, bez żadnéj pobudki wewnętrznéj, bez żadnego celu zrozumiałego, bez żadnego możliwego tu do przypuszczenia impulsu wewnętrznego — Janek przyznaje się frazesem

tym do prawnie już odpokutowanego złodziejstwa kochającym go czule szwagrowi i—pośrednio—siostrze, którzy dotychczas łudzili się, że sam tylko zbieg fatalnych okoliczności zgubił brata.

W téj zaś saméj powieści napotykamy wyborne kartki, w których bierze górę fotograficzna spostrzegawczość autora, jak np. szkic pobieżny wesela młodego ślusarza z córką lokaja i praczki a siostrzenicą właścicielki garkuchni, lub przedewszystkiém obrazy walki wieloletniéj z nędzą dwojga dzieci obłąkanéj.

Inna powieść Kosiakiewicza, „Rodzina Łatkowskich", jeszcze obfitsza w doskonałe zdjęcia z natury, kończy się, nakształt „Janka", fatalném nieprawdopodobieństwem psychologiczném. Pospolita nędznica, sprzedająca w ciągu lat kilku wdzięki swoje wstrętnemu gburowi—skąpcowi, doprowadziwszy go do ruiny ostatecznéj, nagle, znowuż ni stąd, ni zowąd, na wieść o jego śmierci, nietylko zmienia się w pokutnicę, lecz ciśnie się prawie gwałtem do katafalka, otoczonego przez rodzinę, którą nieomal zgubiła, i wobec zwłok zmarłego błaga żonę jego o przebaczenie. Dzięki temu, powieść ta zakrawa na dramat, zakończony scenką z melodramatu.

Najsłabszą z powieści Kosiakiewicza jest niewątpliwie „Bawełna", zrodzona nie z żadnego natchnienia *sui generis*, lecz oczywiście z wyrozumowanéj chęci zobrazowania Manchesteru naszego, Łodzi. Wszystko tu takie jakieś bez życia, bezbarwne. Robotnika, który w każdém mieście fabryczném gra tak ważną rolę, wcale nie ma w powieści. Bawełniane tuzy i rzezimieszki przesuwają się przed nami, jak cienie cieniów, niby bohaterowie anegdot bez soli. Kiedyniekiedy usłyszy coś czytelnik, niby z dziesiątych ust, o wirach interesów sprzecznych, apetytów, działalności, ale nic z tego dojrzéć nie jest w stanie.

W powieści téj widzę jeden z najwybitniejszych dowodów, że rzeczą Kosiakiewicza jest uleganie spostrzeżeniom, które same się narzucają jego organizacyi artystycznéj, nie zaś panowanie nad niemi mocą własnéj idei lub własnego skoncentrowanego uczucia lub nastroju.

Spostrzegawczość Kosiakiewicza — to polip, któremu do rozwinięcia tysiąca swoich ramion potrzeba przedewszystkiém sfery odpowiedniéj. Otóż polip ten najżywotniejszym się zdaje w sferach wieśniaczych, rzemieślniczych, małomieszczańskich, drobnourzędniczych i — że się tak wyrażę — drobnoaktorskich. Zaaklimatyzował się on trochę jeszcze w sferach kolejowych, zapewne dzięki temu, że Kosiakiewicz sam długie lata pracy przy kolei poświęcił, a więc musiał się z nią zżyć, poznać ją, jak własne pięć palców.

Płodem owych długoletnich studyów mimowolnych jest doskonała powieść „Przy budowie kolei.” Nowa linia, prowadzenie jéj, robotnicy, przedsiębiorcy, inżynierowie i stosunki tego wszystkiego do wiosek, miasteczek i dworów obywatelskich — wszystko żyje tu niemal. Oddzielne osobistości naszkicowane są znakomicie. Wyborni tu i dobrodusznie srogi zawiadowca stacyi i jego żona, zawołana gospodyni, dobra i dbała pod wszystkiemi względami o męża, którego zdradza zręcznie i spokojnie z kilkoma kochankami naraz, umiejąc przytém pomiędzy wszystkimi oszukiwanymi utrzymywać jaknajlepsze stosunki: każdy z nich domyśla się jéj zdrad, ale spokojna jéj słodycz każe mu czuć się pomimo to dobrze i zamykać oczy.

Niezły téż jest i opiekun młodziutkiéj sieroty, głównéj bohaterki, chcący nią kupić sobie protekcyą u inżyniera; dobry i sam ten inżynier, człowieczek nienajgorszy, ale pospolity, słabego charakteru, obcy zarówno wszelkim porywom idealnym, jak i namiętności prawdziwéj. Wyznam, że gdyby Kosiakiewiczowi udało się odmalować bohaterkę swoją główną tak, jak oczywiście zamierzał, t. j. jako dziewczynę o niezwykle silnym charakterze i wzniosłéj duszy, bylibyśmy zmuszeni szczerze jéj pożałować dla byłego wielbiciela zimnéj kokietki-obywatelki i kochanka poczciwéj pani Julii.

Powieść ta, przenosząca czytelnika w koło żywych niemal ludzi, z ich interesami, głupotą, podłością i płaskiemi pożądliwościami, pozostawia po sobie przedewszystkiém następującą refleksyą: jak mało wymaga Kosiakiewicz od ludzi, z jaką dobroduszną wyrozumiałością patrzy na życie.

Nie mogę téż przejść milczeniem jednéj z najsympatyczniejszych powieści jego, z któréj bohaterem tytułowym, „Gąsiorkowskim”, zapoznajemy się, jako z wyrostkiem-gimnazistą, ażeby się z nim rozstać dopiéro po latach dwudziestu. Typ to i osobistość zarazem naszkicowana w całém znaczeniu tego wyrazu doskonale. Nieśmiały syn sklepiczarki, przywiązawszy się do zamożnéj rodziny małomieszczańskiéj, w któréj domu uprzejmie go, jako malca przyjęto, oddaje się na całe dziesiątki lat na jéj usługi. Wolny najzupełniéj od wszelkiéj zarozumiałości, a bodaj czy nie i od egoizmu samego, pełen zdolności do poświęceń i samozaparcia, kocha się kolejno we wszystkich trzech córkach gospodarstwa, a dostaje mu się dopiéro najmłodsza, najlepsza i najładniejsza, którą on sam sobie niejako wychował i wykształcił. Typową jest téż ta powieść pod względem metody pisarskiéj autora.

Miejsce tu na uwagę, że takie wydawanie młodych dziewcząt za starych kawalerów jest wogóle w guście Kosiakiewicza, ponieważ motyw ten powtarza się i w „Bawełnie” i „Przy budowie kolei”, gdzie

nawet bohater-inżynier zajmuje się także wykształceniem przyszłéj swojéj żony, daje jéj lekcye, przysposabia do egzaminów i t. d.

Najkrótszą i najlepszą z powieści Kosiakiewicza jest, według mnie, „W miasteczku.” Tu co osoba działająca — to typ, a każda — jak żywa, a co najważniejsze wszystko stanowi tu tak pełną ruchu i życia, a tak naturalną i pociągającą zarazem atmosferę, że skoro kto przeczytał tę prędzéj powiastkę — ze względu na rozmiary — niż powieść, nie zapomni nigdy ani tego życia, ani też na tle jego szeregu portretów z natury, czarujących wprost swoją ludzką pospolitością.

Kosiakiewicz wogóle dobrze patrzy na ludzi, ale wzrok jego nigdzie nie wpił się tak w nich, że się tak wyrażę. Żaden wyraz nie przeczy tu psychologicznie wszystkim wyrzeczonym poprzednio i następnie, a każde zdanie uderza charakterystycznością. Jakie tu naturalne jest i jak świetnie stopniowane przejście Ignaca od gróźb zamordowania ukochanéj dziewczyny wraz z jéj mężem przyszłym — do ożenienia się z drugą, i znowu od powrotu dawnéj miłości dla pierwszéj, która po roku coś owdowiała, do zupełnego wyrzucenia jéj z serca i oddania się całą duszą cichéj, wiernéj i kochającéj go bez granic żonie! A jak harmonijnie każe się w siostrze jego godzić Kosiakiewicz złości, chciwości, chytrości najbardziéj zdradzieckiéj, mściwości i t. d. — z najbardziéj bezinteresownem i szczerém współczuciem dla biedy i nieszczęścia wczorajszego wroga a nawet z rodzącą się ku niemu miłością na śmierć i życie.

A ów dumny i despotyczny bogacz-skąpiec małomiasteczkowy, zamknięty w sobie i nigdy niemający dla całéj rodziny, któréj jest głową, nic oprócz rad—rozkazów i to w wyjątkowych razach! Dostaje on apopleksyi: trzeba mieć talent właściwy Kosiakiewiczowi, żeby tak odmalować nagle rozpalającą się walkę zajadłą pomiędzy dwiema, dotychczas zgodnemi, rodzinami o prawo doglądania i pielęgnowania chorego. Przychodzi wreszcie starzec do zdrowia, i oto owe pełne nienawiści wzajemnéj rodziny, — zamożna nie bez kłopotu, biédna drogą ostatecznie rujnujących wysileń — współubiegają się w zapraszaniu i ugaszczaniu skąpca, naturalnie wciąż w nadziei na łaskawą a wyłączną wzmiankę w testamencie.

Czytelnik na długo pozostać musi pod urokiem wdzięcznéj świeżości, jaką tchnie ta powieść. I co go tak ujmuje? Przecież tu ani śladu marzeń niebiańskich, bohaterstw archanielskich. W każdéj z osób wyprowadzonych na scenę przez autora tyle chciwości, zazdrości, złości i wszelkich, jedném słowem, wad ludzkich! Ale cóż począć, kiedy Kosiakiewicz każe nam wszystko to wybaczyć za niemniéj ludzkie dobre popędy, uczucia i czyny.

Czasem to ten, to ów zdaje się nam całkiem już złym, t. j. godnym wzgardy czy nienawiści, autor jednak tak osobliwie jakoś usposabia czytelnika swoją dobrodusznością bezgranicznie wyrozumiałą! To też ostatecznie zachwyca nas siostra Ignaca, Mańka, która w pierwszym zaraz rozdziale nie jest w stanie powstrzymać wybuchów szalonéj nienawiści do brata za to, że on swoją miłością rozpaczliwą i odgrażaniem się na rywala omal i jéj nie pozbawił okazyi wytańczenia się na świetném weselu. Sympatycznym się nam wyda i sam Ignac, którego nie namowy krewnych, nie łzy żony, nie przywiązanie do dziecka odciągają od wdówki-syreny, lecz oczywistość, że ona mu chce do kieszeni zajrzéć, t. j. lepiéj powiedziawszy, nieprzezwyciężona, wrodzona dbałość małomieszczańska o swoję majętność.

Milutką i poczciwą w gruncie rzeczy jest tu i sama ta ładna wdówka, zastawiająca sidła na, gwałtem co prawda wlatującego w nie, wielbiciela żonatego, spijająca codzień na jego rachunek kawkę z rozmaitemi dodatkami i chcąca wreszcie wyciągnąć od niego całe 500 złotych odrazu, co téż okazuje się takim skutecznym na zagaszenie zapałów miłosnych środkiem. Bawi nas tylko wyżéj wspomniany sknera-bogacz, który, stawszy się po chorobie dziwnie uprzejmym dla krewnych, wciąż, nikomu nie dając pierwszeństwa, objada jednych i drugich, korzystając zarazem z bezpłatnéj ich pracy na swoim gruncie, i pozostawia i jednę i drugą stronę w rozkosznym błędzie, że dla niéj właśnie cały spadek wyłącznie jest przeznaczony, chociaż w końcu, przy znowu zgodnych przekleństwach wrogów dotychczasowych, wszystko dostaje się po jego śmierci kościołowi.

Być może zda się komu dziwném, jeżeli, powiedziawszy o Kosiakiewiczu, że w najlepszych swych utworach nie przejawia on żadnéj tendencyjności, nazwę go pomimo to teraz jednym z bardzo pożytecznych i pouczających pisarzy. Utwory jego są pouczające, jak samo życie, o ile kto umié i chce się temuż przyglądać.

My wszyscy, zwykli śmiertelnicy, widzimy zawsze prawie w gruncie rzeczy nie życie samo, ale jedynie jego strzępy. Ileż to, naprzykład, każdemu z nas zdarzało się napewno spotkać Michałowych, a nawet dostrzedz, ale zawsze w jakimś jednym momencie: ten widział ją przy balii, ów porającą się z dziatwą cudzą, inny w trumnie, ale wszystkim brakło i czasu, i ochoty do wystudyowania całego jéj żywota, a jakże pouczającą jest dla każdego rzeczą zamyśléć się nad losem téj poczciwéj i wiernéj wyrobnicy! Serdeczna wdzięczność należy się téż Kosiakiewiczowi za trud! Otóż właśnie w taki sposób nieraz zmusi on czytelnika do zastanowienia się nad życiem samém w swoich utworach, chociaż go ani słówkiem od siebie do tego nie będzie zachęcał.

I wielu rzeczy można się nauczyć od naszego autora. Nie mówiąc już o tém, że piękno i prawda życiowa zawsze są mądre, nauczy nas on dopatrywać się w pospolitych ludziach pod pokładami złości i fałszu — dobroci i szczerości, niejednego nauczy uważać najszkodliwszą nawet złość lub głupotę w bliźnim bardziéj za godną litości i śmiechu, niż wzgardy i nienawiści. Spokojnie życzliwy stosunek do świata, umiejętność cieszenia się nawet z najbardziéj poziomego szczęścia ludzkiego i cenienia nawet najpowszedniejszych uroków życia — oto co zdają się wpajać nowele i powieści Kosiakiewicza.

Dodać jeszcze należy, że uczy on kochać dzieci, pomimo drobnych ich wad i usterek, a nawet nieraz za nie właśnie. Ach, dziatwa Kosiakiewicza — „Nasz mały", „Władek", „Pietrek" i parę tuzinów innych! Ileż prawdy i uroku zarazem we wszystkich tych małych a pełnych życia postaciach, jak nas zaraża Kosiakiewicz miłością dla nich, chociaż jeśli zapowiadają one w przyszłości bohaterów, to chyba z jego własnych powieści.

Na zakończenie wyznam, że nie zdziwiłby mnie zbytecznie w tém miejscu trudny do odparcia zarzut, że ostatecznie uczy nas Kosiakiewicz godzić się z nieszczęściem bliźniego, i z wielkiém jego nieszczęściem—głupotą, i z największém nawet—z podłością; że optymistycznym realizmem przesiąknięte nowele jego nie każą się nam nigdy rwać namiętnie do jakiegoś ideału, że wyrabiają w nas poniekąd wyrozumiałość i dla własnéj marności.

Jedną tylko mam odpowiédź na to. Kogo wstrętem przejmują „konchy, co się tają w bagnie" pospolitości, kto żąda koniecznie w utworze artystycznym namiętności i szału, ideałów i zachwytów, wielkich idei i wzruszeń gwałtownych,—niech tego nie szuka w książkach Kosiakiewicza.

Józefat Nowiński.



Pierwszy spis ludności.

Do dzielnych środków pomocniczych w trudnéj sztuce rządzenia krajem, należy niezaprzeczenie statystyka ludności. Tysiączne zagadnienia, związane z projektami zmian prawodawczych, lub wykonaniem istniejących przepisów, znajdują w niéj bogaty zasób wyjaśnień, wskazówek i informacyi. Czy rzecz dotyczy podziału kraju na okręgi administracyjne, sądowe, wyborcze i inne, czy poboru do wojska lub systemu podatkowego, czy organizacyi szkolnictwa, czy potrzeb żywnościowych ludności, lub jéj stosunków zdrowotnych, czy przeprowadzenia kolei, ustalenia żeglugi lub podniesienia przemysłu, czy wreszcie innych wielorakich kwestyi wewnętrznéj polityki państwa, materyał statystyczny o stanie ludności oddaje zawsze nieocenione przysługi sprawie, czyniąc zadość wymaganiu obiektywnego jéj rozważenia. Dlatego jeżeli słusznem jest porównanie rządów państwa do steru, kierującego biegiem okrętu, statystykę ludności porównać można do latarni morskiéj, któréj światło, rozwidniając horyzont, wskazuje sternikowi bezpieczną drogę do przebycia.

Obliczenie ludności uskutecznione być może ze ścisłością, jedynie za pomocą powszechnego spisu; wprawdzie nauka podaje inne jeszcze środki, zmierzające do sprawdzenia ilości mieszkańców, mianowicie matematyczne sposoby wyliczeń na podstawie ilości urodzeń i śmierci w pewnych kilkutysięcznych grupach, z zestawieniem téj ilości z ogólną cyfrą urodzeń i śmierci w kraju, lub też wyliczeń na

podstawie ilości konsumowanego przez ludność zboża, soli albo innego artykułu pierwszéj potrzeby. Obliczenie takie może być atoli przybliżone tylko, nie mówiąc już o tém, że ani zaludnienia poszczególnych miejscowości, ani podziału na płeć lub wiek, ani różnych innych szczegółów nie wyjaśnia. Pomimo więc znacznych kosztów, zachodu i trudności, jakie pociągają za sobą spisy, zdobyły one sobie oddawna najzupełniejsze prawo obywatelstwa i w teoryi i w obowiązujących prawodawstwach. W zachodniéj Europie spisy datują się od początku bieżącego stulecia. We Francyi i w Anglii pierwszy spis miał miejsce w r. 1801, w Prusach 1810, w Austryi, Saksonii, Bawaryi i Badenie, między latami 1815—1818. Stopniowo i inne państwa uznały za konieczne przystąpić do spisów, dzięki czemu w siódmém dziesięcioleciu bieżącego wieku, za wyłączeniem państw półwyspu Bałkańskiego, Turcyi i Rosyi, cała Europa posiadała dokładne dane o swojém zaludnieniu, drogą spisów zebrane. Rozpowszechnieniu i udoskonaleniu spisów sprzyjały znacznie prace międzynarodowych kongresów statystycznych, do których dał inicyatywę statystyk belgijski Quetelet w r. 1853. Ósmy z kolei kongres, w r. 1872 w Petersburgu zwołany, miał na celu przeważnie porozumienie się w przedmiocie spisów ludności i w toku obrad ustalił zasadę peryodycznego powtarzania spisów w jednakowych odstępach czasu. Zasadę tę przyjęły u siebie Niemcy, Austrya, Anglia, Włochy, Hiszpania, Portugalia i Dania, dokonywując spisu stale co 5 lub 10 lat. Wcześniéj jeszcze, bo od r. 1831 spisy peryodyczne co 5 lat odbywają się we Francyi, mianowicie w latach kończących się jedynką i szóstką. Wyjątek stanowił tylko rok 1872, na który z powodu wojny pruskiéj, przeniesiony został spis, wypadający normalnie w 1871 r.; spis ten wykazał kolosalne straty w ludności, wynoszące koło 2 milionów mieszkańców, czyli $^1/_{19}$ część całego zaludnienia; z cyfry téj $1^1/_2$ miliona odpadło od Francyi wraz z Alzacyą i Lotaryngią; zaś 500,000 zginęło w czasie wojny lub opuściło kraj.

Współcześnie prawie z zachodnią Europą spis ludności dokonany był również w Księstwie Warszawskiém. Było to w r. 1810, kiedy wzorując się na przykładzie Francyi, przystąpiono do założenia istniejących po dziś dzień ksiąg ludności stałéj i niestałéj. Księgi te, same przez się stanowią przybliżoną kontrolę zaludnienia, wymagają jednak jeneralnego spisu w chwili ich zaprowadzenia i następnie peryodycznych rewizyi co pewien przeciąg czasu. Otóż spis z r. 1810 miał na celu ujawnienie danych niezbędnych dla pierwiastkowego założenia ksiąg. Rewizye zaś ich, dążące do sprawdzenia wykazów z istotnym stanem zaludnienia, a tém samém zastępujące poniekąd formalne

spisy odbywały się w r. 1818, następnie w 1832, z powodu znacznego zmniejszenia ludności, wywołanego wypadkami politycznemi, i wreszcie w r. 1865 z polecenia komitetu urządzającego z dnia 31 października (12 listopada) 1864 r. Po za tém, spis jednodniowy z zachowaniem odpowiednich wymagań był dokonany tylko w mieście Warszawie w r. 1882.

W Cesarstwie wszelkie dotychczasowe obliczenia ludności opiérają się na bardzo niedokładnych notowaniach zwanych powszechnie „rewizskiemi skazkami", to téż cyfra ludności tylko w dalekiém przybliżeniu może być określona. Oprócz kilku wielkich miast, jak Petersburg, Moskwa, Ryga, w których dokonano spisu między latami 1872—1882, w całém państwie rosyjskiém spisu ludności dotychczas nie było. Wprawdzie oddawna zamierzano doń przystąpić, lecz względy natury finansowéj stanęły na przeszkodzie urzeczywistnieniu projektu. Dopiéro prawo z 5 czerwca 1895 r. nakazało dokonywanie peryodycznych spisów, przeznaczając na koszta pierwszego spisu poważne pozycye w budżetach ministeryum spraw wewnętrznych w ciągu trzech następujących po sobie lat, a mianowicie na rok 1896 — 1,591,155 rs., 1897 — 1,530,057 rs., i 1898 — 795,470 rs. Toż prawo podało zasady, na jakich ma się opiérać pierwszy spis ludności. Oto główne ich zarysy: Spis będzie jednodniowy, t. j. na całym obszarze państwa odnośne dane mają być zebrane w jednym dniu, który przez Ukaz Najwyższy będzie oznaczony. Spis rozciąga się na wszystkie gubernie państwa, nie wyłączając najbardziéj odległych miejscowości Syberyi, Kaukazu, Turkiestanu, okręgów: Zakaspijskiego, Uralskiego i innych, gdzie jedynie pewne odstępstwa od ogólnego programu są przewidywane. Spis miéć będzie na celu ujawnienie następujących szczegółów o każdéj osobie: 1) imienia, imienia ojca, nazwiska lub przezwiska jéj; 2) stanu rodzinnego (kawaler lub panna, żonaty lub zamężna, wdowiec lub wdowa, rozwodnik lub rozwódka); 3) stosunku jéj do gospodarza domu (krewny, powinowaty, lokator, służący, robotnik i t. d.), jak również wzajemnych stosunków rodzinnych osób do rodziny gospodarza domu nienależących; 4) płci danéj osoby; 5) jéj wieku; 6) stanu lub klasy; 7) wyznania; 8) miejsca urodzenia; 9) miejsca stałego zamieszkania, a co do cudzoziemców nadto miejsce poddaństwa; 10) miejsca stałego pobytu; 11) języka ojczystego, jakiego osoba ta używa; 12) czy jest piśmienny lub nie; 13) jakie jest jéj zajęcie, rzemiosło lub przemysł oraz 14) czy nie podlega kalectwu, będąc niewidomą, niemą lub głuchoniemą, albo czy nie cierpi choroby umysłowéj.

Kartki przeznaczone do zapisywania wyszczególnionych danych, mają być drukowane w języku urzędowym, w miejscowościach zaś,

gdzie ludność używa przeważnie miejscowego narzecza i posiada swe pismo, na kartkach może być zamieszczone również tłómaczenie tekstu i zapytań na miejscowe narzecze.

Zwierzchni dozór nad spisem należy do ministeryum spraw wewnętrznych; czynności zaś wykonawcze pełnić będą powołane *ad hoc* z pośród miejscowych urzędów komisye gubernialne i powiatowe, na czele których stanie główna komisya do spisu ludności, urzędująca w Petersburgu. Nadto w większych miastach, do których i Warszawę zaliczono, czynne będą oddzielne komisye.

Celem dokonania samego spisu, miasta i powiaty podzielone będą na rewiry; każdy rewir oprócz zarządzającego otrzyma pewną liczbę rachmistrzów; ci ostatni obowiązani będą rozdać we właściwym czasie kartki, do spisu przeznaczone, następnie sprawdzić to, co w nie zapisano, i kartki odebrać; we wsiach zaś obowiązani sami kartki zapełniać. Czynności rachmistrza powierzone być mogą zarówno osobom na służbie rządowéj pozostającym, jak i osobom prywatnym, otrzymującym za to odpowiednie wynagrodzenie.

Spis będzie dokonywany podług gospodarstw (*vel* rodzin). W majątkach ziemskich winni będą zapisywać na kartkach odpowiednie dane właściciele lub dzierżawcy dóbr, w fabrykach i zakładach przemysłowych zarządzający niemi, na parostatkach i okrętach — ich komendanci; w miastach gospodarze lokali. W instytucyach rządowych i w zakładach dobroczynnych, naukowych, przytułkach, szpitalach i więzieniach — spis ludności stale w nich zamieszkującéj, dokonany będzie przez zarząd wspomnianych zakładów; wreszcie szeregowcy niższych stopni podlegać będą spisowi, prowadzonemi przez zwierzchność wojskową.

Kartki sporządzane będą w dwóch egzemplarzach, z których jeden wraz z wykazami ludności, obejmującemi miasta, powiaty i gubernie, złożony być winien głównéj komisyi do spisu ludności, drugi pozostanie w przechowaniu ministeryum spraw wewnętrznych. Wszystkie czynności spisu, nie wyłączając sporządzenia wykazów ludności, powinny być ukończone w ciągu sześciu miesięcy, po upływie którego to czasu miejscowe komisye będą zamknięte. Dalsze zaś opracowania materyału statystycznego powierzone być mają centralnemu komitetowi statystycznemu. Korzystanie z tego materyału w celach naukowych, może być dozwalane nie inaczéj, jak z decyzyi ministra spraw wewnętrznych.

Takie są główne podstawy zamierzonego spisu. Nie ulega wątpliwości, że zakres jego jest szeroki a ugrupowanie danych dość wyczerpujące.

Niemniéj jednak ostateczny rezultat w znacznéj mierze zależny będzie od sposobu wykonania postawionego programu, a przedewszystkiém od systemu kartek, jaki do spisu będzie zastosowany. Wielkiéj wagi jest w tym względzie używanie do spisu kilku rodzai kartek, których wzajemne porównanie usuwa w przyszłości, przy opracowaniu materyału, mogące się zdarzyć błędy lub wątpliwości.

Dla przykładu przytoczyć możemy wzory kartek, jakie używane były w czasie ostatniego spisu ludności we Francyi dokonanego, 6 marca 1891 r. Kartki te były trzech rodzai: 1) „*bulletin individuel*" dla każdéj pojedyńczéj osoby, 2) „*feuille de ménage*", dla danéj gospodarczéj jednostki i 3) *bordeau de maison*" dla całego domostwa.

Kartki osobiste wypełniała albo dana osoba własnoręcznie, albo głowa rodziny, albo sąsiad, albo wreszcie przeznaczony do spisu urzędnik.

Wygląd ich był następujący:

Departament?	Gmina?
Okręg?	Ucząstek?
Kanton?	Ulica?
	N.?

Zapytania.		Odpowiedzi.
Imię:	Jak imię?	
Nazwisko:	Jak nazwisko?	
Płeć:	Mężczyzna czy kobiéta?	
Wiek:	Ile ma lat?	
Ojczyzna:	Gdzie się urodził? — Czy we Francyi? W któréj gminie? lub kolonii? Czy za granicą i w jakim kraju?	
Narodowość?	Czy ma rodziców Francuzów?	
	Czy się naturalizował?	
	Czy jest obcokrajowcem? Jakiéj narodowości?	
Stan:	Czy jest kawalerem lub panną?	
	Żonatym lub zamężną?	
	Wdowcem lub wdową?	
	Rozwodnikiem lub rozwódką?	

Ilość dzieci:	Czas trwania małżeństwa? Wiele ma dzieci żyjących? (obecnych lub nieobecnych?)
Fach lub zajęcie:	Jaki posiada fach? Czy jest | głową domu lub zwierzchnikiem? urzędującym lub oficyalistą? robotnikiem, najemnikiem lub rzemieślnikiem? Czy pozostaje w służbie u kogokolwiek? A jeżeli nie ma stałego zajęcia lub miejsca, czém zajmuje się głowa jego rodziny?
Pobyt:	Czy mieszka w gminie? Czy też znajduje się w niéj przejazdem lub czasowo?

„*Feuille de ménage*" miało następującą formę:

Ilość osób.	Nazwisko.	Imię.	Wiek.	Narodowość.	Fach.	Stanowisko w domu
	1) Członkowie domu obecni:					
1. —						
2. —						
i t. d.						
	2) Członkowie domu nieobecni:					
1. —						
2. —						
i t. d.						

3) Czasowo obecni (*Hôtel de Passage*):

1. —					
2. —					
i t. d.					

Kartki te stanowiły *resumé* kartek osobistych z nadmienieniem szczegółów o nieobecnych i miały formę okładek, w które kładzione były kartki osobiste całéj rodziny (czyli danéj jednostki gospodarczéj).

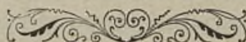
Wreszcie wykaz danego domostwa był w następujący sposób zredagowany:

Zapytania:	Odpowiedzi:
Ilość rodzin (czyli jednostek gospodarczych)?	
Ilość stałych mieszkańców gminy { obecnych?	
Ilość stałych mieszkańców gminy { i nieobecnych?	
Ilość czasowo przebywających?	
Niektóre szczegóły co do domu:	
Ilość wolnych mieszkań?	
Ilość ubikacyi przeznaczonych na warsztaty, składy i sklepy?	
Ilość pięter w domu łącznie z mansardami?	

Na podstawie zebranych tą drogą wiadomości, merowie gmin, naczelnicy okręgów i prefekci departamentów, formują tablicę ludności podług gmin, okręgów i departamentów, ministerya zaś spraw wewnętrznych oraz przemysłu i handlu, podają je w odpowiednich zbiorach do publicznéj wiadomości. Materyał cyfrowy ugrupowany w ten sposób jest ściśle faktyczny, szczegółowy i dokładny, a nadto dostępny dla szerokiego ogółu w pierwotnéj, rodziméj, jeżeli można się tak wyrazić, formie.

Powyższe właściwości stanowią o tych wysokich zaletach, z jakich słusznie słynie francuska statystyka ludności i jakie służyćby mogły za przykład godzien naśladownictwa dla spisów ludności w Rosyi.

Stefan Holewiński.



Kartka z krytyki religijnéj.

Ks. Karol Niedziałkowski. „O chrześciańską zasadę". Warszawa, druk Saturnina Sikorskiego, 1895, t. I, str. 359, t. II, str. 476.

Sześć rozpraw, treści przeważnie estetycznéj i moralnéj, zebranych w dwóch tomach pod powyższym tytułem, drukowane były pierwotnie w „Przeglądzie katolickim" i „Roli". Polemizuje w nich autor nie bez pewnego powodzenia z nowoczesnymi teoretykami sztuki, Witkiewiczem, Sygietyńskim i rozmaitymi anonimami dziennikarskiemi, opierając się na pracach M. Morawskiego („O związku sztuki z moralnością"), Veuillota („Les parfums de Rome"), Kurtha („Początki cywilizacyi chrześciańskiéj") i t. d. Argumentacya jego jest zazwyczaj szeroka, roztoczona według wszelkich prawideł retorycznych, tak często zaniedbywanych dziś przez pisarzy nowszego pokroju i temperamentu. Natura ludzka — powiada np. w jedném miejscu — taka jest, że tkwi w niej nietylko poczucie potrzeby zgody pojęć z prawami logiki, ale także potrzeby zgodności czynów z prawami etyki; prawda i dobro nieodłączne są od natury ludzkiéj; dla tego nietylko miłujemy prawdę, ale może więcéj jeszcze dobro moralne (I, 234). Przytem prawda jest rzeczą wielce względną: potrzebuje ona zawsze i wszędzie pomocy i poparcia wiary. Katolik np. wierzy w Boga Stwórcę świata, ateusz w i e r z y, że materya sa-

ma siebie stworzyła; katolik jest przekonany, że po śmierci czeka na niego żywot przyszły, materyalista wierzy, że wszystko na ziemi się kończy; chrześcianie wierzą, że Bóg zawarł prawdę w objawieniu swojem, hołdownicy wiedzy tegoczesnej wierzą, że „prawda zamieszkała na stałe w Warszawie, w pewnéj redakcy przy ulicy Marszałkowskiej“ (238). W innych znowu wypadkach prawda idzie na podział pomiędzy obozy przeciwne. W kwestyi np. o ile nagość w sztuce może być tolerowana, autor zaznacza, że w rzeczywistości widok malowanej lub rzeźbionéj nagości wzbudza w ogromnéj większości widzów płci innéj wrażenia i uczucia nic wspólnego nie mające z estetyką i jest podnietą rozwiązłości i zepsucia obyczajów; swoją atoli drogą, nie ulega wątpliwości, że ciało ludzkie jest wyrazem najwyższego piękna dotykalnego czy plastycznego na ziemi; nie istnieje także żadne prawo boskie lub przyrodzone, zabraniające przedstawiać to, co piękne, a więc nagość sama przez się nie jest grzechem, „bo inaczéj czyżby Pan Bóg stworzył na początku i stwarzał dotąd człowieka nagim”? (244, 245). Ponieważ jednak, niestety, trudno jest poznać, czy nagość jest przedstawiona w sposób zmysłowy czy nie, a olbrzymia większość ludzi nigdy się na tém nie pozna i nie potrafi tego rozróżnić (251), stąd wniosek, że przy znaném usposobieniu ogółu wszelkie nagości powinnyby być chyba umieszczane w muzeach i galeryach, do których, jak się przypuszcza, tylko więcéj obeznani ze sztuką uczęszczać zwykli (254). Należałoby téż i artystom postawić pewne wymagania. H. Siemiradzki np., w powszechnie znanych obrazach „Wazon czy kobiéta”, „W jaskini piratów”, „Taniec wśród mieczów”, szczególnie zaś we „Frynie” całą swą usilność zwrócił głównie na ciało, „głowę zaś traktował tylko jako konieczną część jego”, godziłoby się zaś żądać czegoś wprost odwrotnego, a więc, ażeby malarz w większą ekspresyę uposażał raczéj oblicze nie korpus (259—260). Na zamknięcie téj sprawy krytyk wzniośle powiada: „Piękna forma w żadnym razie nie usprawiedliwia zgniłéj treści, bo jeśli piękne ciało miałoby tłumaczyć rozpustę, to dla czegóż spryt wielki nie miałby usprawiedliwiać oszustwa, siła — grabieży lub rozboju, wielka nauka — pychy lub zarozumiałości” (305).

Tenże sam spór przeniesiony w innych rozdziałach na szerszą widownię, daje ks. Niedziałkowskiemu możność wypowiedzenia się z poglądami swemi na tak zw. beztreściowość w sztuce. Autor jest stanowczym przeciwnikiem tych, co w malarstwie dbają wyłącznie o tak zw. dobrą fakturę i obojętnie się zapatrują na wybór przedmiotu powołanego do uwydatnienia. Lübke, Witkiewicz i cała ge-

neracya współczesnych artystów tak zatracili pojęcie wyższego świata nad ten, który mają przed oczyma ciągle, że dla nich bitwa pod Grünwaldem i bitwa Bartka z Maćkiem o podarty siennik — to jedno; wszyscy więc oni, naturalnie, nietylko nie mają najmniejszego wyobrażenia o pięknie religii, ale nawet nie przypuszczają, że ono istnieć może" (II, 374). Rzeczą jest zrozumiałą — powiada — że aparat fotograficzny na to jest zrobiony, by zdjął pewną ilość portretów, nim się zużyje i wyrzucony zostanie, — żeby jednak człowiek na to się urodził, by namalowawszy tylko kilka pni, starych stołków i nagich piękności, spełnił swoje zadanie, to mogło wymyśléć tylko bezwyznaniowe wstecznictwo, które chce wszelkiemi sposobami człowieka napowrót zrobić bydlęciem i rzeczą, jak to bywało za czasów, kiedy kwitnął kult Dyonizosa i Dobréj bogini" (I, 331). Artyzm nie zwalnia od „obowiązków, jakie człowiek i współobywatel ma względem swych bliźnich i współbraci". Przykazanie, nie gorsz, równie jest świętém jak i niezabijaj. Co więcéj, „uczciwy człowiek łatwiéj przebaczy zabójcy śmierć i kalectwo swych dzieci, niż wszczepiénie w ich serca jadu cielesności i znikczemnienia" (333).

Znacznie cięższą niż z estetyką tegoczesną jest walka z głównemi prądami umiejętnych doktryn naszego czasu. Gdyby chodziło jedynie o materyalistów rozprawa z nimi nie przedstawiałaby może niebezpieczeństw groźniejszych. „Materyaliści chcą zaprzeczyć i znieść religię i dla tego umyślnie odwracają się od dowodów jéj prawdziwości; tyle to pomoże co strusiowi chowanie głowy w piasek, gdy go pościg dopędza" (II, 71). Ale są inne stronnictwa, kierunki i sekty mniéj może zatwardziałe, ale bez porównania wykrętniejsze. Pozytywista np. pozwala sobie niekiedy wycieczek przeciwko rzeczom zaświatowym, pomimo, że opierając się na spostrzeżeniu i doświadczeniu, nie ma prawa mówić o istotach niebieskich, czy są one rzeczywiste lub wymarzone, bo przecież ich nie obserwował. Uczeni z tego obozu grzeszą też nieraz niewiadomością rzeczy tak prostych jak ta, że „chrześcianizm nigdy nie łączył pojęcia nieba, gdzie Bóg wybranych swych szczęściem wieczném obdarza z niebem astronomiczném" (96). Ze swojéj strony ks. Niedziałkowski składa w przedmiocie tym nader doniosłe oświadczenie. „Rozum — pisze — ma prawo wymagać żeby między dogmatami nauki objawionéj i prawdami nabytemi drogą ludzkiéj umiejętności była zgoda zupełna, żeby objawienie od Boga pochodzące nie przeczyło prawdom naturalnym, których pewność jest oczywista lub dowiedziona... Nic dziwnego, że rozum chce dwa te rodzaje nauki poró-

wnywać z sobą i krytykować... Wiara nic nie ma przeciwko takiéj krytyce" (110—111).

Rozumié się samo przez się, że badania takie mają pewne swoje reguły i odbywać się muszą w granicach wyraźnie zakreślonych. Więcéj niż połowę drugiego tomu swéj pracy poświęcił autor na ilustracyę metód krytycznych, używanych w roztrząsaniach podobnych. Stwierdziwszy nasamprzód, że wiara styka się z nauką zaledwie w kilku punktach takich, jak początek świata, początek życia na ziemi, początek człowieka, dusza ludzka wolna, rozumna i „duchowa" (str. 117), ks. Karol Niedziałkowski, na dowód, że „krytyka naukowa nietylko nie obala, lecz owszem potwierdza w tych punktach nauczanie wiary", usiłuje twierdzenie to uwidocznić co do punktu pierwszego — to jest co do stworzenia świata, jak ono opowiedzianém zostało w pierwszych wersetach Księgi Rodzaju: „Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię"... W tym celu tłumaczy najpiérw, jak rozumieć należy dogmat kościelny, że „całe Pismo Św. jest natchnione od Boga" (120—123), powołuje się następnie na mgławiskową hypotezę Laplace'a, przyjętą przez Kanta i Herschell'a i niedawno poprawioną przez Fay'a (125), wykazuje błędność twierdzeń materyalistów o odwieczném istnieniu świata (129), zastanawia się nad wybiegiem metafizyków utrzymujących jakoby aktu stworzenia z niczego niepodobna było sobie wyobrazić (181), przytacza wreszcie cały poczet obliczeń matematycznych, zaczerpniętych głównie z dzieła prof. ks. Moigna „*Les splendeurs de la foi*" (Paryż 1872), świadczących o tożsamości rezultatów badań naukowych tegoczesnych z podaniem Biblii w przedmiocie Boskiéj genezy świata (135—142).

Nie będziemy wchodzili w rozbiór i weryfikacyę tych wywodów. Ze względu wszakże, że egzemplarz dzieła ks. Niedziałkowskiego, przeznaczony dla „Ateneum", przesłany został dla redakcyi „z prośbą o ocenę", recenzent, któremu zadanie to przekazaném zostało, uważa sobie za obowiązek nadmienić, że w okresie ostatnich lat kilkunastu zagadnienia poruszone w pracy księdza Niedziałkowskiego przeniesione zostały, w poważnéj literaturze zachodu, na grunt zupełnie inny. Pytań, o logicznéj, przyrodoznawczéj lub filozoficznéj prawdziwości tradycyi mojżeszowéj o stworzeniu świata, nikt już nie stawia i nie porusza. Postulat, umieszczony na straży tych kwestyi, że Pismo Św., w częściach swych zasadniczych, dotyczących interwencyi Istoty najwyższéj w sprawach tośwatowych, pozostaje po za granicami dociekań umiejętnych — nie tknięty i nie dotykany. Natomiast cała usilność uczonych skierowana została

ku temu, aby okazać, w jakim stanie przechowały się i do rąk naszych doszły dokumenta, które pomienioną interwencyę Stwórcy pierwotnie zaaktykowały. Egzegeza, czyli krytyka starych tekstów biblijnych, przeniosła się tym sposobem z górnych stref metafizycznych, w których błąkała się tak długo bez potrzeby i pożytku, na grunt dochodzeń poziomych konkretnych — przeważnie ligwistyczno-historycznych.

Nie uwłacza to bynajmniéj dziełu ks. Karola Niedziałkowskiego, którego poszukiwania obrały kierunek inny, nie lingwistyczno-egzegetyczny. Przeciwnie, należy się mu wdzięczność za to, w mierze swych sił i zasobów postanowił rozproszyć „gęstą mgłę rozmaitych bałamuctw i uprzedzeń“ (II, 160), jakiemi się przepoiła pewna część współczesnego piśmiennictwa naszego, mniéj więcéj lekko, bezbożnie i po dyletancku obchodząca się z „dumaniami o najwyższych zagadnieniach człowieka“. Szczerze wraz z autorem bolejemy nad tém, że u nas tak często nieuctwo w przedmiotach tych głos zabiera, utrzymując, jakoby wiara żadnéj pewności nie posiadała, tudzież, że rozumu przekonać ona nie może, że jest i powinna być ślepą, bez żadnych dowodów, że owszem dla tego samego," iż jest wiarą, dowodów swéj pewności mieć nie może“. Nie potrafilibyśmy sumiennie się przyznać do wszystkiego, co autor mówi w obronie „zasady chrześciańskiéj“; nie mniéj przecież żywo podzielamy oburzenie jego na tych co w chrześcianizm wmawiają przekonania „najzupełniéj jego nauce jak i zdrowemu rozumowi przeciwne, i z taką pewnością wystawiają *Credo quia absurdum* za jedyną pobudkę wiary naszéj, iż w końcu, stało się to pewnikiem u niewiernych i obojętnych, — a i z wierzących może nie jeden w prostocie ducha mniema, że tak jest w saméj rzeczy“ (II, 162). Godzimy się najchętniéj na zapewnienie ks. Niedziałkowskiego, że u katolików dzieje się wręcz przeciwnie, — że wiara ich pochodzi rzeczywiście od téj Istności najmędrszéj i najdoskonalszéj, która światło nie zaś ciemność do bytu powołała. Nawzajem, z uznaniem zapisujemy na rzecz niepodległéj myśli i niezależności badań świeckich, to wszysko, co ks. Niedziałkowski z naciskiem i pokilkakroć w swéj książce zaznaczył, ze stanowiska dogmatów Kościoła powszechnego, mianowicie, że pod warunkiem zgodzenia się na pewnik, iż świat został przez Boga stworzony, — reszta z tego zakresu „oddaną jest wolnym rozprawom, gorącéj i szlachetnéj ciekawości rozumu ludzkiego, i że wszystkie nauki kosmologiczne, astronomia, geologia, fizyka ogólna, mogą swobodnie poruszać się na tém polu niezmierzoném“ (II, 123).

J. T. Hodi.

KORESPONDENCYA.

Otrzymujemy artykuł następujący w kwestyi językowéj.

Chojenka i Choinka.

Znaczenie obu tych rzeczowników podług źródłosłowu.

Z drzew iglastych, z rodziny szyszkowych (*Coniferae*) najpospolitszy gatunek, Sosna zwyczajna (*Pinus silvestris rubra*) ma w języku naszym jeszcze dwie nazwy: Choja i Chojna.

Choja, wyraz dziś przestarzały (archaiczny) rzadko się używa, jedynie w znaczeniu zgrubiałem na mianowanie wielkiéj, wiekowéj sosny. Mówi się wtedy: „To stara choja", lub „To stare choisko". To ostatnie wyrażenie częściéj daje się słyszéć, jest pospolitsze.

Rzeczownik zdrobniały od choja „chójka", pomimo zamierającego swojego rdzenia, zachował całą żywotność w mowie pospolitéj i oznacza młodą, zdrową, jędrną „choję", czyli sosnę. „Młoda a jędrna, gdyby chójka w boru", mówi parobczak o dziewoi.

Chojna (nie choina) jest wyrazem równie u nas pospolitym, jak sosna. „Nie chojna cieniem chojna". Dwuznacznik ten można słyszéć w boru pod ubogą w igliwie sosną.

Od rzeczowników na „na" zakończonych, urabiamy zdrobniałe, dodając „ka" do czystego rdzenia, i wstawiając przed „n"—*e*, dźwię-

kowe (eufoniczne), ponieważ saméj spółgłoski wymówić nie można. Tym sposobem np. będzie:

od sosna—sosenka, nie sosinka;
od wiosna—wiosenka, nie wiosynka;
od wiśnia—wisienka, nie wisinka;
od studnia—studzienka, nie studzinka;
od stajnia—stajenka, nie stainka;
od panna—panienka, nie paninka;
od wojna—wojenka, nie woinka i t. d. bez wyjątku.

Wszystkie te zdrobniałe, jak widzimy, oznaczają małe pojedyńcze przedmioty.

Od rzeczownika zatém chojna rzeczownik zdrobniały będzie chojenka, nie „choinka". Jakoż chojenka oznacza małą pojedyńczą chojnę, czyli cudowne drzewko Zbawiciela, które przynosi mały aniołek, od gwiazdki nad czołem „Gwiazdką" zwany, z ziemskiego raju dla dobrych dzieci w wigilię rocznicy Bożego dzieciątka.

Zobaczmy teraz: zkąd powstała „choinka" pospolicie dziś, ale tylko przez dzienniki, używana zamiast „chojenki,"

Wszystkie rzeczowniki, od drzew urobione, przez dodanie końcówki „ina" są zbiorowe i oznaczają: albo części swojéj całości, albo lasy drzew jednogatunkowych, np.:

Od „brzoza" urobiona „brzezina", oznacza: albo porąbane szczapy brzozy, albo lasek brzozowy.

Podobnie od „dębu" urobiona „dębina", od „jodły" — „jedlina", od „chojny"—„choina" i t. d. słowem bez wyjątku, wszystkie drzewne na „ina" oznaczają szczapy porąbanego drzewa, lub lasy dębowe, jodłowe, chojnowe i t. p.

Od rzeczowników tych, drzewnych, zbiorowych na „ina" urobione zdrobniałe, muszą być także zbiorowemi i oznaczają w rzeczywistości małe laski młodych drzewek jednogatunkowych, czyli zagajniki.

Jakoż od „brzeziny"—„brzezinka" nie oznacza pojedyńczego drzewka, nie oznacza „brzozki". lecz lasek młodych brzózek, czyli zagajnik brzozowy, (Bitwa pod brzezinką. Brzezinka J. Kossaka).

Podobnie od „dębiny"—„dębinka", od „jedliny" — „jedlinka", od „choiny"—„choinka", słowem wszystkie te zdrobniałe pochodne nie oznaczają ani pojedyńczego „dąbka", ani „jodełki", ani „chojenki", tylko mały zagajnik dąbków, jodełek i chójek. (Gołe piaski, tu i owdzie pokryte choinką — to Mazowieckie morze ze swojemi kępami. W choince rosną zwykle najlepsze rydzyki i grzybki).

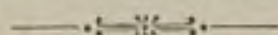
Wyrażenia zatém: „Choinka u wioślarzy", u „subiektów handlowych" i im podobne—nie oznaczałyby obrzędowego drzewka, ale zagajnik chojenkowy, któryby nie wiadomo z jakiéj racyi znalazł się u wioślarzy, u subiektów i u innych towarzystw.

Aby zachować zatém właściwość pierwiastka językowego i jasność pojęć, mówiąc o drzewku wigilijném, należy pisać: nie „choinka" lecz „chojenka" i nie „u wioślarzy" lecz wprost „Chojenka wioślarzy", albowiem przyimek „*u*" oznacza tylko „przyległość, miejscowość rzeczy", a brany w znaczeniu „należytości", wskazuje słaby rozwój pojęcia własności, które zwykle w języku naszym przez dopełniacz podmiotowy określamy.

Stefan z Opatówka.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.



Teodor Jeske-Choiński. „Gasnące słońce“. Powieść z czasów Marka Aureliusza, 2 tomy. Warszawa „Kuryer Warszawski“, Lewental (1895, str. 366, 349).

Ze wszystkich dotychczasowych, jest to najobszerniejsza kompozycya powieściopisarska p. Jeske-Choińskiego. Mógł w niéj okazać, czy talent jego potrafi zawładnąć znaczniejszemi grupami osób w artystycznem ich przedstawieniu, czy obrawszy temat rozległy, nie mający charakteru przygodnego, potrafi go rozwinąć tak, iżbyśmy jego ważność odczuć mogli.

Prócz tego „Gasnące słońce”, to pierwsza powieść historyczna autora, który zazwyczaj najświeższemi jeno objawami życia się zajmował, a jeżeli kiedy w przeszłość zaglądał, to chyba przez pryzmat legendy. A co innego jest opisywać ludzi, których codzień spotkać można, a co innego przenosić się w dusze czasów odległych, myślące i czujące po swojemu. Czy p. Jeske-Choiński ma zdolność spółczucia psychologicznego, czy umié nietylko myślą, lecz czasem i wyobraźnią tak się przejąć formami myślenia i czucia epoki odległéj, żeby w posługiwaniu się niemi nie czuł się obcym?

Na te pytania postaram się dać krótką, ale motywowaną odpowiedź.

Ułatwił sobie autor zadanie, utożsamiając niemal chwilę społeczną z epoką cesarstwa rzymskiego w ogóle, a rządów Marka Aureliusza w szczególności. Nie on pierwszy wpadł na to zestawienie, ale on pierwszy podobno zrozumiał je tak powierzchownie. Zdawało mu się, że dość rzucić garstkę szczegółów archeologicznych, zaczerpniętych z pierwszego lepszego podręcznika, ażeby nadać opowiadaniu koloryt dziejowy, choćby się zresztą obrazy życia rzymskiego tworzyło wedle szablonu stosunków warszawskich czy w ogóle wielkomiejskich. Ani jedna z jego postaci rzymskich nie żyje życiem rzeczywistém; to tylko często niekształtne posągi i posążki, z gruba wyciosane z drzewa, obdarzone zdolnością poruszania się i wypowiadania frazesów.

Na tle wielkiego chaosu pojęć bezbrzeżnego zepsucia i rospusty, które stosunkowo z największém jeszcze ożywieniem są kreślone, starał się autor przedstawić kilka charakterów dodatnich. Na pierwszém miejscu staje tu Publiusz Kwintyliusz Warus, potomek starożytnego rodu, sięgającego tradycyami kolebki państwa, mąż reprezentujący dawną „cnotę" rzymską, dzielny w boju, hojny względem ludu, oszczędny na siebie, prawy i szlachetny, ale srogi wobec wszelkiéj niekarności, niewzruszony w swoich przekonaniach, nieubłagany w raz powziętych postanowieniniach. Nie cierpi on chrześciaństwa, uważając je za zgubny dla potęgi rzymskiéj zabobon i wskutek tego przeświadczenia traci swe szczęście, gdyż pokochał dziewicę, która się przejęła zasadami wiary chrześciańskiéj. W pomyśle postać to bardzo piękna, bardzo podniosła, a tragizm jego losu wzruszyć-by mógł głęboko. Tymczasem cóż znajdujemy w powieści? Kilka ładnych tyrad dotyczących zepsucia Rzymu, parę dowodów stanowczości i nieugiętości woli, ale nic takiego, nawet w scenach z zasady swéj najpatetyczniejszych, coby nas wzruszyło. Jest to posąg bardzo poważnie, raczéj bardzo chmurnie wyglądający, nadziany wielkiemi, ale jednostajnemi frazesami, które przy każdéj sposobności — mniejsza o to, w porę czy nie w porę — z siebie wyrzuca. Sympatyi czytelnika posąg taki zyskać sobie oczywiście nie może.

A ta Mucya, ta szlachetna patrycyuszka, kochająca Publiusza Kwintyliusza, litościwa i zpowodu tego usposobienia lgnąca do chrześciaństwa, potém — na wzór nowożytny — w przebraniu męzkiém opatrująca rannych na polu bitwy, czyż ma w sobie choć cień kobiécości, lubo autor starał się ją jako ideał wystawić? Nie; każde niemal jéj odezwanie się — to jakby z wielkiém wytężeniem wydmuchnięty przez automat szereg aforyzmów kręcących się około dwóch osi: dumy patrycyuszowskiéj i wiary chrześciańskiéj. Coś tak nienaturalnego, tak szty-

wnego i pozbawionego życia jak ten ideał, chyba w bardzo dawnych jedynie powieściach odnaleźćby się dało.

Druga kobiéta rzymska, wykwintna Tullia Kornelia, mająca być wedle intencyi autora, zręczną, dowcipną, powabną kokietką, nie okazuje w ciągu utworu ani zręczności, ani dowcipu; powtarza parokrotnie wyszarzane wyrażenie dam spółczesnych: bierzemy panów w niewolę, lub skazujemy panów na towarzyszenie nam i t. p.; denuncyuje swoją krewną Mucyę jako chrześciankę, sądząc, że tym sposobem (o, naiwności!) potrafi przyciągnąć do siebie Publiusza Kwintyliusza; w końcu zawiodłszy się w swoich rachubach, nie dających dowodu, żeby sprytną przynajmniéj była, zażywa truciznę. Jak niemożna było zająć się szczegółami jéj życia i charakteru, tak i śmierć jéj pozostawia nas obojętnymi.

Oprócz osób fikcyjnych są w „Gasnącém słońcu" i historyczne. O nich powiedziéć można, że kontury ich nakreślone zostały trafnie; ale zbyt grubemi rysami, gdy należało się postarać o subtelniejsze.

I tak Marek Aureliusz, cichy, skromny, zajęty rozmyślaniami filozoficznemi, a nie gardzący także wróżbami i magią w kilku scenach, w jakich się ukazuje, przedstawia się nam ze sztywną godnością, ale nie pozwala nam wniknąć w głąb swéj istoty, z któréj przecież wypłynęło niepospolitéj wartości dziełko „O sobie samym". Myśliciel bolejący nad kruszeniem się potęgi państwowéj, zmuszony do tolerowania rozpusty swéj żony Faustyny, swego brata Lucyusza Werusa i swego syna Kommoda, domagał się innego traktowania, aniżeli u p. Choińskiego. Nie umié autor pokazać ludziom tego, co może w duszy starannie obmyślił. Druga osobistość historyczna w „Gasnącém słońcu" retor Lucyan, zwany Wolterem II-go stulecia, lichą odgrywa rolę w powieści. Zaproszony na ucztę dla rozweselenia gości, milczy przez większą część jéj trwania, albo téż rzuca zdawkowy frazes i dopiéro przy końcu występuje z historyą kłótni papy Jowisza i mamy Junony o Ganimeda. Zanadto ona rubasznym tonem opowiedziana, zabardzo przypomina Orfeusza w piekle i Piękną Helenę, a zamało daje poznać delikatny, ale ostry dowcip filozofa z Samosaty. Jak na ucztę, w któréj niczém się nie krępowano, zamało jest drastyczna, lubo sam temat (Ganimed) dostarczał tego pierwiastku podostatkiem.

I Minucyusz Feliks, głośny apologeta chrystyanizmu, zrobiony został szablonowo. Gdyby autor odczytał był jego „Oktawiusza", zamiast jakiego streszczenia z dziesiątéj ręki, mógłby był przemowie jego w pieczarach, w których się kryli chrześcianie, nadać charakter któryby przynajmniéj autentycznością celował, a pod względem pię-

kności i siły przewyższyłby to, co autor z własnego podał wymysłu. Mianowicie rozdział 37 tego dyalogu mógłby dostarczyć dla pisarza pojmującego znaczenie źródeł naszéj wiadomości o danéj kwestyi, materyału wybornie nadającego się do odtworzenia; tętni tam bowiem prawda życia chrześcian pierwotnych, wypowiedziana z energią i obrazowością, które nie domagają się ani wzmożenia ani odświeżenia. U p. Choińskiego brzmi mowa Minucyusza Feliksa bardzo pospolicie, bardzo ogólnikowo, chociaż jest jedynym obszerniejszym głosem chrześcianina, głosem, mającym przeciwważyć sceptycyzm filozofów lub też chaotyczne wyobrażenia tłumu pogańskiego. Autor z naciskiem przeciwstawia ożywcze prawdy wiary nowéj starym strupieszałym pojęciom, pragnie wykazać ich olbrzymie znaczenie, ale nie umié dobyć wyrazów z pod serca czy też płomiennego natchnienia — i jego też, rzecznika wiary,—ogarnia chłód zwątpienia.

Więcéj świeżości znajdujemy w drugiéj części powieści, poświęconéj narodom na pół barbarrzyńskim, które zrywają się do walki ze światowładnym Rzymem. Właściwy wątek powieściowy łączy Romę z temi narodami. Germanin ucywilizowany Serwiusz, prefekt legionów rzymskich nad Dunajem, przybywa do odwiecznego miasta z powodu porwania narzeczonéj swojéj, Tusneldy. Porwania dokonał dorobkowicz, wyzwoleniec Fabiusz, typ spanoszonych na nieprawych przedsiębiorstwach. Poszukiwania Serwiusza długo nie odnoszą skutku, gdyż przekupstwo, uprawiane przez wyzwoleńca, paraliżuje wysiłki Germanina. Nareszcie odnajduje on Tusneldę, skazaną jako chrześciankę, na śmierć. Dobrawszy sobie zastęp dzielnych gladyatorów, odbija on Tusneldę i Mucyę i ucieka z niemi w lasy swéj ojczyzny. Obrazy tych leśnych przestworów, życia prostego, upijania się piwem, zwad i rosterek między książętami germańskimi wykonane są lepiéj od obrazów życia rzymskiego, może dlatego, że mniéj są skomplikowane, że tu rysy grube zupełnie wystarczały, by odtworzyć osobistości i stosunki, w których subtelność i wykwint żadnéj nie odgrywają roli.

Wypowiadając atoli te słowa uznania dla niektórych części opisowych w przedstawieniu życia Germanów w 2-m wieku po Chrystusie, nie chcę przez to powiedzieć, żeby ta strona powieści wogóle była dobrą. Bo przedewszystkiém, jak poprzednio tak i tutaj osobistości i sceny są raczéj wyrazowo, niż obrazowo skreślone. Gdzie idzie jedynie o zaznaczenie stosunków w słowach mniéj lub więcéj abstrakcyjnych, tam autor znajduje się w swoim żywiole i przeciwko jego charakterystyce nic, albo niewiele dałoby się powiedzieć; ale gdy już idzie o odmalowanie sceny jakiejś, o unaocznienie jéj, talent powieścio-

pisarzowi nie dopisuje. Jest np. scena, w któréj Publiusz Kwintyliusz przybywszy do legionów naddunajskich, zastaje bunt i karze srogo tych wszystkich, którzy się karności wojskowéj poddać nie chcieli; wywleka na trybunę po jednemu z buntowników, potém ich ciska, by im łeb zdjęto. Powtarza się to razy kilkadziesiąt. Czy scena ta wywołuje jakie głębsze wrażenie? Chyba nie większe nad rzezanie sieczki. Wié wprawdzie czytelnik, że tu życie kilkudziesięciu ludzi idzie w niwecz, ale powieściopisarz nie umié dać mu tego odczuć; sam chłodny, nie potrafi obudzić wzruszenia w innych. Proszę odczytać te stronnice (tom II, str. 135—137), aby się przekonać, jak rzeczy pełne grozy w pomyśle, mogą utracić wszelkie znaczenie wskutek słabego i nieobrazowego wykonania.

W rozbiorze tym nie dotykałem wielu szczegółów, nie wymieniłem nawet wszystkich postaci, jakie się w powieści przewijają; ale dałem przykładowo kilka rysów, charakteryzujących sposób pisania p. Jeske-Choińskiego, który będąc publicystą i polemistą uzdolnionym, nie zdołał sobie w długoletniéj już praktyce powieściopisarskiéj przyswoić wyższego stopnia plastyczności, nie umiał się wgłębić w umysły i serca pokoleń przedzielonych od nas całemi dziesiątkami stuleci, nie potrafił ogarnąć jednym rzutem oka artystycznego tego tłumu osobistości, jakie do swego utworu wprowadził, nie wystudyował gruntownie epoki, jaką odmalować usiłował, więcéj dawał w określeniach i opisach, aniżeli w samém malowidle postaci i sytuacyi.

Styl p. Choińskiego jest zwięzły i jędrny; język wogóle mówiąc poprawny, ale nie wolny od różnych naleciałości germańskich, od których autor, wychowaniec szkół niemieckich, do téj pory nie umiał się wyzwolić. Parę takich naleciałości przytaczam: „zdawał się nawet *nie zauważyć*" (I, 221), „cudowność rzeczywista lub *robiona*" (I, 225), „aby *odczekać* w naszych lasach" (II, 281). Są także niepoprawne formy lub zwroty, jak: „*zwątpiona* dusza" (I, 276); „wola twoja jest prawem dla każdego Rzymianina, *nie wyjąwszy* małżonki" (II, 250, 278). Nie wiadomo też skąd się w Rzymie w II wieku znalazł papiér (nie papyrus I, 220). *P. Ch.*

H. Beaunis et A. Binet. **L'Année psychologique.** Première Année 1894. Paris, Alcan, 1895, str. 620.

Niezwykły rozwój literatury psychologicznéj i jéj liczne rozgałęzienia utrudniają w wysokim stopniu śledzenie nowszych zdobyczy w tym zakresie. Związek ścisły w jakim zostaje obecnie psychologia fi-

zyologiczna z naukami przyrodniczo-lekarskiemi, zwłaszcza zaś z anatomią i fizyologią układu nerwowego z fizyologią ogólną i psychiatryą, staje się przyczyną, że psycholog zmuszony jest zwracać się do najrozmaitszych źródeł i czasopism zupełnie obcych jego fachowi, a ostatecznie gubi się w tym nawale rozrzuconego materyału. W żadnéj więc może umiejętności skrzętne zebranie i możliwie przejęty przegląd olbrzymiego materyału nie stanowi zadania tak pożądanego, a jednocześnie tak trudnego, jak w psychologii.

Zadania tego podjęli się w rozpoczętym obecnie roczniku psychologii pp. H. Beaunis i A. Binet. Wydawnictwo to, prowadzone na wzór roczników filozoficznych Pillona, składa się z dwóch części. Pierwsza obejmuje większe prace oryginalne, druga—przegląd ważniejszych prac w tym zakresie w ciągu roku, zwłaszcza zaś artykułów z czasopism. „Zwracaliśmy na nie szczególniejszą uwagę, powiadają wydawcy w przedmowie; wyciągaliśmy z nich ważniesze tablice i niejako cały materyał użyteczny, tak, aby uwolnić czytelnika od konieczności udawania się do źródeł; taki był przynajmniéj ideał do którego dążyliśmy.“ W końcu znajduje się wyczerpujący wykaz wszystkich prac mających jakikolwiekbądź związek z psychologią, a wydanych w ciągu r. 1894. Prace oryginalne pochodzą przeważnie z pracowni psychologicznéj w Sorbonie, po części od współpracowników zagranicznych. W tym dziale umieszczać się też ma corocznie przegląd ogólny, dotyczący jakiejś ważniejszéj kwestyi. (W roku zeszłym jest to artykuł p. Delabarre „O organizacyi pracowni psychologicznych w Ameryce)."

Sprobujemy zdać tu krótką sprawę z ważniejszych artykułów tego działu.

Pierwsze miejsce zajmuje studyum Bineta i Henryego o „pamięci słów," które również jak i następujące, dotyczące „pamięci zdań“ przez tych samych autorów, nie pozbawione jest pewnego znaczenia dla pedagogii praktycznej; zdaje mi się tylko, że za wiele tu aparatu naukowego i za wiele miejsca poświęcono dla zdobycia wyników, do których każdy z łatwością przychodzi przez obserwacye nad sobą samym, a każdy nauczyciel—przez najkrótszą chociażby praktykę pedagogiczną. Oto np. wnioski co do sposobów, jakiemi utrzymują się w pamięci pojedyncze wyrazy (dyktowane bez związku z sobą): 1) przechowanie wyrazów jako dźwięków, 2) przez analogie z innemi wyrazami znajdującemi się w polu świadomości; 3) przez kojarzenie według styczności; 4) samowolne przypominanie słów z niczém się nie wiążących; 5) skierowanie uwagi i woli ku doświad-

czeniu wykonanemu; odtworzenie go, jako obejmującego wszystkie podyktowane wyrazy w jednéj całości.

Z poszczególnych wypadków na uwagę zasługuje jeden, dotyczący młodéj dziewczyny, obdarzonéj słuchem barwnym. Wymawiane wyrazy wyobrażała ona sobie, jako napisane na papierze białym farbą drukarską, zawsze tym samym, nieznanym jéj charakterem pisma. Papier ten widzi na odległości około 30 cm. (gdy odległość jasnego widzenia wynosi dla niej tylko 20). Na pytanie, czy obraz ten zasłania przedmioty znajdujące się dalej, nie mogła odpowiedzieć: „Gdy patrzę na wyraz napisany, nie uważam na lampę, (która stała nieco daléj), odpowiadała, gdy zaś uważam na lampę, nie widzę wyrazu."

Jednocześnie z tém wyobrażeniem wzrokowém każdy wyraz wywoływał w jéj umyśle wrażenie barwy zależne od jego pisowni. Wrażenie to jest dość nieokreślone. Z 49 wyrazów jeden tylko wywołał wyobrażenie wzrokowe przedmiotu i to nie bezpośrednio. Był wyraz *panier* (koszyk); na dźwięk tego wyrazu wyobraziła go sobie napisanym na papierze w kojarzeniu z barwą żółto-szarawą i pomyślała jednocześnie o pewnej osobie (pani Pagnet) w kojarzeniu z barwą różową. Lecz wiedząc, że eksperymentator nie może znać téj osoby, wpadła na myśl o koszyku, który wyobraziła sobie jako przedmiot.

Doświadczenia nad pamięcią zdań odbywały się w ten sposób: czytano krótkie lub dłuższe opowiadanie i kazano je napisać. Doświadczeń tych wykonano w 4-ch szkołach początkowych w Paryżu na 510 uczniach. Odpowiedzi te są poddane analizie szczegółowéj, któréj wyniki przedstawione graficznie i statystycznie. Wnioski ogólne do których przychodzą autorowie, są następujące: 1) pamięć zdań (czyli myśli) wzrasta z wiekiem chociaż słabo lecz stale. 2) W niektórych bliżej określonych warunkach jest ona 25 razy większa niż pamięć pojedynczych wyrazów. 3) Ilość opuszczeń wzrasta szybko w miarę długości zdań: dla zdania z 20 wyrazów wynosiła ona $^1/_{80}$; dla szeregu zdań z 80 wyrazów, doszła do $^1/_3$. 4) Ominięcia stosują się do części ubocznych opowiadania. 5) W tekstach krótkich częstsze są zastąpienia wyrazów ich synonimami, niż opuszczenia zupełne; w tekstach długich dzieje się odwrotnie. 6) Dzieci wykazują skłonność do uproszczenia tekstu i zastąpienia wyrazów dyktowanych przez pospolitsze synonimy; 7) przypominając zdania nieco dłuższe, zmieniają zlekka ich scenę; zmiana ta bywa dwojaka: intelektualna i emocyonalna.

Prócz tych dwóch większych prac z zakresu psychologii doświadczalnej, znajdujemy kilka mniejszych: p. Week w swoich *Recherches phonetiques* komunikuje wyniki doświadczeń nad ciśnieniem powietrza w ustach podczas mówienia, oraz nad ruchami języczka. P. Flournoy — o „wpływie otoczenia na ideacyą, wypadek uosobienia złudzenia wagi.“

Wyniki p. Weeka są, że współgłoski, jak *p*, *t*, *k* (w języku południowo niemieckim) wymagają większego ciśnienia powietrza, niż *b*, *d*, *g*.

Doświadczenia p. Flournoy nad ideacyą odbywały się w ten sposób: osobę badaną proszono o zrobie dziesięciu rysunków na papierze, o napisanie dziesięciu wyrazów bez związku z sobą i o wskazanie pięciu czynności, wykonalnych w danym pokoju. Z tych danych na podstawie rozmaitych kombinacyj, starał się autor oznaczyć ilość tych, które mogły być nasunięte przez otoczenie (znajdujące się w pokoju przedmioty i t. p.) i oznacza wpływ jego jako decydujący w 15,7% na rysunki, w 37,2 na wyrazy. Jednak zbyt tu chwiejny jest punkt oparcia dla rozklasyfikowania rozmaitych wpływów, ażeby liczby te miały jakąś wartość, tém bardziej, że niewyjaśnionych zostaje wśród pierwszych 42,7%, wśród drugich 49,7, t. j. około połowy.

Pod nazwą „uosobienia" opisuje ten sam autor wypadek, w którym pewne wyrazy wywołują stale wyobrażenia jakiejś osoby (czasem zwierzęcia). Obserwowany p. M. F. jest młodzieńcem 19-to letnim, studentem literutury. Wyrazom np. *lundi* i *jeudi* odpowiada obraz młodego człowieka, smutnego, zamykającego oko palcem wskazującym. *Mardi* — człowiek kradnący przedmiot z tyłu położony—jaki przedmiot tego badany nie widzi, i t. d. Są to zapewne wyniki jakichś kojarzeń bardzo dawnych (obrazy te łączą się z wyrazami tak dawno jak sięga pamięć p. M. F.), które w skutek jakichś wyjątkowych warunków silnie utrwaliły się w pamięci.

W trzecim komunikacie zdaje sprawę ten sam autor z wpływu widzialnej wielkości przedmiotu na ocenę jego wagi. Dziesięć przedmiotów rozmaitéj objętości ale ściśle jednakowéj wagi, dawały się do oceny ich ciężaru 80 osobom. Wszystkie prawie układały je w porządku objętości. Złudzenie to jest tak silne, że oddziaływa nawet na osoby, które wiedzą o jednakowej wadze przedmiotów, a nawet na samego autora, który je wielokrotnie ważył i doprowadzał do równej wagi. W 31 z tych doświadczeń wykluczony był wpływ wielkości powierzchni zetknięcia przez zawieszenie przedmiotów na nici z pierścionkiem, za który je brano do próby. Autor

wnosi na podstawie tych doświadczeń przeciwko uczuciu inerwacyi (t. j. bezpośredniéj ocenie siły napięcia mięśni).

Najciekawsze ale i najmniej ściśle naukowe jest studyum pp. Bineta i Passy nad „sposobem tworzenia u rozmaitych autorów dramatycznych.“ Wiadomości tu zużytkowane wzięte są przeważnie od samych autorów jak Sardou, Aleksander Dumas (syn), Alfons Daudet, Pailleron, Edmund Goncourt, Franciszek Coppé. Do tegoż rzędu należy osobny artykuł Bineta o Franciszku de Curel.

Za przykład dwóch zupełnie przeciwstawnych typów twórczości (przypominających w części przeciwstawność między Schillerem a Göthem, która zresztą u autorów francuskich posunięta jest jeszcze dalej), służyć mogą Sardou i Dumas. Pierwszy wypracowuje. swoje dramata, zbiéra do nich skrzętnie materyały, przerabia i poprawia bez końca; drugi nosił myśl dramatu w głowie dopóki się zupełnie nie sformułowała, później siadał i pisał, a nie myślał o nowym, zanim nie skończył pierwszego.

U Sardou punkt wyjścia bywa rozmaity, ale wykonanie zawsze metodyczne.

Oto jest najpospolitszy wypadek: „za punkt wyjścia służy jakaś sytuacya panująca, którą formułuje i stawia przed rozpoczęciem pisania, jak równanie algebraiczne. Tak było np. z dramatem *Patrie*. Trzy osoby skupiają tu na sobie całą akcyę: mąż, żona i kochanek. Autor zadał sobie pytanie: jaką jest największa ofiara, którą może ponieść patryota dla ojczyzny i odpowiedział na nie tak: niech ten człowiek, obrażony w stosunkach małżeńskich, wyrzecze się zemsty i przebaczy, dla tego, że kochanek jego żony niezbędny jest dla kraju. Postawiwszy tak kwestyę, Sardou wysnuwa z niéj wszystkie następstwa logiczne: wyszukuje wypadki, które powinny były nastąpić przed sceną główną i po niej. Najsamprzód pomyślał spisek dla uwolnienia ojczyzny od najeźdzców, a z obu mężczyzn uczynił spiskowców. Późniéj zaczął myśléć nad tém, w jakim kraju i w jakim czasie umieścić akcyę, aby ją uwydatnić jaknajlepiéj. Długo wahał się przenosząc pole działania z Wenecyi do Hiszpanii; wreszcie wybrał Flandryą w epoce panowania hiszpańskiego. Znalazł odpowiednie otoczenie: w księciu Alba ciemiężyciela słynnego z dzikości, a obok tego uciemiężonych zdecydowanych do zrzucenia jarzma narodu, do którego czuli nienawiść rasową i religijną. Aby zaś uczynić kobietę jeszcze wstrętniejszą, zrobił z niéj denuncyantkę.“

W innych wypadkach za punkt wyjścia służyła sytuacya komiczna *(Divorçons)*, gdzieindziéj jest nim charakter, który należy uwydatnić *(Rabagas)*, lub warunki miejsca i czasu *(Théodora)*.

Sardou ma zawsze z sobą papier i robi notatki, gdziekolwiek mu przyjdzie myśl.

W pokoju ma z pięćdziesiąt tek, każda z tytułem pewnéj sztuki, zawierających w sobie stopniowo gromadzony do niéj materyał; jedne z nich są już blizkie wykończenia, inne zaledwie naszkicowane. Często leży tam parę notatek lub wycinek z gazety. Są takie sztuki, które czekają na opracowanie; wiele jest takich, które nigdy go się nie doczekają,

Dopóki sztuka nie dojrzeje w myśli, Sardou hamuje werwę pisarską, czasem tylko szkicując urywki dyalogów. Gdy już wszystkie szczegóły są obmyślane, wtedy dopiéro bierze się do pisania, co robi przejmując się zupełnie uczuciami wyprowadzonych osób. Pisząc wyobraża sobie grających aktorów.

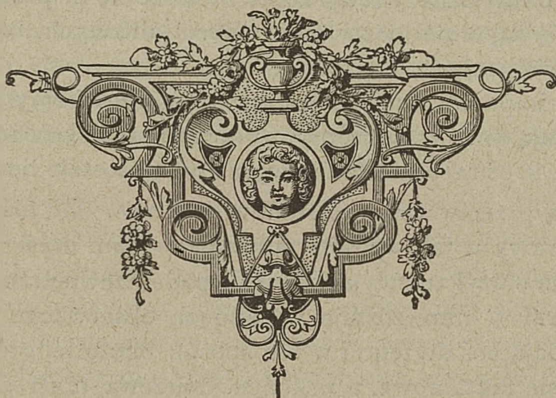
Lecz te improwizacye nie stanowią jeszcze formy ostatecznéj sztuki. Ulegają one tysiąckrotnym poprawkom i skróceniom, przeróbkom, tak, iż ostatecznie żaden wyraz nie pozostaje bez zmiany.

Zupełną przeciwstawność stanowił Dumas. On nie zdawał sobie nawet sprawy w jaki sposób powstaje w nim myśl sztuki. Za punkt wyjścia służył tu zwykle jakiś wypadek zewnętrzny, który go uderzył. Myśl o nim zostaje w pamięci; obserwacye z życia potocznego dodają coś do tego i w ten sposób około téj głównéj myśli krystalizują się fakta nowe, a w końcu dojrzewa myśl sztuki. Dumas nie pisał scenaryów, uważając, że na to traci się niepotrzebnie natchnienie; nie używał żadnych środków podniecających do pracy: przeszkody zewnętrzne nie psuły mu natchnienia: przyjaciel przychodzi zabiera go w środku pracy na partyę bilardu, po któréj Dumas wracał i pisał w dalszym ciągu od punktu w którym mu przerwano. Gdy plan sztuki dojrzał w myśli, wtedy siadał i pisał ją od początku do końca, bez żadnych poprawek. Gdy pisał, był w dobrym humorze, jadał i sypiał więcéj, w ogóle czuł się zdrowym, jak człowiek, który wykonywa normalnie czynności swoje.

Czasem podczas pisania napotykał na jakąś trudność w sytuacyi i upływało nieraz kilka tygodni, nim ją przezwyciężył. Nie czytywał on krytyk, tłumacząc się tak: „Jeśli sztuka moja jest zła, to już zapóźno na poprawę: ani dziennikarze, ani ja sam nie możemy nic w niéj zmienić.”

Nie będziemy śledzić daléj szczegółów tego ciekawego studyum. Powiemy tylko kilka słów o drugiéj części rocznika poświęconéj sprawozdaniom. Obejmuje ona $^2/_3$ tomu i podzielona jest na działy i poddziały bardzo szczegółowe, jak np. 1) Histologia, anatomia i fizyologia, układu nerwowego; 2) Wrażenia wzrokowe; 3) Wrażenia słuchowe. 4) Dotyk i inne zmysły; 5) Poczucie rytmu i czasu i t. d. Każdy z tych podzielony jest znowuż, przez co szukanie jest niezmiernie ułatwione.

Wł. M. Kozłowski.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— **Ciało człowieka.** Wykład poglądowy anatomii człowieka. Z tekstem objaśniającym dr. *M. Flauma.* Nakład Teodora Paprockiego i S-ki w Warszawie, 1896. — Wstępną swą prelekcyę w akademii lekarskiéj sławny anatom Hirschfeld zakończył słowami: „A starożytny filozof, wymawiając swoje—*nosce te ipsum*—niezawodnie anatomię miał na widoku". Choćby zresztą ów filozof starożytny o czém inném, a nie o anatomii myślał, znajomość budowy własnego naszego ciała jest dla każdego pożyteczną, a książeczka, o której mowa, znajomość tę ułatwia przy pomocy tablicy, rozkładającéj się na pięć oddzielnych tablic, które przedstawiają kolejno rozmaite przecięcia i różne części ciała ludzkiego, — szkielet, układ mięśniowy, krwionośny, wnętrzności wreszcie. Tablica piąta jest najmisterniéj ulepiona, odsłaniając bowiem części, z których się składa, znajdujemy przecięcie płuc, serce i jego przecięcie, tchawicę, oskrzela, daléj przełyk, żołądek i niższe części przewodu pokarmowego, nerki, moczowody i pęcherz moczowy. Nie daje to wprawdzie o budowie ciała pojęcia jaśniejszego, aniżeli zwykłe rysunki, dobrze wykonane, ale niewątpliwie zaciekawia bardziéj młodego czytelnika i do nauki zachęcić może. Dla układu nerwowego na tablicach tych miejsca nie ma, wynagradzają to wszakże rysunki w tekście zamieszczone. Inne jeszcze rysunki przedstawiają niektóre części szkieletu, mięśnie kończyn, ogólny obraz rozkładu naczyń, schematyczne wyobrażenie obiegu krwi, wreszcie budowę oka i ucha. — Organy płciowe zupełnie są pominięte, bez wszelkiéj zatém drażliwości tablice i rysunki okazywane być mogą dzieciom.

Co się tyczy tekstu, jest on zbyt treściwym, by z korzyścią mógł być czytany przez osoby, nieposiadające pewnych już wiadomości anatomicznych. Sam tytuł zresztą zapowiada, że jestto tylko wyjaśnienie tablic. Natomiast dla nauczycieli i nauczycielek tekst będzie bardzo pożądany, daje im bowiem należycie i dokładnie zebrane słownictwo anatomiczne, które w podręcznikach zoologii zwykle niedostatecznie jest zestawione i którego szukać trzeba w dziełach lekarskich. W każdym razie szkoda, że wydawcy zbyt mało miejsca, bo tylko 16 stronic autorowi wyznaczyli; gdyby mógł rozpisać się nieco obszerniéj, połączyłby niewątpliwie opowiadanie swe z wiadomościami fizyologicznemi, bez których z natury rzeczy wykład anatomii pozostaje suchym; w każdym razie dla uczącego się książeczka ta być może pożądaném uzupełnieniem podręczników zoologii, w których często na budowę anatomiczną człowieka zbyt mało zwraca się uwagi. Jeżeli autorowi zarzut jaki zrobić możemy, to chyba co do wyrażenia w końcowym ustępie o organach czucia, gdzie czytamy, że za pośrednictwem tych organów otrzymujemy wrażenia „o ciepłojemności". Ma to być zapewne o temperaturze poprostu.

— *Esteja.* **Mgławica**, powieść, dwa tomy. Warsz. S. Lewental 1895, str. 229, 225. — Mgławicą nazwała autorka bohaterkę swego opowiadania, Halkę, a znaczenie téj nazwy wyjaśniła słowami jednéj z osób, która określa mgławicę temi słowy: „To nie planeta, ani gwiazda stała, choć posiada własności stałéj gwiazdy. Z niéj i w niéj gwiazda utworzyć się może, ale, zanim się utworzy, przedstawia chaos; do mgły podobna, niewyraźna, niepochwytna, zimna, świeci słabém światłem, ale ogrzewa. Nikt jéj nie rozumié. Przypuszczać można, że zawiéra w swéj mglistéj formie wszelkie pierwiastki, ale co z siebie pierwiastki te wydadzą i czy co wydadzą?" (II, 28). Halka, córka wysoko skoligaconych, lecz zubożałych rodziców, zostawszy po śmierci ojca pod wyłącznym kierunkiem matki, kobiéty próżnéj, pragnącéj błyszczéć nazewnątrz kosztem bodaj największych nawet ofiar w trybie życia codziennego, oraz brata, egoisty, cynika, skrywającego do czasu popęd marnotrawczy, wyrobiła się z czasem na dziewicę piękną, chłodną, zamkniętą w sobie, dowcipną, okazującą niekiedy energię wielką, lecz niezdolną do przetrzymania dłuższéj walki codziennéj. Kochała ona towarzysza swych zabaw dziecinnych, lecz odmówiła mu ręki swéj, gdyż był biedny, cofnęła tę odmowę, gdy nań spadla sukcesya; wówczas jednak mężczyzna, dotknięty w najgłębszych uczuciach serca swego, odbiera sobie życie. Halka czuje, że obraz tego człowieka

zostanie nazawsze w jéj pamięci i gnębić będzie jéj duszę; to też pod wpływem pierwszego popędu chce zerwać z bogatym swym narzeczonym, dzielnym Czesławem, niecierpiącym kłamstwa, fałszu i obłudy. Ale perswazya brata, który grozi jéj (rozumié się podstępnie tylko) samobójstwem swojém, nakłania ją do przybrania zimnéj na twarz maski i odpowiedzenia na pytania narzeczonego, dotyczące sprawy jéj serca,—kłamstwem, wyparciem się swych uczuć dla tego, co dla niéj śmierć sobie zadał. Czesław kochał Halkę gorąco, namiętnie, był przytém nadzwyczaj delikatny, nie narzucający się, ale stanowczy; pracował na zagonie usilnie, zabaw hałaśliwych i rojnych nie znosił. W młodém małżeństwie zapanował przymus oczywiście głównie z powodu Haliny, która czując się winną kłamstwa i w pierwszych przynajmniéj dwu latach mając wciąż na pamięci gnębiącą ją twarz samobójcy, zamknęła się w sobie, spełniając obowiązki żony i gospodyni mechanicznie jedynie. Ile można, robiła dobrze ludziom; z nudów zapewne zbliżyła się do miłéj, uprzejméj, wesołéj żony rządcy; ale wdrożona wychowaniem żyłka do pomiatania niższymi sprawiała, że gdy przypadkiem goście znaleźli się w pałacu, to żona rządcy traktowana była przez Halkę z góry, a dopiéro po ich odjeździe następował nowy przypływ uprzejmości dla niéj. Atoli jeśli rządczyni, zrażona témi kapryśnemi przypływami, dobrowolnie zaczęła się usuwać od wszelkiego spoufalenia z Halką, to rządca sam do niéj się zbliżał coraz bardziéj. Był to człowiek utalentowany, skłonny do wypowiadania paradoksów, fatalista, z dobrze wygimnastykowanym umysłem, ambitny, wrażliwy, spragniony szerszéj działalności, wykonywający obowiązki swego fachu pilnie, lecz bez zamiłowania. Wiedział on, że jest pobocznym bratem Czesława, a nie mogąc wystąpić ze swemi prawami, burzył się w duszy na niesprawiedliwość losu i ustaw społecznych, usprawiedliwiając po części w najtajniejszym zakątku swéj duszy przywłaszczenie tysiąca guldenów z majątku Czesława. Poczytywał je wprawdzie za pożyczkę tylko, którą zamierzał z czasem zwrócić i jakoż zwrócił ją rzeczywiście, ale już po ujawnieniu się jego postępku, który mu, na wstawienie się Halki, jeszcze jako narzeczonéj, darował Czesław. Halka lubiła z Kilańskim rozmawiać i flirtować nawet wówczas, gdy została matką. Co większa, wtedy, gdy zaczynała uczuwać miłość do męża, zaszedł kulminacyjny punkt w stosunku do Kilańskiego, którego nie kochała; namówiona przez rządcę do odbycia wycieczki ku samotnie położonéj leśniczówce, ledwie miała dość siły, by się obronić od uścisków... Tymczasem dziecko zachorowało. W trwodze o życie jego, ulegając znowuż pierwszemu popędowi, opisała się czarno w liście do męża i list ten natychmiast po jego przybyciu do domu,

oddała mu, lękając się zapewne, ażeby jéj potém nie zbrakło odwagi. Łatwo sobie wyobrazić, jakim ciosem dla Czesława, czczącego prawdę, było dowiedzenie się, że od samego początku znajomości swéj z Halką kłamstwo, fałsz i obłuda z jéj słów i zachowania się sączyły. Teraz nie wierzył już w jéj skruchę i poprawę, lubo kochał ją ciągle; przymuszonym chłodem i mimowolnemi wybuchami gwałtowności doprowadził Halkę do pragnienia śmierci; gdyż wtedy dopiéro, jak sądziła, da się przekonać mąż, iż teraz przynajmniéj fałszem się nie kierowała. Zapadła istotnie w chorobę, pozyskała przebaczenie i zmarła, błagając, by Czesław żył dla syna. Z treści powyższéj widać, że ulubiony temat Estei, flirt, i w tym utworze bardzo wielkie zajmuje miejsce, chociaż nie tak wyłącznie jak w innych. W odtworzeniu flirtu okazuje, jak zawsze, Esteja najwięcéj uzdolnienia, gdy inne motywy, bardziéj patetyczne, blado się w jéj opowiadaniu zarysowują. Studyum takich charakterów jak Halka i Czesław przedstawiało dużo materyału do powieści psychologicznéj, ale Esteja słabo z niego skorzystała; mianowicie postać Halki, bardzo skomplikowana, pomimo że wciąż się na kartach powieści znajduje, nie tłomaczy się dostatecznie wobec czytelnika, gdy np. uboczna osobistość namiętnéj, wesołéj, ekspansywnéj duszy, lubo szkicowo traktowana, uplastycznia się doskonale. Czesław jako charakter jednolity również dobrze i konsekwentnie jest w całéj powieści przeprowadzony.

= *Zygmunt Niedźwiedzki.* **Grzech.** Nowele i szkice. Kraków. Nakład autora 1895, str. 236. Piąty już z rzędu zbiorek szkiców puszcza w świat p. Niedźwiecki. Talent jego, wzorowany widocznie na utworach Maupassanta ani się zmienia, ani rozwija. Jakim się przejawił w „Słońcu,“ takim pozostał i w „Grzechu. Zalety jędrności i zwięzłości opowiadania, obok niepospolitéj plastyki i barwnego języka znajdują się tu obficie, jakkolwiek w różnych szkicach występują z siłą różnorodną. Najulubieńszym tematem pozostała sfera stosunków płciowych, przedstawiona wyłącznie ze strony zmysłowéj. Samolubstwo, interesowność, wyrachowanie, chęć popchnięcia do upadku, uskuteczniana przez kobietę już upadłą, jednem słowem, te wszystkie motywy, które człowieka najwięcéj zbliżają do zwierzęcia, są ze spokojem najzupełniejszym rozwijane w szeregu obrazków z przygód życia powszedniego wziętych. Najdrastyczniejszym ze wszystkich zawartych w zbiorku, jest szkic p. t. „Zastępca,“ niemożliwy do streszczenia w słowach nie obrażających uczuć delikatniejszych. W „Odkryciu“ rzemieślnik przekonawszy się, że żona jego należała przedtém do innego, wpada w gniéw i żadne zapewnie-

nia, że się to już więcéj nie powtórzy, nie mogą uspokoić jego wzburzonego serca, dopiéro wiadomość, że w skutek owego stosunku popowstał fundusz złożony w kasie oszczędności, przyprowadza go do równowagi. W „Siasi“ przesyt rozkoszy miłosnéj uwydatniony bardzo znamiennie, a zarazem wyrachowanie kobiety, by się wydać za innego. Ale dość tych przykładów. Rozważny czytelnik zrozumié, co ma sądzić o takich opowiadaniach, rozwijanych ze swobodą kawalerską, bez wielkich omówień. Są naturalnie w „Grzechu" i inne tematy, lecz z małemi wyjątkami, słabiéj wykonane. Zaraz naczelny szkic, od którego zbiorek przybrał tytuł, wystawia w sposób dość bezbarwny demoralizujący wpływ znalezionéj sumy pieniędzy na umysł lekkomyślny a żądny użycia. W „Urlopie" przedstawione są nudy starego urzędnika, który na starość, przez kolegów namówiony, zażądał raz w życiu urlopu. W „Małpie“ wybornie są odmalowane zabiegi rodziny, która musi ubiegać się o względy zwierzęcia, gdyż umierająca kobieta z jego życiem związała pobieranie dochodów od spuścizny. W „Wigilii" odtworzona doskonale złość robotnika, zbierająca się w duszy przez całe tygodnie, a wywarta na najbliższych sobie w dzień odpoczynku i przygotowań do pamiątkowéj skromnéj uczty. W „Synowéj" wystawione dążenie skąpca, by jaknajmniéj wydać na ożenienie się syna; udaje więc przed wszystkimi, że na związek jego nie zezwala, a gdy ten pomimo to pojął żonę, niespodziewanie przyjmuje fakt spełniony nie tylko bez gniewu, lecz z tajoną radością. „W drodze" opowiedziana została przygoda młodzieńca, który pięknością jednéj z aktorek pociągnięty, opuścił szkoły, przystał do trupy, ale, że nie okazał żadnego uzdolnienia, porzucony został podstępnie w czasie wędrówki do nowego miejsca pobytu. Życie aktorów prowincyonalnych i naiwność młodzieńcza oddane tu są rysami delikatnemi, ale niezmiernie trafnemi. Niektóre szkice są w tym zbiorku powtórzone z poprzednich („Za piecem“ i t. p.). Język wszędzie bardzo poprawny; zawiłości i niejasności nie spotyka się nigdzie.

Klemens Bąkowski. **Humoreski z życia prawniczego**. Kraków. 1895, str. 77. P. Bąkowski, adwokat w Krzeszowicach, występuje, jak się zdaje, po raz pierwszy z utworami treści nowelistycznéj. Utwory te nazwał „humoreskami“ wedle powszechnie przyjętéj u nas terminologii, która każdy żart, każde wesołe odezwanie się, każdy dowcip, a nawet koncept zalicza (całkiem niewłaściwie w znaczeniu estetycznem) do dziedziny humoru. Naprawdę pierwiastku tego w szkicach p. Bąkowskiego nie ma; znajduje się tu natomiast

sporo wesołych anegdot ze stosunków prawnych, rozważanych z punktu widzenia komicznego lub satyrycznego. I tak w „Wizytacyi sądu“ zabawnie przedstawione są kłopoty barczystego i rumianego sędziego, który się wybrał z przyjacielem na polowanie, a tymczasem w drodze spotkał prezydenta, który jechał na lustracyę sądu. W szkicu „Małżeństwo i prawo“ są dowcipnie dosyć zastosowane termina prawne dla określenia rozmaitych stosunków w życiu małżeńskiém. Więc np. małżeństwo, jest to kontrakt losowy, gdyż strony zawierające go zawsze ryzykują. Pertraktacye o zawarcie kontraktu, zwą się konkurami, punktacye—zaręczynami, jednak punktacyi tych nie są obowiązane strony dotrzymywać" i t. p. Albo też: „Jeżeli małżonka jest taktowna i przed obcymi nie zdradza swéj przewagi, natenczas mąż wobec osób trzecich uchodzi przez prawne domniemanie za pana domu: do niego przynoszą kupcy swe tabele płatnicze; przekazy żony; on przyjmuje służbę, najmuje mieszkanie, płaci od porannego *morgengabe* na bułki, aż do wieczornego zamknięcia rachunku bieżącego, płaci i płaci, używając miłego złudzenia, iż jest panem domu." Tym tonem, nie zawsze swobodnym, i tym stylem, niezawsze poprawnym, pisane są i inne szkice mniéj lub więcéj zabawne i dowcipne: „Sprawa kryminalna," „W labiryncie sądowym," „List rozwodowy," „Na egzekucyi." Wyśmianie erudycyi stosowanéj do drobiazgów, przedstawia odczyt historyczno-prawniczy „O mizerce." Prostemi anegdotami są takie rzeczy, jak „Zawłaszczenie wyspy," „Adwokat i dziewięćset świń i t. p." Dołączone na końcu poezye prawnicze: „prowizoryum," „Weksel," „Na swojską nutę," „Bajka, „Testament" —nie odznaczają się wytwornością dowcipu ani wielką łatwością rymowania. W każdym razie zbiorek można odczytać bez znudzenia, chociaż wyższéj wartości literackiéj przyznać mu trudno.

Najnowsze kierunki w nauce gospodarskiej. Odczyty wypowiedziane w sali wszechnicy w Genewie staraniem chrześciańskiego towarzystwa ekonomii społecznej w Szwajcarji—przekład *Dr. Zofii Daszyńskiéj*. Nakład Konst. Trepte. Warszawa, 1896. Książeczka ta któréj przedewszystkiém zarzucić trzeba niewłaściwie dobrany tytuł, gdyż nie tyle jest streszczeniem główniejszych prądów współczesnéj ekonomii politycznéj ile zaznaczeniem panujących kierunków polityki socyalnéj, to tłómaczenie bardzo dobre i sumienne odczytów, mianych przez przedstawicieli przeróżnych kierunków socyologii w Genewie w 1890 r. Pierwszy zabiera głos Claudio Janet profesor instytutu katolickiego w Paryżu, charakteryzując poglądy szkoły Le-Play'a, autora

„Monografii robotniczych,” poglądy które najjaśniéj wypowiada w następującém zdaniu: wszystkie reformy społeczne powinny wynikać ze współdziałania religii, rodziny, miłosierdzia pojętego w najszerszém znaczeniu, z opieki kierowników przemysłowych (patronów), z samopomocy samych zainteresowanych, którzy łączą się w swobodne i dobrowolne stowarzyszenia, wreszcie państwa, które nakazuje poszanowanie sprawiedliwości i spełnia swe obowiązki, zapewniając obywatelom spokój.” Drugi z rzędu odczyt został wypowiedziany jędrném słowem prof. ekonomii politycznéj w Montpellier Karola Gide, a jest wyrazem poglądów tak zwanéj szkoły nowéj.—Za określenie tej grupy ekonomistów uważać trzeba zdanie Gide'a, że należą do niéj wszyscy ci, co nie należą ani do szkoły katolickiej, liberalnéj, ani do socyalistycznéj. Zaliczyć więc tu trzeba socyalistów „państwowych“ jak Ad. Wagnera, Laveley'a oraz ich stronników, daléj szkołę historyczną stworzoną przez Roscher'a a liczącą do grona swych pracowników i wyznawców: Brentana, Schmoller'a i innych ekonomistów-socyologów jak Schaeffle i Wallace, indywidualistów anglo-amerykańskich, nakoniec takie powagi jak Jevons lub Menger. Hasła téj szkoły wypowiada Gide temi słowy: „Nie należy przesądzać zgóry, że dzisiaj panujący porządek ekonomiczny jest dobry sam w sobie, ani nawet najlepszy z istniejących; uważać stosunki dzisiejsze nie za stały i konieczny bieg rzeczy, ale za rezultat długiego szeregu przyczyn poprzednich, którego przeznaczeniem jest ulegać stopniowym zmianom w kierunku silniéj uwydatniającéj się solidarności, żądając przytem interwencyi państwa, które przeobrazić powinno środowisko społeczne.” Ostatni odczyt wypowiedział członek Akademii paryskiej Fryderyk Passy, streszczając poglądy szkoły liberalnéj, któréj twórcą jest Bastiat. Zaznaczywszy na wstępie, że staje ze względu na swe poglądy jako oskarżony i z góry potępiony w łonie towarzystwa, wśród którego przemawia, Passy powiada: „W postępie uczuć i wykształcenia, w rozumném użytkowaniu działalności dobrowolnéj, w gruncie rzeczy naszéj jedynéj siły, szukamy lekarstwa przeciw klęskom, które inni usiłowali usunąć środkami empirycznemi, narażając się na utratę wszystkiego, zabierając człowiekowi jedyne prawdziwe dobro, które życiu nadaje wartość: swobodę i odpowiedzialność za swe czyny. Przekład bardzo dobry tych nader ciekawych prac, zaleca czytelnikom naszym powyższe dziełko, zarówno interesujące jak i pożytecznie obznajmiające z głównemi prądami w dzisiejszéj polityce socyalnej. *K. Dan. Strzel.*

= *Aleksander Wiesiełowskij*. **Boccacio.** 2 tomy. 1894. Dwa obszerne tomy (545+670 s.) poświęcił znakomity znawca literatury powszechnéj, a zwłaszcza włoskiéj, Aleksander Wiesielowskij profesor uniwersytetu petersburskiego, działalności włoskiego humanisty. Obszerne jego studyum o Bokkacyuszu, to najlepsza ze wszystkich prac, poświęconych temu pisarzowi. Książka Körting'a nie może iść z tém dziełem w porównanie. Poprzedziły je nader oryginalne i głęboko pomyślane rozprawy o nauczycielach Bokkacyusza i o jego teoretycznych rozprawach, dotyczących mitologii i poezyi. Oprócz tego, Wies. poświęcił szereg prac epoce włoskiego odrodzenia i wydał massę nadzwyczaj cennych dokumentów z téj epoki (np. willa Alberti); „Dekameron" znalazł w nim znakomitego tłómacza. W dziele p. W., którego tytuł wypisaliśmy,—mamy owoc długiéj pracy, szeregu oryginalnych studyów, obfitujących w rezultaty. Szczupłe ramy nieco spóźnionego sprawozdania nie pozwalają poznajomić szczegółowo czytelnika z zaletami tego znakomitego dzieła. Muszę poprzestać na skreśleniu kilku uwag, tyczących się charakterystyki planu i metody autora. Godném podziwu jest prawdziwie artystyczne odtworzenie całokształtu epoki, w któréj żył i pracował autor „Dekamerona". Literacka działalność Bokacyusza tak się ściśle splata z jego biografią oraz z działalnością współczesnych mu pisarzy, że nie sposób pisać o nim tak, jak pisali Körting, Bartoli, Landau i inni, poprzestający na skreśleniu szkicu biograficznego i mniéj więcéj głębokiéj analizy szczególnych dzieł. „Dekameron" był kulminacyjnym punktem ich opowieści; traktowano go najczęściéj bez związku z innemi dziełami Bokacyusza. Wadliwość kompozycyi tego rodzaju dzieł pochodziła z trudności samego tematu. Autorowie mieli do czynienia z epoką nadzwyczaj skomplikowaną pod względem różnorodnych wpływów literackich, spotykali dużo kwestyi niewyjaśnionych i zawikłanych. Dla odtworzenia działalności téj lub owéj literackiéj powagi brakowało ważnych faktów w bezpośrednich źródłach i wypadało robić poszukiwania, często bezowocne. Studyum o takim pisarzu, jak Bokacyusz wymaga nietylko erudycyi, głębokiéj znajomości obszernéj literatury kwestyi, ale i artyzmu. Dla zapełnienia luk, jakie przedstawia faktyczna strona biografii sławnego humanisty, wypada szukać wskazówek w jego utworach, oświecić je należycie na tle współczesnych idei, dać ich należytą krytyczną analizę, rozwiązać setki chronologicznych kwestyi na podstawie chwiejnych wskazówek. Roztrząsania te powinny być umiętnie ukryte i nie razić czytelnika obfitością specyalnych szczegółów. Cały ten aparat krytyczny, powinien

być umiejętnie rozpostarty na szerokiém tle dziejowém. Czytelnik powinien odczuć epokę dla niego obcą, wejść do nieznanéj atmosfery i zasmakować w dziejach przeszłości. Zadania te ze wszech miar trudne, prof. Wiesiełowskij spełnił znakomicie. W jego dziele mamy nietylko zarys literackiéj działalności Bokacyusza, ale całą epokę z jéj charakterystyczną oryginalnością, z analizą różnorodnych literackich wpływów, z barwnemi i pięknemi opisami ruchu literackiego Neapolu i Florencyi, charakterystyką pojedynczych osobistości, głęboką analizą estetyczną, oraz rozbiorem kwestyi chronologicznych i specyalnych co do źródeł pojedyńczych utworów. Dziełu temu niepodobna zrobić najmniejszego zarzutu; zalety jego potęguje styl nadzwyczaj zwięzły i obrazowy i nader umiejętne streszczenia literackich utworów Bokacyusza, w zupełności zastępujące przekłady. Do najlepszych ustępów pracy należą: charakterystyka południowych Włoch, Neapolu, króla Roberta; analiza Felveolo, Ameto, Dekameronu, Fiammetty; określenie stosunku Bokacyusza do Petrarki, rozbiór dzieł łacińskich Bokacyusza. Plan całego dzieła, nadzwyczaj śmiały i udatny, przeprowadzony z logiczną systematycznością w najdrobniejszych szczegółach. Czytelnik znajdzie tu nie tylko charakterystykę humanisty, któremu przeważnie jest ono poświęcone, ale i głęboką analizę psychologicznéj samowiedzy włoskiego odrodzenia. Dodać należy, że dzieło prof. Wies. zyskało powszechne uznanie u krytyki niemieckiéj, włoskiéj i francuskiéj. Przyswojenie jego literaturze naszéj w streszczeniu, jeżeli nie przekładzie, byłoby bardzo pożądane. *L. Szepielewicz.*

= *Kucharzewski Feliks.* **Nasza najdawniejsza książka o miernictwie.** — Skł. głów. w księg. E. Wende i S-ka 1895 r. Warszawa. Wytrawny znawca naszej technicznéj bibliografii, p. Kucharzewski, przypomina uwadze czytającej publiczności zarówno jak fachowym specyalistom pierwsze dziełko z zakresu miernictwa w języku polskim wydane. Jest to praca Grzepskiego, któréj całkowity tytuł brzmi jak następuje: „Geometria To iest, Miernicka Nauka po Polsku krótko napisana z Greckich y z Łacińskich ksiąg. Naydziesz też tu iako naszy Miernicy zwykli mierzyć Imienie na Włóki albo na łany. *Item Iugerum Romanum* iako wiele ma w sobie. *Item*, jako Wieże albo co inszego wysokiego zmierzyć, albo daleközć jaką. Naprzykład, kiedyby chciał wiedzieć jako daleko do zamku przez błoto, albo przez wode ect. Teraz nowo wydana roku 1566. w Krakowie Łazarz Andrysowic wybijał." Wydane w formie ósemki małej, gotyckim drukiem, z figurami w tekscie—dziełko to jest nietylko pierwszą pracą w dziedzinie miernictwa, ale i pierwszym w ogóle technicznym podręczni-

kiem polskim. Przedstawiwszy dzieje miernictwa do pojawienia się książeczki Grzepskiego, którego to wstępu wynik—istotna możność uważania pracy jego, za pierwszą w tym kierunku, p. Kucharzewski podaje rys biograficzny Grzepskiego—poczém przechodzi do wyłożenia treści jego dziełka. Zaznaczywszy, że wstęp zawierający ogólne dane geometryczne, niezbędne do praktycznych pomiarów mierniczych nie może być uważany za traktat geometryczny, oczyszcza p. Kucharzewski Grzepskiego z zarzutów stawianych mu przez Fr. Wręczyckiego, I. Badowskiego oraz S. Diksteina. Kończąc swój rozbiór „Geometryi..." Grzepskiego, wyraża autor życzenie ujrzenia książeczki jego w Bibliotece pisarzów polskich obok „Algoritmu Kłosa." Opracowany nader sumiennie i wszechstronnie, uzupełniony licznemi cytatami i przypisami, oraz słowniczkiem technicznych terminów używanych przez Grzepskiego, Szkic p. Kucharzewskiego jest pożądanym nabytkiem dla bibliografii naszéj, któréj zresztą w dziale swéj specyalności tak dobrze się już przysłużył. *K. Dan. Strzel.*

—*I. Badowski.* **Geometryja elementarna.** Warszawa 1894 r. W ostatnich czasach silnie dawał się uczuwać brak podręcznika geometryi elementarnéj, napisanéj z uwzględnieniem nowszych metod nauczania. Lukę tę w naszej literaturze matematycznej zapełnił nader szczęśliwie p. Ignacy Badowski swoją „Gieometryą elementarną." Wzorując się na znakomitej pracy Aureliana Faifofer'a Elementi di geometria, Venezia 1888, p. Badowski wprowadził do swego podręcznika zwykle opuszczaną teoryę proporcyi, konieczną do wykładu podobieństw, pracę zaś swą poprzedził wybornym szkicem historycznym geometryi od czasów najdawniejszych, który zakończył bibliograficznym spisem prac dotyczących geometryi, wydanych w języku polskim, bądź oryginalnie pisanych, bądź tłómaczonych. Wyłożywszy kolejno zasadnicze wiadomości z planimetryi i stereometryi, autor przy końcu każdego rozdziału podaje zadania odnoszące się do wyłożonych twierdzeń, urozmaicając wykład najogólniejszemi wskazówkami kreślenia, oraz zadaniami na wykreślanie. Liczne rysunki dopełniają tekstu, bardzo przystępnie wyłożonego. Z części historycznéj poprzedzającej wykład uwydatnić musimy rys historyi geometryi w Polsce, z tekstu zaś nader sumiennie opracowany dział własności proporcyi oraz teoryi podobieństw. Sądzić należy, że „Geometrya" p. Badowskiego znajdzie zasłużone dobrze uznanie w rzędzie nowszych podręczników matematycznych. Nieliczne błędy dowodzą uważnej korekty tak pożądanéj w pracach tego rodzaju. *K. Dan. Strzel.*

— *Maryan A. Baraniecki.* **Arytmetyka** Warsz. 1894, wydanie drugie. Z cyklu „Dzieł i rozpraw matemateczno-fizycznych" wydawanych przez p. A. Czajewicza z zapomogi kasy im. Mianowskiego, „Arytmetyka," którą opracował M. Baraniecki, doczekała się drugiego wydania, opatrzonego krótką przedmową autora, który usprawiedliwia się w niéj z pomyłek i niedokładności pierwszego wydania, oraz objaśnia nas, że to drugie wydanie, dzięki uwagom kompetentnych, zostało zupełnie przerobione i pomnożone wieloma uwagami. Pracę swoją rozpoczyna autor bardzo sumiennym szkicem historycznym arytmetyki w ogólności, w Polsce zaś w szczególności, uzupełniony spisem bibliograficznym prac wydanych w języku polskim z dziedziny arytmetyki. Przechodząc zaś do wyłożenia ogólnych metod słownego i piśmiennego liczenia, autor urozmaica swój treściwy wykład nader zajmującemi przypisami, oraz wyłożeniem zasad i metod liczenia u różnych narodów w różnych epokach historycznych. Objaśnia następnie zwykłą koleją pierwsze cztery działania. W dziale miar, spotykamy zawsze bardzo szczegółowe i interesujące dane co do miar różnych narodowości, ze szczególném uwzględnieniem miar polskich dawnych, oraz ich stosunku do miar dzisiaj obowiązujących. Wyłożywszy następnie działania z liczbami wielorakiemi, ułamkami zwyczajnemi i dziesiętnemi, przechodzi autor do stosunków, proporcyi i wielkości proporcyonalnych, aby nakoniec nader zrozumiale i z wielką umiejętnością podać zasady reguły trzech prostej i złożonej. Ostatni rozdział jest poświęcony wyłożéniu zasad, reguł: procentu, dyskontu, podziału proporcyonalnego (reguła spółki), mieszaniny, łańcuchowéj i nakoniec reguły fałszywego założenia. Uzupełnione, opracowane i przejrzane drugie to wydanie książki Baranieckiego znacznie przewyższa pierwsze bogactwem przypisów, oraz mniejszą ilością omyłek drukarskich, chociaż niezupełnie usuniętych, mimo obfitej listy sprostowań. W pracach tego rodzaju sumienna korekta jest rzeczą nader ważną, raz ze względu na olbrzymie różnice wynikające z pomyłek w cyfrach, drugi raz ze względu jeszcze ważniejszego, że dzieło takie jak „Arytmetyka", jest podręcznikiem do nauki, któremu mylić się nie wolno. *K. Dan. Strzel.*

— *Jan Wolfgang Goethe.* **Z mojego życia** (prawda i fantazya). Przełożył i wstępem oraz przypiskami opatrzył Ludwik Jenike. Warszawa. S. Lewental. 1895, str. 489. — Jest to jeden z tomów „Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiéj", która już po-

przednio pomieściła przekład Goetza z Berlichingen, obu części Fausta, obu części Wilhelma Meistra, oraz Wybór poezyi lirycznych, epicznych i trzech dramatów („Ifigenia”, „Torkwato Tasso”, „Egmont”), a tym sposobem udostępniła dla ogółu polskiego najznakomitsze dzieła wielkiego poety niemieckiego. Obecny tom, będący tłómaczeniem autobiografii Goethego (*Aus meinem Leben, Wahrheit und Dichtung*), doprowadzonéj do 25-go roku życia, ma znaczenie nietylko jako pięknie obrobiony materyał do poznania szczegółów życia i rozwoju talentu poety, lecz także jako obraz ruchu umysłowego w Niemczech w dobie żywego rozbudzenia się samodzielności twórczéj, stanowiącéj wstęp do najświetniejszéj epoki literatury niemieckiéj. Dla każdego, kto nie powierzchownie tylko, z podręczników, lecz ze samych źródeł zaczerpnąć chce wiadomości o pamiętnéj dobie, dzieło Goethego będzie wielce pożądanym nabytkiem, zwłaszcza, że przyswojenie jego pod względem wierności, stylu i języka na zupełne zasługuje uznanie; dokonał go Ludwik Jenike, który tyle już zrobił dla zapoznania nas z utworami największego geniusza niemieckiego.

— **Tydzień**. Numer gwiazdkowy. Piotrków. 1895, str. XVI, 40, 61. — Książka ta, wydana przez redakcyę „Tygodnia”, składa się, prócz kalendarza na rok 1896, z czterech działów. Pierwszy, możnaby nazwać naukowym, mieści bowiem w sobie 8 artykułów różnych kwestyi przyrodniczych („Nieskończoność”, „Na Marsie”), pedagogicznych („O potrzebie karności w wychowaniu” przez Br. Bieńkowskiego), moralnych („Najlepszy dar”, „Spaczenie etyki społecznéj), ekonomicznych („Syndykaty rolne” przez Józefa Jeziorańskiego), prawnych („Pożądana zmiana w procedurze cywilnéj”) przez W. Hausbrandta), społecznych („Teatr na prowincyi” przez St. Łapińskiego), historycznych („Votum Michała Korybuta” przez M. R. Witanowskiego). Drugi dział obejmuje belletrystykę—wiersze i nowele oryginalne i tłómaczone. Największą uwagę zwraca tu na siebie oczywiście śliczny „Szkic do współczesnego obrazu”, nakreślony przez El...y'ego (Asnyka). Sonet p. Mirosława Dobrzańskiego, redaktora „Tygodnia” (może zbyt czarno maluje położenie dzisiejszego świata cywilizowanego, ale wykonany jest ładnie); dźwięczy w nim szczerość przekonania, a piękność języka i wiersza zadawalnia uczucie estetyczne. Niezły jest wiersz satyryczny Czekana „Na literaturę psycho-(pato)-logiczną”, w którym powiada, że teraz już nie o bohaterach, ale o pacyentach powieści mówić wypada. Wiersze p. Józefa Waśniewskiego („Z psalmów pokutnych”), p. T. Rzepeckiéj („Dom rodzinny”), S. Ł-a („Zima”) nie są również bez zalet. Mniéj udatnemi są nowelki oryginalne; wielką część téj grupy wypeł-

niają przekłady czy przeróbki. Dział trzeci ma napis: „To i owo”, a zawiera kronikę łódzką, piotrkowską, tomaszowską, a daléj „Mieszkańca Mokrego kącika pieśni pięcioro” — dość bladych i pospolitych, wreszcie artykuł p. t. „Jakim był rok 1894/5 dla rolników piotrkowskich. Dział czwarty wreszcie, oddzielony od poprzednich osobną paginacyą, jest informacyjny; znajduje się tu taryfa opłat za patenty na prawo przemysłu i handlu, spis firm handlowych i przemysłowych w obrębie gubernii piotrkowskiéj, ogłoszenia i t. p. Wydanie tego numeru gwiazdkowego jest dość staranne; warto jednak było zwrócić baczniejszą uwagę na poprawność języka w niektórych artykułach; jakżeż można było zostawić taki np. dziwoląg: „K a ż d e miasto, k a ż d y właściciel teatru na prowincyi, n i e p o w i n n i b y wydzierżawiać go dyrekcyi.”

= Od 30 listopada 1895 roku, zaczął wychodzić we Lwowie pod redakcyą p. Kuczalskiéj-Reinschmit, dwutygodnik poświęcony sprawie kobiecéj p. t. **Ster**.—Z dwu numerów, jakie mamy przed sobą, nabrać można przekonania, że zamiarem redakcyi nie jest propagowanie jakichś krańcowych, feministycznych dążności, lecz poważne i wszechstronne rozpatrywanie kwestyi wykształcenia i zarobkowania kobiet. Na pytanie, co być powinno sterem w mozolnéj pracy rozjaśnienia stosunków, wśród których kobiéta spółczesna żyć i działać musi, odpowiada redakcya, że powinno nim być: „zgłębienie przyszłości, obiektywne badanie zjawisk, jakie nam dzisiejsza doba przynosi, zestawienie zdobywanych przez naukę pewników, a nadewszystko traktowanie całéj sprawy nie z punktu kompromisów, lecz etyki i prawdy oraz rzetelnéj sprawiedliwości.” Zgodnie z takim programem, widzimy w piśmie przewagę stanowczą strony praktycznéj nad teoretyczną. Szeroko jest traktowana rubryka sprawozdawcza z działalności stowarzyszeń kobiecych, dawane są wskazówki co do pracy zawodowéj (rysunki techniczne, kursa ogrodnicze), co do gospodarstwa (kuchnie gazowe, mleczarnia parowa, z hygieny gospodarczéj i t. p.); pomieszczane są głosy, upominające się o dopuszczenie kobiet-lekarek do towarzystwa lekarskiego, o otwarcie dla kandydatek, po surowym egzaminie, dostępu do Akademii sztuk pięknych w Krakowie; drukowane są informacye o kursach naukowych Adryana Baranieckiego i t. p.; oceniane są lub wymieniane dzieła skreślone piórami kobiecemi. Jest tu oczywiście i belletrystyka. Powieść pod obiecującym tytułem „Z przełomu” daje tu p. K. Zabrzezińska, po raz pierwszy podobno występująca w druku. Z belletrystyki angielskiéj, dotyczącéj sprawy kobiecéj, pisze sprawozdanie p. Janina Rudzka. O „Melancholikach” Orzeszko-

wéj rozpoczęła obszerniejsze studyum p. Romualda Baudouin de Courtenay. P. Odo Bujwid pomieścił tu szkic o Pasteurze, Piotr Chmielowski artykuł „O zdolności kobiét do uogólnień”, p. Edmund Jankowski — „Jak użyzniać grunta wilgotne, T. Filipowicz — „Jakie produkta znajdą najłatwiejszy zbyt w Hamburgu.” Jak widzimy, numera dotychczasowe są bardzo urozmaicone.

= **Kto jest twórcą nauki o transformizmie i ewolucyi organizmów,** napisał *Michał B. Wierzbowski.* (Bukareszt, 1895, str. 7). — Autor, który lubuje się w aforystycznym sposobie traktowania zagadnień naukowych, stara się w broszurce téj całą zasługę teoryi transformistycznéj w zakresie zoologii przyznać wielkiemu uczonemu francuskiemu Janowi Chrzcicielowi Lamarckowi, piętnując przeniesienie nawet części zasługi na Darwina mianem „oszustwa.” Oczywiście w tak szczupłéj broszurce nie mogły znaleźć miejsca dowody; autor odsyła po nie do swego szkicu przyrodniczo-filozoficznego p. n. „Lamarkizm i Darwinizm.” Nie wiem, o ile p. W. zdołał w tym szkicu twierdzenia swoje przekonywająco udowodnić; tak jak się rzecz ta w broszurce przedstawia, to jest pogląd p. W. jaskrawém jeno stwierdzeniem znanéj i przez wszystkich mniéj więcéj pisarzy o transformizmie przedstawianéj zasługi Lamarcka w sprawie teoryi descendencyjnéj. A czy teorya Darwina co do doboru płciowego jest już tak dzisiaj zupełnie pogrzebaną wśród uczonych, jak to p. W. wmówić usiłuje w czytelników, pozwalamy sobie wątpić. Język autora nie odznacza się czystością i poprawnością, np. „uczeni francuscy już dawno zapomnieli *to, co* niemieccy uczeni dopiéro teraz się uczą” (str. 3) i t. p.

= **O Pietrku i Połonce.** Powiastka napisana przez *Bronisławę-Ludmiłę Nakęską,* nagrodzona na trzecim konkursie „Gazety Świątecznéj.” Warszawa. Konrad Prószyński. 1895, str. 32. — Celem powiastki jest wpojenie w serca czytelników łagodności, wyrozumiałości, miłości; szorstkie bowiem, srogie i niemiłosierne postępowanie, prowadzi do smutnych następstw. Oto zabiegliwa wielce i pracowita Walkowa starała się zebrać jaknajwięcéj piéniędzy dla swéj jedynaczki Połonki, którą kochała całą duszą, ale jéj tego wcale nie okazywała, zapędzając owszem do pracy ustawicznéj, gderząc na nią, a nawet ją bijąc. Jeszcze gorzéj obchodziła się z siérotą Pietrkiem, synem żebraczki, którego wzięła do domu z litości niby, w gruncie jednak rzeczy dlatego, by miéć bezpłatną wyrękę. Narzekała na Pietrka, jako na niedołęgę, słabowity był bowiem w nogach; ale co on był wart, to się okazało dopiéro wówczas, gdy powołany do superewizyi, oddany został

do szpitala jako chory. Musiała wtedy przyjąć Walkowa najemnika, a ten wcale nie mógł zastąpić niedołęgi Pietrka. Połonkę straciła Walkowa od piorunu, gdy zatrzymawszy ją przy robocie, późno dopiéro pozwoliła jéj pójść w odwiedziny; a Pietrek wracający ze szpitala przyjęty był przez skruszoną kobiétę wprawdzie bardzo serdecznie, ale pamiętny dawniejszéj srogości, porwał się w gorączce po wodę i zamarł. Opowiadanie skreślone jest żywo, zajmująco, językiem prostym, zlekka tylko zabarwionym wyrażeniami gwary wieśniaczéj. Za dużo może autorka nagromadziła cierpień dla biednéj Walkowéj, która przecież złą nie była; nie należałoby ludzi zanadto przygnębiać — nawet w powieściach.

= **Poezye Władysława Stankiewicza.** 2 tomy. Warszawa. 1895, str. 238. — Gdy w r. 1885 pierwszy tom utworów poetycznych p. Stankiewicza się pojawił, krytyka przyjęła go bardzo surowo; „Ateneum" również zamieściło sąd o nim niepochlebny. Autor uznał słuszność zarzutów; przynajmniéj w przedmowie do obecnego wydania powiada, że „miecz krytyki, spadły wówczas słusznie" na niego, „ostrzem błyszczącéj swéj stali rozjaśnił zmrok poprzedni"; tom ów zdaniem samego p. S. to „parodya, skreślona gorączkową ręką przedwcześnie wybujałego umysłowo i uczuciowo żaka, znającego swój język nie z gramatyki, lecz z gwary parafialnéj głuszy." Krytyka pobudziła autora do pracy, do walki, póki się klęski doznanéj nie powetuje. Czy osięgnął, co zamierzył? Zapewne, dojrzał duchowo i w przedmowie wypowiedział, co prawda, w sposób zwikłany lub bombastyczny, kilka myśli trafnych, ocenił krańcowe kierunki najnowszéj poezyi francuskiéj mniéj więcéj słusznie, wystąpił przeciwko naśladowczemu a jałowemu pesymizmowi; w poezyach także tu i owdzie rozwinął pomysł rozumny, trafił na szczęśliwe wyrażenie; ale na ogół nietylko dobrym, ale nawet znośnym tylko poetą nazwany być nie może. Nie dosyć jest czuć potrzebę wypowiedzenia swych wrażeń lub opisania przeżytych wypadków, należy jeszcze umiéć to zrobić, by zostać pisarzem, poetą. P. S. torturuje język, styl, wersyfikacyę, myśl i wyobraźnię, by nakreślić jakąś sytuacyę podnioślejszą, lub też daje zupełną swobodę ruchowi kojarzenia pojęć, by lada błahostkę rymem uwiecznić. Zapewne, pisanie wierszy przez człowieka, niemającego rzeczywistéj zdolności poetyckiéj, jest zabawką o wiele szlachetniejszą od flirtu, ślizgawki lub gry w bilard; drukowanie ich daje zarobek różnym ludziom, ale ma tę niedogodność, że pobudza innych do naśladownictwa, czasami takich, którzy na taką rozrywkę pozwalać sobie nie mogą i nie powinni; a prócz tego obniża wogóle wartość produkcyi poetyckiéj wobec tych

tłumów na pół ukształconych, które same przez się nie są zdolne do wyrobienia sobie opinii samodzielnéj i gotowe zestawiać Mickiewicza z Rozbickim. To ostatnie nazwisko niech nie będzie wzięte przez p. S. do siebie; bynajmniéj Rozbickim nazwać go nie myślałem, gdyż nie z figlów, ale chyba na seryo popełnia on takie wiersze, w których swoim znajomym pragnąłby przesłać dziurki po zjedzonych obwarzankach.

= *R. Wahle. Geschichticher Ueberblick ueber die Entwickelung der Philosophie bis zu ihrer letzten Phase.* Wien, Braumüller, 1895. Autor niewielkiego tego dziełka, stanowić mającego przegląd wszystkich systematów filozoficznych — gdyż zdaniem jego myśl ludzka dotąd już wyczerpała wszystkie możliwości w tym kierunku, zapatruje się na filozofię europejską, jakby na indywidualizowany embryon duchowy, który rozwija się w istotnéj swéj części niezależnie od swego ośrodka i wszelkie kształty swoje wydobywa z siebie". Innemi słowy filozofia jest „samodzielnym ruchem myśli, który się dokonywa w około danéj nieodwołalnie treści". Przegląd ów ma na celu „nietylko wyszukanie zasadniczych motywów owéj wielkiéj symfonii filozoficznéj", ale i „pochwycenie jedności jéj istoty, formuły żywotnéj, według któréj całość jéj rozwija się tak, jak się rozwija charakter człowieka". Dzieje filozofii są niejako czynnością umysłu zbiorowego, który obserwując świat, stara się uczynić go zrozumiałym. Potrącając o sposoby pisania dziejów filozofii [1]) autor powiada: „Można pisać historyę pojedyńczych filozofów, wykazując przytém pierwiastki, zapożyczone przez nich od poprzedników swoich", lub też „wyliczać jakie poglądy filozoficzne miały przeważne uznanie wśród umysłów danego okresu historycznego". Pierwszy atoli z tych sposobów pozbawiony jest pragmatyzmu, jakiego słusznie wymagać winniśmy od szeroko pomyślanych dziejów filozofii; drugi zaś należy do historyi cywilizacyi, do któréj filozofia wchodzi jako jeden z czynników. Jak i Windelband w swojéj *Gesch. d. Philosophie* [2]), żąda autor, aby historyą filozofii w jéj rozwoju organicznym wyróżniano od dziejów ogólnych pewnych epok. Nie zaprzecza R. Wahle wpływu innych czynników dziejowych na rozwój systematów filozoficznych; uważa je wszakże za małoznaczące w porównaniu z samodzielnym ich rozwojem, w czém chętnie autorowi przyznajemy słuszność. Określając zaznaczenie owych czynników ubocznych, powia-

---

[1]) Temat ten obszerniéj opracował autor tych wierszy w „Bibl. Warsz." 1894. p. t. „Pogląd na świat jako przedmiot dziejów".

[2]) Por. „Ateneum" 1893 r.

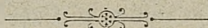
da: „Najsamprzód rzeczy, przez odbicie się w umyśle i przez te zboczenia, którym ulegają wskutek właściwech jemu koniecznych zwrotów, wywołują jakby wytrysk czyli emanacyę filozofii. Stan cywilizacyi powoduje to jedynie, iż niektóre z zagadnień i rozwiązań, powstających w myśli wskutek wewnętrznych, właściwych jéj praw, są faworyzowane i bliżéj uwzględniane. Charakter zaś pojedyńczych filozofów w taki sam sposób wpływa na sformułowanie poglądów, które powołała sama przeciwstawiająca i pojednawcza natura sprawy myślowéj, w jaki oddziaływa indywidualność poety na przedstawienie uczucia, dostępnego jednak dla wszystkich”. Trudno natomiast zgodzić się z drugiém twierdzeniem autora, jakoby cykl dziejowy filozofii miał być skończony „nie w tém znaczeniu jakoby już nie miał się odezwać żaden głos filozoficzny, ale w tém, w jakiém mówi się np. o pokoju powszechnym jako o zasadowym końcu dążeń międzynarodowych”. Niepodobna jest twierdzić, iżby żadna myśl oryginalna nie miała wykwitnąć na polu filozofii, chociaż dziś, gdy żyjemy w okresie upadku twórczości tak filozoficznéj jak i artystycznéj, myśl taka wydaje się dosyć naturalną. Nie wiemy wszakże, czy za pół wieku nie odkryją się nowe bogate źródła twórczości, jak było już nieraz w potoku dziejów. — Nie dziwi téż nas, że przegląd filozofii grecko-rzymskiéj, w dziełku Wahlego zajmuje trzy razy tyle miejsca co czasy nowożytne; starożytność bowiem wyczerpała już większość naturalnie nasuwających się odpowiedzi na główne zagadnienia filozoficzne. Ze szczegółów zaznaczymy podział historyi greckiéj na 4 okresy: w piérwszym, do Heraklitesa, główne są zagadnienia, dotyczące składu i rozwoju wszechrzeczy oraz budowy wszechświata; drugi rozpoczyna się od wymagania Parmenidesa — stałości bytu; spór o stałość lub zmienność trwa do Platona; trzeci okres jest formalistycznie-eklektyczny, psychologiczny i krytyczny; czwarty łączy w filozofii Plotinusa żywe zainteresowenie się zagadnieniami bytu z kwestyami teoryi poznania. — „Na cóż mamy liczyć? — tak kończy swój przegląd autor — Spełniło się! Nie ma ani jednego pojęcia na świecie, przy któregoby pomocy nie próbowano pojąć go metafizycznie. Jeśli ktoś sądzi, że nie wszystkie jeszcze zostały wyszukane, to może z równém prawem przypuszczać, iż istnieje w języku niemieckim jakiś dotąd niedostrzeżony przymiotnik. Próbowano pojąć istotę bytu przy pomocy spoczynku i ruchu, idei i słów, rzeczy i duchów, mechanizmu i Boga—i wreszcie powinniśmy się na to zdecydować, że nie wiemy nawet, czy byt ów istnieje jako coś przedmiotowego, czy tylko w naszéj wiedzy, a w każdym razie powinniśmy go uważać za wynik nieznanych nam czynników”. *Wł. M. Kozłowski.*

= *Morel-Fatio. Etudes sur l'Espagne.* Paris 1895.—Znany filolog, współpracownik kwartalnika „Romania", wydawanego przez pp. G. Paris'a i P. Meyer'a, ogłosił swoje studya w dwóch tomach. Pierwszy wyszedł obecnie w drugiém wydaniu i zawiera następujące artykuły: 1) L'Espagne en France; 2) Recherches sur Lazarille de Tonnes; 3) L'Histoire dans Ruy Blas; 4) Espagnols et Flamands; 5) Le Don Quichotte envisagé comme peinture et critique de la société espagnole du XVI et du XVII sciècle. Wszystkie rozprawki odznaczają się gruntowną krytyką i bystrością poglądów. Na szczególną uwagę zasługują rozdziały o przypuszczalnym autorze sławnéj powieści o Lazarillu, za jakiego dotąd bez żadnéj podstawy jest uważany Mendoza; kwestyę o autorstwie wskazanéj powieści należy, według zdania Morel-Fatio, uważać za otwartą. Niemniéj zasługuje na uwagę artykuł o dramatach na tle hiszpańskich dziejów W. Hugo; bardzo umiejętnie i dowcipnie wskazuje autor wady i zalety historycznego kolorytu dramatów znakomitego poety. Obok tego artykułu, a może i wyżéj od niego należy postawić rozprawkę o „Don Kiszocie", o ile ten romans odzierciedla spółczesny sobie stan Hiszpanii. P. Morel-Fatio znakomicie wskazuje właściwe znaczenie dzieła Cerwantesa, dowodząc, że jako dziecko swego wieku i społeczeństwa, nad pojęcia jego się nie wzbijał. Książka p. M. F. napisana barwnym i łatwym stylem zasługuje na szerokie rozpowszechnienie.

L. Sz.



NEKROLOGIA.



† **Walery Kopernicki**, pedagog, urodzony r. 1819, kształcił się w uniwersytecie kijowskim, który ukończył w r. 1844 ze stopniem kandydata nauk filologiczno-historycznych. Był nauczycielem najprzód łaciny w gimnazyum czernihowskiem, następnie w Nieżynie do 1851; po 9-letniéj przerwie został nauczycielem języka polskiego r. 1860 w 2-em gimnazyum w Kijowie; jednocześnie zaś wykładal pedagogikę i dydaktykę w gimnazyum żeńskiem hr. Lewaszowéj. W r. 1863 przeszedł do gimnazyum w Niemirowie a w 1868 w Kamieńcu Podolskim. Od r. 1873 uczył w Łomży języków starożytnych, a od 1877 do 1893 w Warszawie. Szanowany i kochany, dobrą po sobie zostawił pamięć. Miał piękny zbiór książek i autografów, między innemi rozprawki Mickiewicza o Goethem i Byronie. Opracował i wydał „Hidrografię Słowiańszczyzny” ze szczegółową mapą hidrograficzną zachodnich krajów słowiańskich. Kilka prac pozostawił w rękopiśmie. Zmarł w Warszawie 26 grudnia 1895 r.

† **Feliks Jeziorański**, urodzony r. 1820 w Dąbrówce, gub. siedleckiéj, po ukończeniu nauk gimnazyalnych, rozpoczął r. 1838 urzędowanie od aplikacyi w. b. trybunale cywilnym warszawskim i przechodząc kolejno stopnie hierarchii sądowéj, doszedł do godności sędziego apelacyjnego, na któréj zastała go reforma sądowa w r. 1876. Opuściwszy służbę, poświęcił się wyłącznie piśmiennictwu prawniczemu, które i poprzednio uprawiał, drukując artykuły w „Bibliotece Warszawskiéj”, „Ekonomiście”, „Przeglądzie sądowym” i założonéj w r. 1869

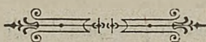
„Gazecie sądowéj”, któréj był jednym z inicyatorów, oraz odpowiedzialnym redaktorem. Od r. 1889 t. j. od czasu, kiedy zaczęła wychodzić „Wielka encyklopedya ilustrowana”, był w niéj kierownikiem działu prawnego i mnóstwo artykułów z tego zakresu tu pomieścił. Był specyalistą w kwestyach hipotecznych. Oprócz wielu rozpraw drukowanych w czasopismach, ogłosił osobne w r. 1868 uzupełnione przez siebie dzieło J. K. Wołowskiego „O kodeksie cywilnym”; w 1870 „O prawie stron do pojednania się w przestępstwach prywatno-publicznych”; w 1876: „Oznaczenie kontraktów pozahipotecznych w sprzedażach nieruchomości”; w 1878: „Podręcznik dla sądów pokoju Królestwa Polskiego z objaśnieniami”; w 1891 „O ustawach hipotecznych z r. 1818 i 1825, którego to dzieła tom trzeci wykończył na krótko przed śmiercią. Obmyślił przytém i wydał „Elementarz” 1894 o którym „Ateneum” zdawało sprawę. Prawość, sumienność, wiedza i pracowitość cechowały tego męża, który stanowił chlubę sądownictwa. Zmarł w Warszawie 19 stycznia r. b. Cześć jego pamięci.

† **Franciszek Jawdyński**, urodzony 2 grudnia 1851 r., ukończywszy uniwersytet warszawski na wydziale lekarskim poświęcił się chirurgii, w któréj jako praktyk wielce zasłynął. Był ordynatorem kliniki chirurgicznéj, potém kliniki szpitala św. Ducha, szpitala na Pradze, wreszcie oddziału chirurgicznego szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie. Przez lat 6 redagował „Pamiętnik Towarzystwa Lekarskiego”, którego członkiem czynnym był przez lat 15. Pomieścił kilka rozpraw specyalnych w „Medycynie”. Zmarł w Warszawie 21 stycznia r. b.

† **Karol Kaczkowski**, urodzony 2 lutego 1827 r. w Warszawie, nauki gimnazyalne kończył w Radomiu, następnie udał się do Moskwy, gdzie przez dwa lata uczęszczał na wydział prawny. W r. 1849 porzucił studya prawne i wstąpił w Dorpacie na wydział lekarski. Przybywszy do Warszawy mianowany został ordynatorem, w szpitalu ewangielickim, a w r. 1855 ordynatorem etatowym, następnie starszym w szpitalu ś. Łazarza. W r. 1879 przeniósł się na wieś i poświęcił się gospodarstwu rolnemu. Na polu literatury naukowéj pracował także, ogłaszając rozprawy treści lekarskiéj i agronomicznéj. Był współpracownikiem „Encyklopedyi rolnictwa”, a rozprawa jego: „Jak radzić w gospodarstwie” otrzymała drugą nagrodę konkursową. Zmarł w Warszawie 22 stycznia r. b.

† **Cezar Biernacki**, urodzony 27 sierpnia 1827 roku w Kaliszu, z ojca Józefa, b. wojskowego, kształcił się naprzód w mieście rodzinném, potém w Warszawie i Radomiu. Ukończywszy nauki, służył w b. komisyi skarbu, następnie zaś w administracyi kolei warszawsko-

wiedeńskiéj; zajmował się przytém gorliwie nauką, zbierał namiętnie książki i wszelkie zabytki archeologiczne krajowe. W r. 1857 ogłosił w „Bibliotece Warszawskiéj" szkic historyczny p. t. „Jezuici w Kaliszu"; w r. 1875 wydał „Podobiznę (*fac simile*) pisma ś. Wojciecha", a mianowicie kopię oryginalnego autografu przy tytule św. Wojciecha z rękopismu pergaminowego przechowywanego w klasztorze ś. Małgorzaty w Brzewnowie pod Pragą Czeską. W r. 1882 z powodu obrazu Matejki napisał rozprawkę p. t. „Hołdy pruskie"; w wydawnictwach Akademii umiejętności w Krakowie ogłaszał materyały do historyi miast w Polsce. Prócz tych oddzielnie wydanych prac pomieszczał dużo artykułów w czasopismach i encyklopedyach. Po Józefie Grajnercie był sekretarzem przy wydawnictwie wielkiéj Encyklopedyi S. Orgelbranda, i drukował w niéj wiele swoich rozprawek. W „Dzienniku Warszawskim" publikował wyniki poszukiwań swoich co do życiorysu Antoniego Malczewskiego, w „Kaliszaninie", w „Kłosach" i w „Tygodniku ilustrowanym" artykuły treści archeologicznéj, w „Wielkiéj Encyklopedyi ilustrowanéj" pomieścił artykuły: Buława, Buńczuk, Bursy i Buzdygan. Tknięty paraliżem, który chwilowo na mózg mu uderzył, umieszczony został w szpitalu ś. Jana Bożego, gdzie rychło wrócił do stanu normalnego władz umysłowych, ale nie odzyskał zupełnéj władzy w ciele; a że był osamotniony i że można się było obawiać ponownego na mózg ataku, więc pozostał w szpitalu i tam w nocy z 26 na 27 stycznia życia dokonał, pozostawiając pamięć wielkiéj zacności, pobożności, skromności i pracowitości. Księgozbiór swój oddał pod opiekę p. Zygmunta Glogera z zaleceniem, ażeby go na użytek publiczny obrócił.



Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Января, 1896 г. — Druk Jana Cotty.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

1. *Plato v. Reussnera.* **Najlepsza metoda** czyli Samouczek Polsko-Francuzki. Warsz. 1895, 8-vo, zeszyty 36 i 37 (cena zesz. kop. 15).
2. **Syrokomla o sobie.** Przepisał i objaśnił *Wł. R. Korotyński.* Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1895, 8-vo, str. 101.
3. **Dyskrecya lekarska** ze stanowiska prawnego i etycznego. Skréślił dr. *E. Sonnenberg.* Warsz. 1895, str. 16.
4. *L. Szepielewicz.* **Kudruna.** Przekład (rosyjski) II-éj części poematu i próba badania. Charków, 1895, 8-vo, str. 127.
5. *E. F. Scholl.* **Przewodnik dla maszynistów.** Tłomaczył *Aleksander Podworski* inżynier. („Biblioteka Przemysłowa"). Warsz. nakł. Hipolita Wawelberga, 1895, 8-vo, str. XI i 380 z rysunkami (cena rs. 1 kop 50.)
6. **Katalog** dzieł dawnych i wyczerpanych księgarni *Stanisława Giejsztora.* Dział antykwarski. Nr 14. Warsz. 1895, 8-vo, str. 84.
7. **Drugi przyczynek** do nauki o zboczeniach mowy. Przez *Władysława Ołtuszewskiego.* Warsz. 1894, str. 22.
8. **Akta procesu** o Tarnopol z r. 1690. Wydał *Kazimierz Gorzycki.* Tarnopol, 1895, 8-vo, str. 28.
9. *Kazimierz Gorzycki.* **Kilka słów** o nauce historyi w szkołach średnich. Lwów, 1895, 8-vo, str. 19.
10. *B. Ulanowski.* **Materyały** do historyi ustawodawstwa synodalnego w Polsce w w. XVI, Krak., nakład Aademii umiej. 1895, 8-vo str. 231.
11. *Władysław Abraham.* **Pierwszy spór** kościelno-polityczny w Polsce, Krak. nakład Akademii umiej., 1895, 8-vo, str. 50.
12. **Dla szczęścia rodziny.** Powieść dla młodzieży przez *C. Colomb.* Przełożyła z francuskiego *Marya B.* Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1896, 8-vo str. 252.
13. **Isokrates** wobec Politei ateńskiéj Arystotelesa. Napisał *Stanisław Schneider.* Krak. nakł. Akad. umiej. 1895, 8-vo, str 25.
14. **Utajona polemika** Herodota z Protagorasem. Napisał *Stanisław Schneider.* Lwów, 1895, 8 vo, str. 9.
15. **Nowe odkrycie** w dziedzinie muzyki greckiéj przez d-ra *Stanisława Witkowskiego.* Krak. 1895, 8-vo str. 22.
16. **Dwie politeje ateńskie,** Napisał *Stanisław Schneider.* Lwów, 1895, 8-vo, str. 10.
17. **Przywileje miasta Złoczowa.** Przez d-ra *Zygmuntn Urbanowicza.* Złoczów, nakł. Magistratu, 1895, 8-vo, str. 43.
18. **W kraju i w Japonii.** Podróż dwóch przyjaciół. („Promyki. Biblioteczka dla młodzieży" II). Warsz. nakł. M. Orgelbranda, 1896, 8-vo, str. 197 z obrazkami.
19. *Jadwiga Warnka.* **Mały grajek.** Powieść dla młodzieży („Promyki" III). Warsz. nakł. M. Orgelbranda, 1896, 8-vo, str. 136 z obrazkami.
20. *Feliks Jasiński.* **Badania nad sztywnością** prętów ściskanych. Warsz. nakł. redakcyi „Przeglądu Technicznego", 1895, 8-vo, str. 137, + II i tabl. litogr.
21. *Kazimierz J. Gorzycki.* **Kwestya lennego zwierzchnictwa** Polski do Pomorza za rządów Kazimierza Wielkiego. Lwów, 1895, 8-vo, str. 48.
22. **Encyklopedya rolnicza** wydawana staraniem i nakładem „Muzeum przemysłu i rolnictwa" w Warszawie. Zeszyt LI—LIV, str. 625—798 i 1—144. (Kura.—Machiny rolnicze).
23. **Najnowsze kierunki w nauce gospodarzy.** Odczyty wypowiedziane w sali wszechnicy w Genewie. Przekład d-ra *Zofii Daszyńskiéj.* Warsz. nakł. księg. K. Treptego, 1896, 8-vo, str. 193.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.